cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #230 02/2026

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI

Piotr Lisiewicz
RYSZARD LEGUTKO I POLSKIE ZAPASY NAD PRZEPAŚCIĄ

Rozmowa Wołodźki
POLSKA BIEDA, POLSKI SOCJAL. I 800 PLUS

Dawid Wildstein
LEWICOWE LUDZKIE ZOO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



FORT PÓŁNOCY

Geostrategiczna rola Grenlandii w nowej zimnej wojnie

ISSN 1895-4960
02

eprasa.pl b4d0954c29

TEMAT NUMERU 4–13



Grenlandia a zimna wojna 2.0 / 4

IDEE 16–39



Ryszard Legutko i polskie zapasy nad przepaścią / 14

HISTORIA 46–59



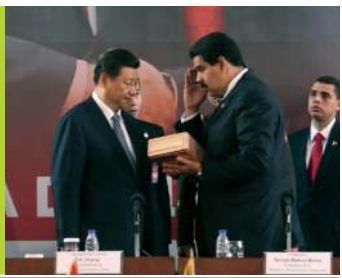
Karoliny Lanckorońskiej rozmowy z katami. Część 1. / 46

KULTURA 64–72



Dziwne stadło / 64

ŚWIAT 74–98



Upadek Maduro pokazał słabości Chin / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Grenlandia a zimna wojna 2.0 / 4

Jakub Maciejewski
Ostatni akt europejskiej dekolonizacji / 10

IDEE

Piotr Lisiewicz
Ryszard Legutko i polskie zapasy nad przepaścią / 14

Mateusz Matyszkowicz
Przypadki Konfucjusza w partii komunistycznej / 20

Dawid Wildstein
Lewicowe ludzkie zoo / 26

Małgorzata Matuszak
Agresja jako język, który stał się normą / 30

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Lefebvre si! Comunismo no!" / 34

HISTORIA

Agnieszka Kowalczyk
Karoliny Lanckorońskiej rozmowy z katami. Część 1. / 46

Dariusz Jarosiński
Miłość silniejsza od śmierci / 52

Bohdan Wasiutyński
Bez praworządności Polska będzie niewolnicą innych narodów / 58

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Dziwne stadło / 64

Krzysztof Karnkowski
„Jan Heweliusz" i bezlitosne lata 90. / 70

ŚWIAT

Hanna Shen
Upadek Maduro pokazał słabości Chin / 74

Antoni Rybczyński
Bałtycka Linia Obrony. Jak Estonia, Łotwa i Litwa chcą się bronić przed Rosją / 78

Stefan Czerniecki
Fonte Colombo, czyli o „franciszkańskim Synaju" / 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 92

oprac. Antoni Rybczyński
Przypadek Wenezueli. Pokój poprzez siłę / 94

Stałe rubryki


Katarzyna Gójska
Gdy pizza wygrywa z konstytucją
NA POCZĄTEK 3


Marcin Wolski
Igloo przed Białym Domem
PAPKULTURA 25


Małgorzata Matuszak
Czym jest... łagodność
KATECHIZM INTELIGENTA 33


Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Polska bieda, polski socjal. I 800 plus
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 40


Krzysztof Wołodźko
Z Kresów prosto w mrok
DZIENNIK LEKTUR 60


Marek Kalinowski
Gęsi w ruinach rock'n'rolla
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 73


Tomasz Sakiewicz
Od czego zależy potęga państwa
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko
SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl b4d0954c29



Katarzyna Gójska

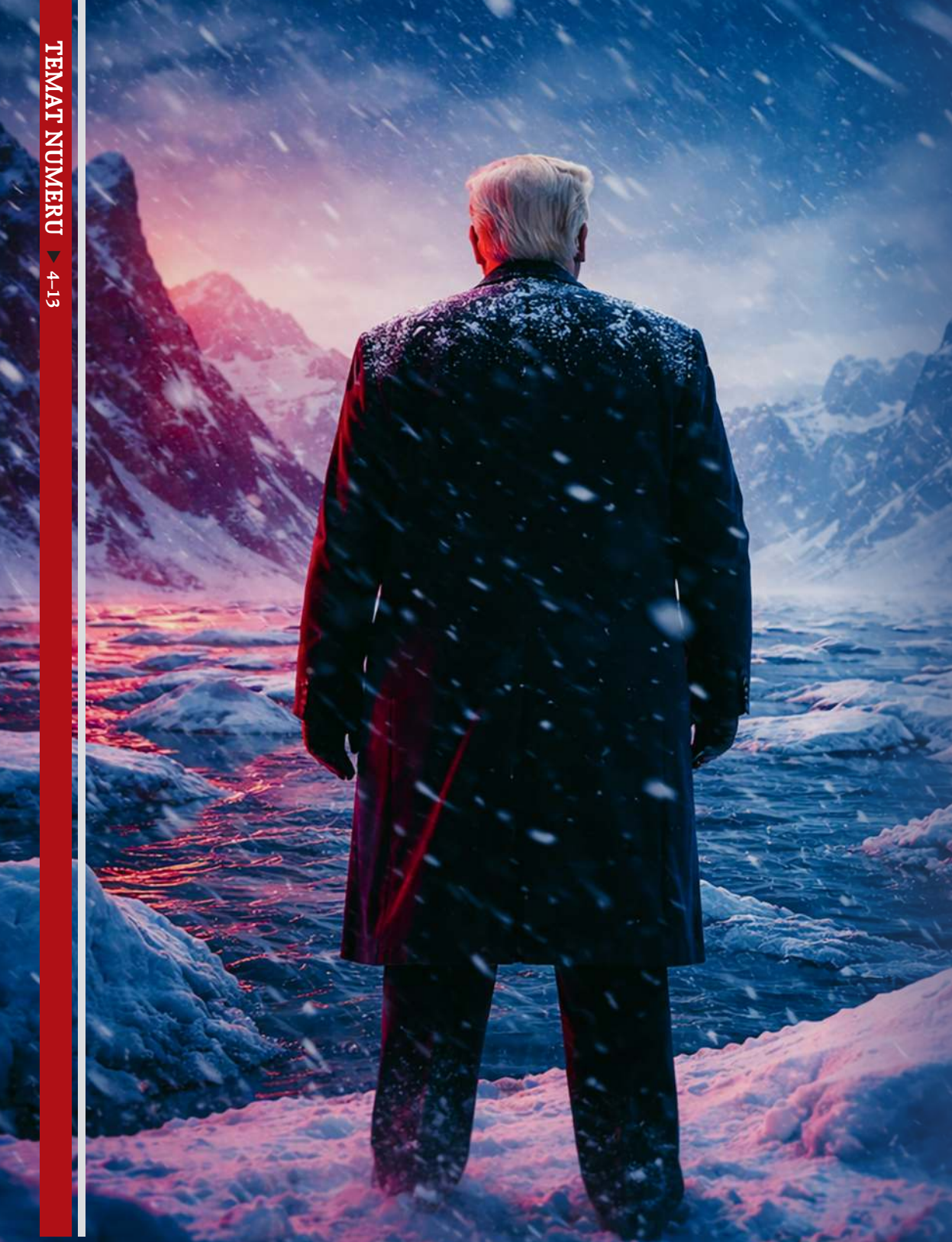
Gdy pizza wygrywa z konstytucją

Pół roku temu Polacy wybrali prezydenta, który zapowiadał zakończenie pochodu bezprawia. Czy ktoś potrafi wskazać działania Kancelarii Prezydenta Nawrockiego w tej sprawie? Działania, a nie wpisy w mediach społecznościowych, nie kilka ogólnych zdań rzuconych przy okazji konferencji prasowej czy wywiadu.

Rozpędzenie sędziego Dariusza Łubowskiego było wejściem na kolejny poziom bezprawia – dokonano zamachu na niezależną władzę sądowniczą, bez silenia się na propagandowe alibi, czyli opowieść o tzw. neosędziach. Jasne było, że ta brutalna i antydemokratyczna władza niezatrzymywana pójdzie dalej. Nie trzeba było długo czekać – napad na budynek KRS, rabunek dokumentów, jakie tylko wpadły w łapy napastników – to już kolejne stadium rozkwitu demokracji walczącej. Jednak podążanie koalicji 13 grudnia torem wyznaczonym instrukcjami pana Bachmanna nie powinno specjalnie dziwić. Najpierw ów tajemniczy jegomość przykazywał rządowi Tuska osiągnięcie wspaniałej formy demokracji metodami policyjnymi, a po kilkunastu miesiącach dokonał ewaluacji efektów pracy grupy władającej Polską i podirytowany domagał się zwiększenia tempa działań. Ono właśnie następuje. Na konferencji prasowej po akcji w Krajowej Radzie Sądownictwa prezes Jarosław Kaczyński mówił o tym, że jest zawiedziony brakiem działań różnych osób i instytucji. Rzeczywiście trudno nie patrzeć z niepokojem na ciszę wokół tej sprawy. Wielką determinacją wykazali się posłowie Prawa i Sprawiedliwości, którzy mimo gróźb relacjonowali to bezprecedensowe wydarzenie. Republika, dzięki wsparciu Widzów, mogła je pokazywać i komentować na gorąco. Dzięki temu to, co miało być ukryte przed opinią publiczną, stało się dostępne. Pół roku temu Polacy wybrali prezydenta, który zapowiadał zakończenie pochodu bezprawia. Czy ktoś potrafi wskazać działania Kancelarii Prezydenta Nawrockiego w tej sprawie? Działania, a nie wpisy w mediach społecznościowych, nie kilka ogólnych zdań rzuconych przy okazji konferencji prasowej czy wywiadu. Słyszymy, że sprawę miał pilotować szef KPRP. Miał trzymać rękę na pulsie, miał być w kontakcie itp. No i co z tego wynika dla naszej demokracji? Nic dobrego, bo w obliczu braku pomysłu na działania ofensywne, a być może w obliczu obaw przed takimi działaniami, demokracja walcząca – ta, która miała być zatrzymana – w najlepsze się rozpędza. W czasie prezydentury Dudy słyszeliśmy, że nic się nie da zrobić. Bezprawie szło taranem, a obywatele byli karmieni wzniosłymi słowami o tym, że może kiedyś, w przyszłości, ktoś wyciągnie konsekwencje. Wybór Karola Nawrockiego dla wielu osób był nadzieją na bardziej odważną i aktywną prezydenturę. To prawda, że zintensyfikowano używanie weta, ale to wobec wyzwań stojących przed Polską stanowczo za mało. Żarty się skończyły, naprawdę osunęliśmy się na poziom kryptodyktatury, a sędzia, który o tym wprost powiedział na oczach całej Polski, został poddany szykanom. Czy to wywołało reakcję Kancelarii Prezydenta? Jaką? Smutna prawda jest taka, że w owych dniach szef KPRP z większym zaangażowaniem przeżywał dzień pizzy niż groźby ministra sprawiedliwości pod adresem niezależnego sędziego, który stanął w obronie porządku konstytucyjnego Polski (nie żartuję – proszę prześledzić wpisy ministra w mediach społecznościowych). ■

NAPAD NA BUDYNEK KRS, RABUNEK DOKUMENTÓW, JAKIE TYLKO WPADŁY W ŁAPY NAPASTNIKÓW – TO JUŻ KOLEJNE STADIUM ROZKWITU DEMOKRACJI WALCZĄCEJ.

eprasa.pl b4d0954c29



eprasa.pl b4c0954629

Piotr Grochmalski



Grenlandia a zimna wojna 2.0

W strategicznej ocenie USA Grenlandia może być czynnikiem kluczowym dla odzyskania przez Stany Zjednoczone i NATO inicjatywy w gwałtownie przyspieszającej rywalizacji z Chinami. Ma to być swoisty as w rękawie, potężny sygnał ostrzegawczy dla Pekinu, aby nie zdecydował się na siłowe przejęcie Tajwanu, co mogłoby spowodować wybuch III wojny globalnej. Ma to wzmocnić skuteczne odstraszanie Pekinu, bo wzmocni geostrategiczną pozycję USA na półkuli zachodniej i da jej wartość dodaną w konfrontacji z ChRL. A wówczas realny gorący konflikt między dwoma mocarstwami może przejść w długotrwałą zimną wojnę.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl b4d0954c29

W interesie Zachodu powinna być gra na strategiczne wzmocnienie USA i wspieranie Waszyngtonu w strategii powstrzymywania Pekinu. Tymczasem Niemcy i Francja próbują wciągnąć Europę w konfrontację z USA, która może się zakończyć katastrofą Zachodu. A przecież batalia o Grenlandię to czytelny sygnał, że Stany Zjednoczone przyspieszają przygotowania do coraz bardziej realnego starcia z ChRL. We wspólnym interesie Starego Kontynentu jest wzmacnianie, a nie osłabianie kluczowego państwa, od którego zależy bezpieczeństwo całego Zachodu. Bo Grenlandia jest tym dla amerykańskiego bezpieczeństwa, czym Tajwan dla Chin.

„Arktyczna wielka gra"

Jak zauważa Hal Brands w swojej książce „Stulecie Eurazji", Chiny już nie chcą cierpliwie czekać na swój czas. Strategia Stanów Zjednoczonych ogłoszona 4 grudnia 2025 roku jasno pokazuje, że Waszyngton przechodzi do fazy długofalowych przygotowań wobec konfrontacji systemowej z ChRL w warunkach wyłaniającego się ładu dwubiegunowego. Dokument ten nie jest jedynie korektą dotychczasowych założeń polityki bezpieczeństwa, lecz sygnałem strategicznego przesilenia – uznania, że okres jednobiegunowej dominacji USA definitywnie się zakończył, a rywalizacja z Chinami przybiera charakter całościowy: militarny, technologiczny, gospodarczy i ideologiczny, geopolityczny. W tym sensie sytuacja ta częściowo przypomina okres bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej, gdy po krótkiej fazie powojennej niestabilności ukształtował się trwały porządek zimnowojenny oparty na rywalizacji dwóch supermocarstw – Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Dziś takie wyzwanie rzucają Chiny. Ale szef Pentagonu Pete Hegseth w listopadzie 2025 roku ostrzegał, że obecna międzynarodowa sytuacja jest porównywalna z okresem tuż przed 1939 rokiem. Może nas czekać zimna lub gorąca globalna wojna. Grenlandia odegra w tej rywalizacji ważną rolę, dlatego Chiny będą chciały za wszelką cenę przejąć kontrolę nad tą strategicznie ważną wyspą. Heather A. Colley, analityk American Enterprise Institute, w artykule opublikowanym jeszcze w czerwcu 2025 roku przewidywała, że czeka nas „arktyczna wielka gra". Podkreśliła przy tym, iż „Stany Zjednoczone nie mają wystarczającej obecności wojskowej ani infrastruktury morskiej, takiej jak porty głębinowe, aby bronić dużych połaci arktycznego terytorium. Siły amerykańskie są w stanie obsługiwać bazę kosmiczną Pituffik na północnym wybrzeżu Grenlandii, na przykład, ale nie są w stanie zabezpieczyć całej wyspy". To pokazuje znaczenie toczącej się „arktycznej wielkiej gry", w której liczy się każdy miesiąc. Amerykańscy analitycy wskazują jako realny termin agresji Chin na Tajwan 2027 rok. Równocześnie wówczas także Rosja miałaby uderzyć na wybrane państwo NATO. A to oznaczałoby radykalnie większe ryzyko przejęcia kontroli nad Grenlandią przez Chiny i FR. Jak zauważa Heather A. Colley: „Współpraca między Rosją a Chinami rozwija się od czasu ogłoszenia w 2022 roku »nieograniczonego partnerstwa«, które w Arktyce przełożyło się na wspólne operacje naukowe, kosmiczne i wojskowe, w tym patrole straży przybrzeżnej i marynarki wojennej".

Wariactwa Niemiec i Francji

Dlatego w interesie bezpieczeństwa USA i NATO jest znalezienie rozsądnego rozwiązania problemu Grenlandii. Nic nie zmieni faktu, że jedynie USA są w stanie zagwarantować bezpieczeństwo militarne tej największej na świecie wyspy i jej rdzennych mieszkańców, wspólnoty Inuitów liczącej 56 836 osób. Tak było zresztą w 1940 roku, gdy Dania została podbita przez III Rzeszę i istniało ryzyko, że Niemcy wymuszą na tamtejszych władzach zrzeczenie się praw do tej kolonii. To wówczas USA i Wielka Brytania, obawiając się niemieckich baz i U-Bootów na wyspie, przejęły nad nią kontrolę. W 1941 roku duński ambasador w Waszyngtonie, wbrew instrukcjom swojego rządu, podpisał porozumienie z USA. Pozwalało ono na obecność wojsk Stanów Zjednoczonych na Grenlandii, co uczyniło z wyspy amerykański protektorat wojskowy. Po wojnie USA bezskutecznie próbowały kupić wyspę od Danii. Skończyło się na zbudowaniu potężnej amerykańskiej bazy, w której, w krytycznym okresie zimnej wojny, stacjonował dziesięciotysięczny garnizon. A Kopenhaga dopiero w 1953 roku zmieniła kolonialny statut Grenlandii. W 2023 roku rdzenna ludność zakończyła prace nad konstytucją, która przewiduje suwerenność Grenlandii. Inuici są gotowi do jej procedowania. Musiałaby zostać przyjęta w referendum przez tamtejszą wspólnotę i zaaprobowana przez Danię, której wyspa jest obecnie terytorium autonomicznym. Kopenhaga decyduje o polityce zagranicznej i obronnej wyspy. Grenlandia nie ma własnej armii, a duński kontyngent liczący 300 żołnierzy nie jest w stanie zapewnić jej realnego bezpieczeństwa. Amerykańska załoga strategicznie ważnej Pituffik Space Base liczy ponad 200 osób.

W spór między Grenlandią, Danią i USA wmieszali się kanclerz Friedrich Merz, który chce w ten sposób podkreślić globalne ambicje Berlina, i prezydent

eprasa.pl b4d0954c29

Francji Emmanuel Macron. Dopingowali inne państwa europejskie do zdecydowanych działań. W porywie absolutnego szaleństwa Berlin i Moskwa wysłały garstkę żołnierzy na Grenlandię. Jednak Duńczycy nie chcą prowokować USA i zakazali lądowania na wyspie samolotom wojskowym innych państw. Dlatego francuska maszyna wykonała jedynie lot nad wyspą, a niemieccy żołnierze musieli wykorzystać polski samolot czarterowy, w ten sposób pośrednio wciągając nas w antyamerykańskie szaleństwo Merza. Po dwóch dniach Niemcy się zwinęli i wrócili do domu. Buńczuczna misja zakończyła się komicznie.

Geostrategiczne znaczenie Grenlandii

Grenlandia odgrywa dziś jedną z kluczowych ról w systemie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, a jej znaczenie rośnie wraz z postępującą militaryzacją Arktyki przez Federację Rosyjską. W wymiarze strategicznym wyspa ta stanowi integralny element obrony kontynentalnej USA, ponieważ Arktyka jest głównym kierunkiem potencjalnego ataku strategicznego ze strony Rosji. Najkrótsze trajektorie rosyjskich międzykontynentalnych pocisków balistycznych oraz trasy przelotu bombowców strategicznych prowadzą właśnie nad biegunem północnym, co sprawia, że Grenlandia znajduje się na pierwszej linii systemu wczesnego ostrzegania. Amerykańska baza Pituffik Space Base (dawniej Thule) pełni w tym układzie funkcję krytycznego węzła radarowego i kosmicznego. Jak podkreślono w amerykańskiej National Defense Strategy, „obrona ojczyzny zaczyna się na wysuniętych rubieżach, a nie na granicy", a Grenlandia jest klasycznym przykładem tak wysuniętej obrony. Znaczenie wyspy należy analizować w bezpośrednim związku z rozbudową rosyjskiej infrastruktury wojskowej w Arktyce. Rosja stworzyła spójny pas baz i instalacji wojskowych rozciągający się od Półwyspu Kolskiego przez Ziemię Franciszka Józefa i Nową Ziemię aż po Wyspy Nowosyberyjskie i Czukotkę. Infrastruktura ta obejmuje lotniska zdolne do obsługi bombowców strategicznych, systemy radarowe dalekiego zasięgu, rozbudowane zdolności obrony powietrznej oraz elementy stref A2/AD, które mają ograniczyć swobodę działania sił NATO w Arktyce i na Północnym Atlantyku. Rosyjska Flota Północna, oparta na strategicznych okrętach podwodnych przenoszących broń jądrową, traktuje Arktykę jako naturalny bastion operacyjny. Jak ujął to rosyjski dokument doktrynalny, Arktyka jest „strategiczną bazą zasobów i kluczowym regionem zapewnienia bezpieczeństwa narodowego Federacji Rosyjskiej".

W tym kontekście obecność Rosji na Svalbardzie, mimo formalnie zdemilitaryzowanego statusu archipelagu, ma szczególne znaczenie. Dla USA i NATO jest to przykład funkcjonowania tzw. szarej strefy, w której działania cywilne i naukowe łączą się z rozpoznaniem, aktywnością wywiadowczą i presją polityczną. Svalbard, podobnie jak inne punkty arktyczne, wpisuje się w rosyjską strategię stopniowego poszerzania kontroli informacyjnej i operacyjnej w regionie. Były dowódca US European Command, gen. Philip Breedlove, zwracał uwagę, że „Rosja wykorzystuje Arktykę do testowania granic reakcji Zachodu, unikając otwartej konfrontacji, ale konsekwentnie zmieniając status quo". Grenlandia stanowi w tym układzie zachodni filar arktycznej architektury bezpieczeństwa NATO oraz kluczową przeciwwagę wobec rosyjskiej dominacji militarnej na wschodniej flance Arktyki. Kontrola nad wyspą oznacza nie tylko zdolność monitorowania przestrzeni powietrznej i kosmicznej, lecz także zabezpieczenie podejść do Ameryki Północnej i północnego Atlantyku. Z perspektywy Waszyngtonu utrata realnego wpływu na Grenlandię oznaczałaby powstanie luki strategicznej w systemie odstraszania nuklearnego i obrony przeciwrakietowej. Jak trafnie ujął to jeden z raportów RAND Corporation, „Arktyka przestaje być peryferium, a staje się centralnym teatrem rywalizacji mocarstw".

Nie bez znaczenia pozostaje również wymiar chiński, który pośrednio wzmacnia znaczenie Grenlandii dla USA. Próby wejścia Chin na wyspę poprzez inwestycje infrastrukturalne i projekty gospodarcze były w Waszyngtonie postrzegane jako potencjalne zagrożenie strategiczne. Połączenie rosyjskiej obecności wojskowej z chińską obecnością ekonomiczno-technologiczną w Arktyce byłoby dla USA scenariuszem wysoce destabilizującym. Sekretarz stanu USA Mike Pompeo otwarcie stwierdził, że „Arktyka stała się areną globalnej rywalizacji o władzę i wpływy".

Punkt zwrotny

W rezultacie Grenlandia jawi się jako jeden z kluczowych punktów decydujących o bezpieczeństwie Stanów Zjednoczonych w XXI wieku. W warunkach rosnącej aktywności Rosji w Arktyce oraz erozji dotychczasowego ładu bezpieczeństwa region ten przestaje być strategicznym zapleczem, a staje się obszarem potencjalnej konfrontacji. Dla USA Grenlandia nie jest więc jedynie terytorium zależnym Danii, lecz elementem niezbędnym do utrzymania skutecznego odstraszania, kontroli strategicznej Arktyki i stabilności całego obszaru euroatlantyckiego. Stała obecność wojskowa na Grenlandii ma charakter

eprasa.pl b4d0954c29

ograniczony liczebnie, lecz strategicznie kluczowy. Dania, sprawująca formalną odpowiedzialność za obronę wyspy, utrzymuje tam relatywnie niewielkie siły, podporządkowane Dowództwu Arktycznemu (Joint Arctic Command). Są to głównie jednostki patrolowe i rozpoznawcze, personel logistyczny, elementy obrony terytorialnej oraz elitarne zespoły Sirius Patrol, prowadzące długodystansowe patrole wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża. Siły te nie mają charakteru klasycznej obrony militarnej, lecz służą podtrzymaniu suwerenności, kontroli obszaru, nadzorowi nad żeglugą, zadaniom SAR oraz obecności symboliczno-politycznej. A stały amerykański kontyngent w bazie Pituffik Space Base to głównie personel Sił Kosmicznych USA oraz elementy wsparcia technicznego i logistycznego. Ich zadania nie mają charakteru bojowego w sensie klasycznym, lecz obejmują obsługę radarów wczesnego ostrzegania przed atakiem rakietowym, monitorowanie przestrzeni kosmicznej oraz wsparcie systemu obrony przeciwrakietowej Stanów Zjednoczonych. W czasie zimnej wojny liczebność ta sięgała kilku tysięcy żołnierzy, co pokazuje, że obecna infrastruktura umożliwia szybkie zwiększenie obecności w sytuacji kryzysowej.

W efekcie Grenlandia jest dziś chroniona przez minimalne siły lokalne, lecz osadzona w strategicznej architekturze obronnej USA i NATO, w której kluczowe znaczenie ma nie liczba żołnierzy, lecz funkcje wczesnego ostrzegania, kontroli przestrzeni arktycznej i odstraszania strategicznego. To właśnie ta dysproporcja między niewielką obecnością wojskową a ogromnym znaczeniem strategicznym najlepiej oddaje rolę Grenlandii w systemie bezpieczeństwa euroatlantyckiego.

Chińskie zagrożenie

Chińskie zainteresowanie Grenlandią jest elementem szerszej, długofalowej strategii Pekinu wobec Arktyki, w której region ten postrzegany jest nie jako peryferium, lecz jako przyszła przestrzeń rywalizacji gospodarczej i geopolitycznej. W oficjalnym dokumencie rządowym China's Arctic Policy z 2018 roku Chiny określiły się jako „near-Arctic state" (państwo bliskie Arktyki) i zapowiedziały budowę tzw. Polarnego Jedwabnego Szlaku, podkreślając, że „Chiny mają nadzieję współpracować ze wszystkimi stronami w celu zbudowania Polarnego Jedwabnego Szlaku poprzez rozwój arktycznych szlaków żeglugowych". Grenlandia, ze względu na swoje położenie, zasoby surowcowe i niewielką liczbę ludności, została w tej strategii uznana za potencjalnie kluczowy punkt wejścia.

Najważniejszym obszarem chińskiego zainteresowania były metale ziem rzadkich i surowce krytyczne. Grenlandia posiada jedne z największych na świecie niewykorzystanych zasobów tych pierwiastków, kluczowych dla nowoczesnych technologii, energetyki i przemysłu zbrojeniowego. Chińska spółka Shenghe Resources uzyskała udziały w projekcie Kvanefjeld, jednym z największych złóż metali ziem rzadkich na świecie, co wywołało poważne obawy w Danii i USA. W amerykańskich analizach bezpieczeństwa podkreślano, że „kontrola nad łańcuchami dostaw metali ziem rzadkich ma znaczenie strategiczne porównywalne z kontrolą nad ropą naftową w XX wieku". Projekt Kvanefjeld został jednak zablokowany decyzjami politycznymi władz Grenlandii, które w 2021 roku wprowadziły restrykcyjne regulacje dotyczące wydobycia uranu, co de facto zahamowało chińskie zaangażowanie.

Drugim filarem chińskich prób budowy wpływów były projekty infrastrukturalne. W 2018 roku chińskie firmy państwowe, w tym China Communications Construction Company, zgłosiły zainteresowanie budową i finansowaniem lotnisk w Nuuk, Ilulissat i Qaqortoq. Inwestycje te miały charakter cywilny, lecz z perspektywy strategicznej dawałyby Pekinowi długoterminową obecność w kluczowej infrastrukturze transportowej wyspy. Reakcja USA i Danii była jednoznaczna. Waszyngton uznał te projekty za potencjalne zagrożenie bezpieczeństwa, a rząd w Kopenhadze zdecydował się przejąć finansowanie lotnisk, skutecznie eliminując udział Chin. Jak relacjonowały zachodnie media, „presja amerykańska była decydująca, ponieważ infrastruktura na Grenlandii nie jest postrzegana jako neutralna, lecz jako element architektury bezpieczeństwa NATO".

Równolegle Chiny starały się budować swoją obecność poprzez badania naukowe, dyplomację gospodarczą i aktywność w Radzie Arktycznej, w której od 2013 roku posiadają status obserwatora. Pekin konsekwentnie podkreśla, że jego działania mają charakter pokojowy i rozwojowy, argumentując, iż „Arktyka jest wspólną przestrzenią interesów całej ludzkości". Jednak w ocenach amerykańskich i europejskich dominuje przekonanie, że działalność naukowa i inwestycyjna Chin stanowi narzędzie stopniowego budowania wpływów politycznych i strategicznych. W efekcie chińskie próby uzyskania realnej kontroli lub trwałego wpływu na Grenlandii zakończyły się w dużej mierze fiaskiem. Zostały one zablokowane przez kombinację lokalnych obaw środowiskowych oraz zdecydowanego oporu Danii i Stanów Zjednoczonych, które postrzegają Grenlandię jako element kluczowy dla obrony Arktyki i północnego Atlantyku. Jak ujął to jeden z raportów ame-

eprasa.pl b4d0954c29

rykańskich think tanków, „Grenlandia stała się poligonem rywalizacji systemowej, w której inwestycje infrastrukturalne są narzędziem geopolityki, a nie wyłącznie biznesu". Mimo to zainteresowanie Chin nie zniknęło – zostało jedynie ograniczone i przesunięte w obszar pośrednich form zaangażowania, co sprawia, że Grenlandia pozostaje jednym z najbardziej wrażliwych punktów rywalizacji USA i Chin w Arktyce.

▶ Grenlandia a przygotowania USA do zimnej wojny 2.0

Nowa Strategia Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych ogłoszona 4 grudnia 2025 roku oznacza, że radykalnie skurczył się czas dla Zachodu na przygotowania do konfrontacji z Chinami, która zadecyduje o przyszłości USA i Europy. „Walka o Arktykę, z jej ogromnymi zasobami, będzie nową wielką grą XXI wieku" – zauważył w wywiadzie w lutym 2025 roku Steve Bannon, który pełnił funkcję głównego stratega na początku pierwszej kadencji prezydenta Donalda Trumpa. Ten, kto będzie panował nad Grenlandią, rozstrzygnie ową rywalizację Zachodu z totalitarnymi reżimami na swoją korzyść. Heather A. Conley zwraca uwagę na pilną potrzebę jednorodnego dowództwa na tym teatrze działań. Podkreśla, iż „Wojsko amerykańskie musi również usprawnić odpowiedzialność za operacje w Arktyce, obejmując je jednym regionalnym dowództwem. W istniejącej strukturze, opracowanej w 2011 roku, obowiązki operacyjne są podzielone między Europejskie Dowództwo USA, obejmujące europejską część Arktyki, a Północne Dowództwo USA i amerykańsko-kanadyjską organizację NORAD, które razem obejmują Amerykę Północną. Dowództwo Indo-Pacyfiku USA zarządza natomiast większością potencjału powietrzno-desantowego i zdolnościami armii USA w zakresie walki z zimnem z siedzibą na Alasce. Ponieważ każde dowództwo koncentruje się na własnym obszarze, żadna pojedyncza jednostka nie ma kontroli nad Arktyką jako całością. Nawet wschodnie i zachodnie wybrzeże Grenlandii podlegają odrębnym jurysdykcjom wojskowym. Zjednoczone subregionalne Dowództwo Arktyczne USA byłoby w stanie wykrywać i reagować na działania przeciwników w Arktyce oraz wspierać dowództwa regionalne".

Jak zwraca uwagę Hal Brands w swojej książce „Stulecie Eurazji", „Pekin otwarcie angażuje się w wielokierunkową globalną ofensywę, by uzyskać przywództwo […] oraz stopniowo spychać porządek pod przywództwem Stanów Zjednoczonych w przeszłość". Działania wobec Grenlandii, Panamy, Wenezueli, Iranu mają przywrócić USA inicjatywę strategiczną wobec aktywności Chin. Z perspektywy Białego Domu szczególne zagrożenie stanowiła możliwość konsolidacji wrogiego wobec Zachodu bloku państw na obszarze Eurazji. Wizja strategicznej osi obejmującej Chiny, Rosję, Iran oraz Koreę Północną była postrzegana jako scenariusz podważenia globalnej pozycji USA oraz trwałego ograniczenia ich zdolności projekcji siły. A wspólne działania Chin i Rosji, aby zdominować Ocean Arktyczny i przejąć kontrolę nad Grenlandią, oznaczałby śmiertelne zagrożenie dla Zachodu. Taki układ, oparty na komplementarności potencjałów – rosyjskich zasobów surowcowych i wojskowych, chińskiej potęgi przemysłowo-technologicznej, irańskich ambicji regionalnych oraz północnokoreańskiego komponentu odstraszania nuklearnego – mógłby skutecznie zdominować kluczowe obszary Eurazji, a w dłuższej perspektywie narzucić alternatywny wobec Zachodu porządek międzynarodowy. Jak zauważa Hal Brands: „Chiny […] dysponują obecnie największymi siłami rakietowymi i najliczniejszą flotą wojenną. Wielkość ich arsenału nuklearnego podwoiła się w okresie zaledwie trzech lat (2020–2023)". Dlatego po powrocie Donalda Trumpa do władzy jednym z priorytetów strategicznych stała się próba rozbicia tego nieformalnego, lecz coraz ściślej współpracującego układu. Działania podejmowane przez USA miały na celu zarówno osłabienie spójności osi antyzachodniej, jak i demonstrację determinacji w obronie własnych stref wpływów. W tym kontekście kwestia Grenlandii, tak samo jak schwytanie Nicolása Maduro, wpisuje się w logikę nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych. Jej znaczenie wykracza poza wymiar regionalny – porządkuje ona amerykańską pozycję mocarstwową na półkuli zachodniej, eliminując potencjalne przyczółki wpływów Chin i Rosji, a jednocześnie sygnalizuje gotowość USA do działań ofensywnych przed zasadniczą fazą globalnej rywalizacji. Całość tych działań można interpretować jako zapowiedź nadchodzącej zimnej wojny 2.0., w której główną linią podziału świata staje się rywalizacja między Waszyngtonem a Pekinem. W przeciwieństwie do XX-wiecznej konfrontacji amerykańsko-radzieckiej, nowy konflikt systemowy ma jednak charakter znacznie bardziej złożony: obejmuje sferę technologii przełomowych, kontroli łańcuchów dostaw, dominacji informacyjnej i wpływu normatywnego. Strategia z grudnia 2025 roku stanowi zatem nie tylko diagnozę nowej epoki, lecz także próbę jej aktywnego kształtowania przez Stany Zjednoczone, zanim układ sił ulegnie nieodwracalnemu przesunięciu na korzyść Chin. ■

eprasa.pl b4d0954c29



Jakub Maciejewski

Ostatni akt europejskiej dekolonizacji

epra...0954c29

Świat właśnie potępił nazizm i eksperymenty na ludziach, które miały założenia rasistowskich ideologii, w totalitarnym Związku Sowieckim już dwie dekady wcześniej zarzucono przerzucanie dzieci do innego kręgu kulturowego, by je wychowywać z dala od rodziców, gdy pewnego wiosennego dnia duńscy urzędnicy wsadzili na pokład w Nuuk 22 dzieci z Grenlandii. Były przeznaczone do eksperymentu, którego nie powstydziliby się Hitler, Stalin czy XIX-wieczni ideolodzy rasizmu.

FOT. WIKIMEDIA

Grupa sześciolatków miała zostać dobrana spośród sierot i wykazywać się normalnym poziomem rozwoju oraz normalną inteligencją i została wyselekcjonowana przez miejscowych duńskich pastorów. Duchowni mieli jednak problem ze znalezieniem sierot w tym wieku i z tymi kryteriami, więc wskazano także dzieci wychowywane w zdrowych rodzinach. Nieletnich zabrano do Europy, do Danii, bo rząd uznał, że na tym przykładzie pokaże nowe metody edukacji pozwalające dzikim Eskimosom poprowadzić szczęśliwe życie na kontynencie. „Byłam tak bardzo smutna, patrzyłam na mamę i nie rozumiałam, dlaczego mnie porzuciła" – wspominała 70 lat później Helene Thiesen, jedna z ofiar duńskiego eksperymentu.

Był to rządowy projekt inżynierii społecznej, który miał stworzyć super Grenlandczyków, lojalnych królestwu Danii. Wychowani w specjalnym trybie edukacyjnym, mieli powrócić na wyspę jako przyszła elita inuicka, prowadząca modernizację swojego narodu.

„Byliście częścią eksperymentu"

Duński „ładunek" trafił na letnią kwarantannę do specjalnego obozu, gdzie przyjechała nawet królowa Ingrid, zlecając uszycie dla dziewczynek specjalnych sukienek.

Dzieciom przedstawiono nauczycieli, którzy stopniowo przechodzili z nimi na język duński, porzucając znaną im mowę Inuitów. Podczas pobytu w Kopenhadze w samym Nuuk budowano specjalny sierociniec dla elitarnej grupki, ale z powodu opóźnienia część rodzin duńskich opiekujących się dziećmi postanowiła je adoptować, a nie odsyłać do zamorskiej instytucji. Po ponad roku z 22 dzieciaków na Grenlandię wróciło 16, by tam doznać kolejnej traumy. Tak po ponad pół wieku wspominała to 77-letnia Thiesen: „Gdy statek przybił do portu, chwyciłam moją walizeczkę i zbiegłam prosto w ramiona mamy i zaczęłam mówić, mówić i mówić wszystko, co widziałam. Ale ona nie odpowiedziała. Spojrzałam na nią zdziwiona. Gdy po chwili coś odpowiedziała, nie mogłam zrozumieć ani słowa. To było straszne, ale ja i moja mama mówiłyśmy dwoma innymi językami". W tamtejszych realiach miejscowa ludność, pozbawiona dostępu do informacji o swoich prawach, nie umiała się takiej polityce przeciwstawić i bezradnie przyglądała się eksperymentom urzędników zza morza.

Dzieci trafiły do specjalnego sierocińca, ale nauka grenlandzkiego była zakazana – tu miały wyrosnąć nowe elity, odróżniające się od Inuitów mową, obyciem, a nawet ubiorem.

Po ośmiu latach dzieci opuściły sierociniec, ale nie mogły odnaleźć się w dawnej rzeczywistości – większość wyjechała do Danii, nie rozumiejąc, przez co przeszła. Problemy psychiczne, depresje, poczucie bezsensu życia miały towarzyszyć wszystkim. Dopiero na starość usłyszeli od oburzonych badaczy z Duńskiego Archiwum Narodowego: „Byli-

Printed for p4d0954c29

ście częścią eksperymentu". Przez kolejne lata badacze, instytucje i inuickie rodziny nagłaśniały skandal, aż w mediach opublikowano przeprosiny wielu instytucji, m.in. organizacji Ratujmy Dzieci (sic!) czy duńskiego Czerwonego Krzyża. Najdłużej opierali się kolejni premierzy Danii, podkreślając, że przecież sprawa jest już dawno zamknięta i należy do kolonialnej przeszłości kraju. Dopiero pozew sześciorga osób, które dożyły tego okresu, wymusił na władzy i przeprosiny, i odszkodowanie w wysokości 250 tys. koron.

Inna kolonizacja

Nie jest to jedyna operacja społeczna, jaką rząd w Kopenhadze przeprowadzał na Grenlandii, która w ostatnim stuleciu była traktowana po prostu jak zamorska kolonia w iście rasistowskim stylu.

Choć wyspa była kolonizowana już od XVI wieku, to prawdziwa kontrola Kopenhagi nad tą ziemią została ustanowiona w XVIII wieku, gdy pozwoliły na to technologia i nieco cieplejszy klimat. Choć wówczas zachodnia Europa potrafiła handlować niewolnikami i eksterminować miejscową ludność, to kolonizacja Danii przebiegała względnie pokojowo – opierała się na zakładaniu faktorii handlowych i ustanawianiu misji chrystianizacyjnych. Zakładano więc punkty handlowe, budowano osady, powoływano dla osiedlających się tam Duńczyków samorządy decydujące o kształcie rozwoju lokalnej wspólnoty. Jest więc pewnym paradoksem, że najgorsze czasy dla rdzennej ludności nastąpiły dopiero wtedy, gdy świat się dekolonizował i zaczął przepraszać za podbój zamorskich terytoriów.

Z początkiem XX wieku status Grenlandii zaczął się jednak powoli zmieniać, bowiem ówczesny wymiar globalizacji i rywalizacji mocarstw wykazał, że kontrola Danii nad „zielonym lądem" jest iluzoryczna. Szereg osad na wybrzeżu nie dawało faktycznej władzy nad liczącym ponad 2 mln kilometrów kwadratowych lądem. Stany Zjednoczone już wtedy widziały, że ta strategicznie położona wyspa ma znaczenie globalne i małe państewko skandynawskie nie udźwignie odpowiedzialności za tę kolonię. Wówczas jeszcze Dania okupiła się sprzedaniem USA Wysp Dziewiczych, zwanych wówczas „duńskimi Indiami Zachodnimi". Ale rozgrywka o Grenlandię się nie zakończyła. W okresie międzywojennym Norwegia, dawniej połączona z Danią w unię personalną, domagała się części wyspy na mocy dawnych aktów kolonizacyjnych. A później nastała II wojna światowa – sama Dania broniła się przed Niemcami ledwie 24 godziny i kraj szybko wpadł w ręce Hitlera. Grenlandia stała się bardziej niezależna, a władzę sprawował tam gubernator – Eske Brun, ale sama wyspa także była obiektem zainteresowania Niemców. III Rzesza nie miała tu szczególnych planów inwazji, ale założenie stacji pogodowych i punktów kontrolnych pozwalałoby wzmocnić niemiecką flotę na północy Atlantyku – a na to Stany Zjednoczone nie mogły pozwolić. Najpierw wspierały więc Grenlandię zaopatrzeniem, a w 1941 roku objęły nad wyspą specjalny protektorat. Całość odbyła się za zgodą duńskiego ambasadora w Waszyngtonie, Henrika Kauffmanna, który podpisał się pod umową w sprawie obrony Grenlandii.

Sam Brun powołał 15-osobowe patrole w psich zaprzęgach, które kontrolowały wybrzeże i poszukiwały niemieckich agentów czy żołnierzy. Nie był to wielki wyczyn militarny, ale pokazywał on jednak zaangażowanie miejscowej ludności w zmagania tamtych lat.

Ameryka wchodzi do gry

Po zakończeniu działań wojennych prezydent Harry Truman nie wyraził zgody na wyjazd z Grenlandii amerykańskich wojsk. Duńscy politycy szeptali między sobą, że jest to nowy rodzaj okupacji, ale w warunkach zimnej wojny alternatywa była taka – albo wolny świat, albo komuniści.

Analizy przeprowadzone dla Kolegium Połączonych Szefów Sztabów wykazały, że Grenlandia i Arktyka są bardzo ważnym elementem światowego bezpieczeństwa w dobie rozwoju wojsk rakietowych. Jeśli spojrzymy na ziemski glob od góry, to zobaczymy, że Grenlandia nie leży na peryferiach, ale w połowie drogi między Moskwą a Waszyngtonem i pociski na przykład nuklearne mogłyby lecieć tamtą drogą, a nie jak w klasycznych wyobrażeniach – przez Europę i Atlantyk.

W USA szybko przedyskutowano ten problem, dochodząc do wniosku, że kwota 100 mln dolarów będzie uczciwą propozycją zakupu. 14 grudnia 1946 roku przekazano stosowny dokument odwiedzającemu Waszyngton duńskiemu ministrowi spraw zagranicznych.

Duński polityk już na wstępie kategorycznie odmówił jakiejkolwiek formy odstąpienia wyspy, ale w nomenklaturze amerykańskiej armii już ochrzczono wyspę mianem „największego na świecie wyspiarskiego lotniska". Cała propozycja była jednak przedmiotem ściśle tajnych rozmów, a formalnie poprzestano na podpisaniu w kwietniu 1951 roku umowy o obronie wyspy, która zakładała obecność amerykańskich wojsk. Miesiąc później rozpoczął się wyżej wspomniany eksperyment z 22 dzieci inuickich – i właściwie to w XX wieku Dania niejako obudziła się jako państwo kolonialne, chcące urządzić zamorski ląd wedle zasad pomijających głos rdzennej ludności.

Skolonizowana Grenlandia

W ramach powojennej modernizacji Dania przyjęła w 1953 roku nową konstytucję. Ustawa zasadnicza formalnie integrowała Grenlandią z Królestwem Danii i kończyła jej okres kolonialny. A jednak dla Inuitów był to dokument zewnętrzny i obcy, w którego powstawaniu nie wzięli udziału (konsultowano się tylko z grenlandzką Radą Pro-

eprasa.pl b4d0954c29

wincji). Co gorsza, Grenlandia jako „zwykła" część Danii miała być poddana głębokiemu procesowi modernizacyjnemu, aby osiągnąć „postęp" i dogonić Danię kontynentalną. W przeciągu dwóch dekad powstały wielkie plany przebudowy wyspy i jej społeczeństwa, tzw. G50 i G60. Była to de facto nowoczesna struktura kolonizacyjna – na wyspę przyjeżdżali duńscy urzędnicy, domagający się komunikacji w języku duńskim, zarządzający przesiedlenia lokalnej ludności do osad, by stworzyć zaplecze społeczne do tworzenia przemysłu łowieckiego i rybnego. Jak wykazują badania przeprowadzone już w XXI wieku, Duńczykom w Grenlandii żyło się lepiej niż miejscowej ludności – mieli wyższe płace i to ich preferowano w przydziale mieszkań. Zaledwie w ciągu 10 lat (od 1950 roku) Duńczycy z 4 proc. populacji wyspy stali się piątą częścią mieszkańców tego terytorium. Dostęp do stanowisk kierowniczych był ograniczony do ludzi kończących szkoły w Danii, co dyskryminowało Inuitów. Grenlandia wybierała dwóch reprezentantów do duńskiego parlamentu (Folketing), w którym zasiada 179 osób.

Przesiedlanie ludności i skupianie jej w odgórnie zaplanowanych wspólnotach było przeprowadzane bez konsultacji z miejscową ludnością. Symbolem nieudolności i nieadekwatności duńskich rozwiązań była budowa Bloku P w stolicy Grenlandii – Nuuk. Wzniesiony w latach 1965–1966, stał się miejscem docelowym przesiedleń, jednak zupełnie niedostosowanym do życia na wyspie.

Wyglądało to trochę tak jak przymusowe osiedlanie ludności Romskiej w Nowej Hucie w latach PRL – bez uwzględnienia ich warunków kulturowych i potrzeb społecznych. Czteropiętrowy blok zawierał aż 320 mieszkań i był najdłuższym (320 metrów) blokiem w całym państwie, ale łowiecko-rybacka ludność z trudem dostosowywała się do tamtych warunków: zbyt wąskich drzwi, by wchodzić w zimowych futrach, zbyt niskich sufitów, by przechowywać tam sprzęt wędkarski, z europejskimi łazienkami, które inuiccy rybacy wykorzystywali jako miejsce oskrobywania ryb. Od pokoleń mieszkający w pomniejszych chatach i wędrujący za ławicami ryb czy za fokami Inuici zostali więc osiedleni wedle wytycznych osobnej komisji parlamentu w Kopenahdze.

Grenlandia boleśnie też odczuła wstąpienie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej wraz z Danią w 1973 roku, gdy kontynentalne firmy dostały możliwość na przykład prowadzenia połowów na obszarze należącym do wyspy. Ponad dekadę zajęło Inuitom przeprowadzenie procesu wyjścia EWG.

Najnowsze ludobójstwo Europy?

Gospodarka, edukacja czy opieka społeczna były sterowane z europejskiej części kraju, czyniąc z Inuitów ludność skolonizowaną. Ale najgorsze okazały się wytyczne instytucji związanych z Ministerstwem Zdrowia. W latach 60. i 70. tysiące młodych kobiet, często nieletnich, zostały poddane zabiegowi wszczepienia wkładki wewnątrzmacicznej, która uniemożliwiała im zajście w ciąże. W Kopenhadze obawiano się szybkiego wzrostu populacji Inuitów w związku z prawdopodobnymi oczekiwaniami socjalnymi tamtej ludności – należało budować domy, przedszkola, szkoły i całą infrastrukturę dla nowych rodzin. Łatwiej więc było uznać, by tamtejsze kobiety po prostu... nie rodziły.

Dziewczęta nie tylko nie wyrażały na to zgody, niektórych nie informowano, jakiemu zabiegowi są poddawane, a w tamtych czasach i na tamtych terenach świadomość tego typu antykoncepcji była mniej niż nikła. Wszystkie najstraszniejsze szczegóły tamtego przedsięwzięcia nie są jeszcze zdane, gdyż pełne śledztwo prowadzone jest dopiero od 2023 roku, obejmuje tysiące świadków i dziesiątki tysięcy stron dokumentów. Rząd przyznał się do całej skali planów przymusowej antykoncepcji dopiero wówczas, gdy 150 grenlandzkich kobiet złożyło pozew zbiorowy przeciwko państwu duńskiemu. Część z kobiet także po usunięciu spirali nie mogło zajść w ciążę. „To była sterylizacja" – stwierdziła Naja Lyberth, pierwsza kobieta, która publicznie przyznała, co jej zrobiono, gdy miała zaledwie 14 lat. W szkole po prostu nakazno jej udać się do szpitala, gdzie na nieświadomej dziewczynie przeprowadzono eugeniczny zabieg.

Na przełomie lat 60. i 70. połowa młodych kobiet została odgórnie pozbawiana możliwości zajścia w ciążę.

W Danii trwa dyskusja na temat skali i charakteru tej zbrodni na młodych grenlandzkich kobietach. Nie brak i głosów nazywających tamtejszą operację po prostu ludobójstwem – wszak była masowa i wymierzona w ludność z powodów kryteriów etnicznych i narodowych.

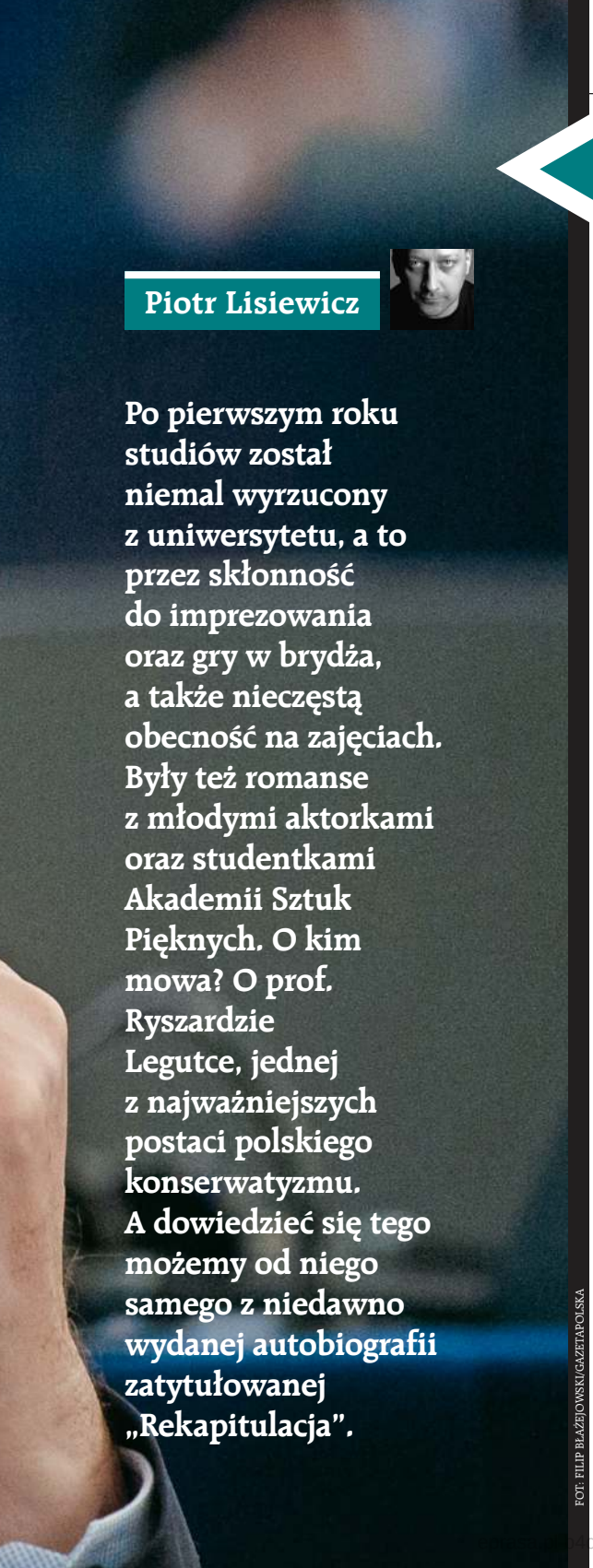
Na Grenlandii wciąż odzywają się głosy, że polityka przymusowej antykoncepcji trwała także po 1992 roku (gdy sprawy medyczne przeszły pod zarząd lokalnych władz), choć w 1979 roku, na mocy grenlandzkiego referendum, wyspa otrzymała autonomię i status państwa składowego Królestwa Danii.

Rzut oka na sytuację miejscowej ludności pozwala przypuszczać, że wiele ze zbrodni na Grenlandczykach dopiero ujrzy światło dzienne. Ledwie w styczniu 2025 roku Dania zrezygnowała z przeprowadzania „testów kompetencji rodzicielskich" wśród inuickich rodzin. Na mocy tych psychologicznych testów urzędnicy mieli prawo podjąć decyzję o odseparowaniu dzieci od rodziców, choć kwestionariusz zawierał pytania naturalne dla europejskich warunków komunikacji, przyrody czy aktywności, a nie w słabo zaludnionej, peryferyjnej Grenlandii. Co ciekawe, rząd zapowiedział dostosowanie testów kompetencji pod inuickie warunki kulturowe właśnie po tym, jak Donald Trump przypomniał o amerykańskich aspiracjach przejęcia Grenlandii. Zatem już sam fakt zainteresowania „zielonym lądem" zmusił kolonizatorów z Kopenhagi do potraktowania Inuitów jak pełnowartościowych ludzi. ■

eprasa.pl b4d0954c29



Ryszard Legutko i polskie zapasy nad przepaścią



Piotr Lisiewicz

Po pierwszym roku studiów został niemal wyrzucony z uniwersytetu, a to przez skłonność do imprezowania oraz gry w brydża, a także nieczęstą obecność na zajęciach. Były też romanse z młodymi aktorkami oraz studentkami Akademii Sztuk Pięknych. O kim mowa? O prof. Ryszardzie Legutce, jednej z najważniejszych postaci polskiego konserwatyzmu. A dowiedzieć się tego możemy od niego samego z niedawno wydanej autobiografii zatytułowanej „Rekapitulacja".

FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETAPOLSKA

Takich zaskakujących anegdot jest w niej wiele. Profesor wspomina na jej stronicach, jak po Marcu '68 w Krakowie poddany został reedukacji poprzez praktyki w zakładach pracy: „Wprowadzono też tzw. studenckie praktyki robotnicze, czyli obowiązek pracy przez miesiąc w czasie wakacji w jakimś zakładzie po to, by w trakcie tego miesiąca zdrową krew robotniczą przetoczyć do organizmów studenckich. Z tym przetaczaniem było różnie. Co do mnie, to zostałem skierowany do pracy w krakowskiej rozlewni piwa Okocim. Było to skądinąd interesujące doświadczenie, jakkolwiek przetaczanie, jakiemu się oddawałem, nie miało charakteru politycznego".

Dziś nikt nie zatrudniłby prof. Legutki na uniwersytecie

No i trudno, żeby takich anegdot nie było, skoro jest to opowieść o życiu, które było barwne – od kresowych korzeni w Samborze, przez krakowskie dzieciństwo, studencki krakowski bunt w 1968 roku, anglistykę i filozofię, podziemne pismo „Arka", zaciekawienie liberalizmem i porzucenie go, do szefowania konserwatywnej frakcji w Parlamencie Europejskim.

Do najciekawszych należą fragmenty, w których Legutko dokonuje rozrachunku ze środowiskiem uniwersyteckim, w którym funkcjonował przez kilkadziesiąt lat. Jak konstatuje profesor, gdyby dziś miał zostać zatrudniony na uczelni, miałby na to mniejsze szanse niż w… państwie komunistycznym. „Sito ideologiczne jest niewątpliwie dzisiaj gęstsze, niż było w latach, gdy zaczynałem pracę na UJ" – pisze Legutko. Skojarzyło mi się to z moim własnym spostrzeżeniem: ani poznańskie, ani gdańskie krzyże, pomniki należące do symboli miast buntu z lat 1956 i 1970, nie mogłyby dziś powstać. Prezydent Jaśkowiak czy prezydent Dulkiewicz stawiający w centrum miasta olbrzymi krzyż? To kompletnie nieprawdopodobne.

„Towarzyskie hierarchie zostały nietknięte"

Jaka jest geneza obecnego stanu? Legutko opisuje środowisko akademickie jako „potulne", w którym nieliczni zaangażowali się w opozycję, nieliczni byli też donosicielami. Dominowała właśnie potulność, niewychylanie się. A gdy komunistyczny aparatczyk z uczelni wygłosił do pracowników pogadankę ostrzegającą przez politycznymi zagrożeniami, składała się ona z… niedomówień, musieli oni sami domyślać się, w jaką to straszną awanturę mogliby się wdać.

Jak pisze Legutko, w Sierpniu '80 na uniwersytetach „zniknęły niedomówienia, wyparowała potulność", ale na bardzo krótko, by powrócić i trwać do

id0954c29

roku 2026. „Po 1989 r. miało być już zupełnie inaczej, lecz, ku naszemu osłupieniu, tak zupełnie inaczej nie było" – stwierdza Legutko.

Jak ocenia, po 1989 roku na uniwersytetach „towarzyskie hierarchie zostały nietknięte". Legutko opisuje, jak w czasach Solidarności niektórzy akademicy rezygnowali z członkostwa w PZPR, jednak mimo to mentalnie nie byli w stanie przejść na niepodległościową stronę. I nie sposób wyobrazić ich sobie oddających cześć Żołnierzom Wyklętym: „O ile wiece partyjne, wieczny sojusz ze Związkiem Radzieckim mieściły się w ich światopoglądowym DNA, o tyle msze (nawet bez ich czynnej obecności) i oddawanie hołdu majorowi Łupaszce już nie". Opisuje, jak ich język dewastował polską wrażliwość. Nie było już „księdza, który się modli i oddaje życiu duchowemu", lecz „facet w sukience, który jest łasy na szmal i cierpi na obsesje erotyczne".

PZPR nie kompromituje. Podejrzenie o Radio Maryja tak

Profesor wspomina, jak w III RP kandydował na dziekana swojego wydziału. Rozpuszczono wówczas wśród pracowników UJ plotkę, że jest on związany z Radiem Maryja, co skądinąd nie było prawdą. I takiego oszołoma nie można było poprzeć. Natomiast fakt, że konkurent był w PZPR, zupełnie w tym świecie nie przeszkadzał. Dotyczyło to także najwyżej postawionych w partii komunistycznych postaci. Towarzysz Hieronim Kubiak, członek Biura Politycznego PZPR w czasie wprowadzaniu stanu wojennego, pozostawał w III RP na Uniwersytecie Jagiellońskim jedną z najbardziej wpływowych postaci.

Bo dalej po 1989 roku na uniwersytetach trwała atmosfera potulności. Co warto przypomnieć, pracownikom uczelni niespieszno było do NATO, nie naciskali też na szybkie pozbycie się z Polski Armii Czerwonej. Natomiast pierwszą poważną polityczną mobilizacją na uczelniach, wymagającą zaangażowania naukowców, był... sprzeciw wobec lustracji. Jak pisze Legutko, w „odwróconym porządku moralnym", który wówczas zaprezentowano, donosiciele byli ofiarami nagonki, a pragnący oczyszczenia inkwizytorami.

Tak formował się okrągłostołowy świat akademicki „scalony starymi i nowymi konformizmami", w którym „do ideologii ciągłości akademicy wprzęgli liberalizm". Skompromitowani kolaboracją z komunizmem i donoszeniem naukowcy z ogromną ulgą dowiadywali się, że konserwatyści są potępiani także na Zachodzie, i odkrywali, że Zachód ma z komunizmem wiele cech wspólnych. Tak wykuwał się nowy akademicki etos, którego częścią stały się tak pobłażliwość dla komunistów, jak i zamordyzm wobec mas. Czyli chłopów i robotników, będących rzekomymi zawalidrogami w procesie transformacji. Połączenie przekonania o własnej mądrości z pogardą dla zwykłych ludzi. Edukacja wykorzystywana jako narzędzie depolonizacji.

Pigoń i Nitsch wylecieliby z UJ

Zjawisko to połączyło się z biurokratyzacją uczelni, koniecznością zdobywania punktów. Jak pisze Legutko, w efekcie z uczelni zniknęli – będący na nich przez wieki – ekscentrycy i dziwacy. Dla najbardziej genialnych i barwnych postaci dawnego UJ, na przykład profesorów Kazimierza Nitscha czy Stanisława Pigonia, nie byłoby dziś miejsca, system by ich się pozbył i upokorzył. Profesor Legutko, jako naukowiec z kilkudziesięcioletnim stażem, konkluduje gorzko: „Nie mam zaufania do środowiska akademickiego i widzę w nim słabe ogniwo wolności. Powiem więcej: widzę w nim także słabe ogniwo polskości". Opisując postawę niektórych, przywołuje Bogusława Radziwiłła, który oznajmił Kmicicowi, że będzie mówił po niemiecku, bo od mówienia po polsku pierzchną mu wargi.

Jak działają dziś uniwersytet i sądy zaprzęgnięte do nowo-starej ideologii? Legutko pisze: „Gdyby liberałowie dzisiaj sądzili Jezusa, to wyrok skazujący wydaliby dość szybko, dowodząc, że oskarżony był wrogiem społeczeństwa otwartego, łamał zasadę rozdziału religii i polityki, szerzył pogardę wobec innych religii, deptał godność ludzi, każąc im oddawać sobie cześć, i dopuszczał się wielu innych przewinień. Następnie tekst wyroku opatrzyliby obszerną deklaracją, że oni, liberałowie, zawsze stoją i stać będą na straży wolności słowa, wolności religii i wolności zgromadzeń, ale że te wolności muszą mieć charakter inkluzywny, a nie, jak w przypadku oskarżonego, wykluczający i dyskryminacyjny". Jego zdaniem łączenie liberalizmu z wolnością... jest jednym z największych szwindli w historii filozofii, tym bardziej groźnym, że przez wielu niezauważonym.

Ciocia Luna Brystygier

Jaki rodowód spowodował, że Ryszard Legutko nie boi się dziś łamać największych środowiskowych tabu? Jego ojciec był dowódcą leśnego oddziału AK koło Lwowa, po wojnie krótko związanym z WiN. Jako dziecko zapamiętał przystawiony pistolet do głowy Mamy, gdy w ich mieszkaniu był kocioł, bo szukano oficera WiN, mającego być u nich. Jak pisze Legutko, było to całkiem inne doświadczenie od rodzin, w których na obiedzie mogli być ciocia Helena Wolińska,

eprasa.pl b4d0954c29

ciocia Luna Brystygier czy wujek Zygmunt Bauman. Była to różnica pomiędzy rodzinami, w których świętem była procesja Bożego Ciała, a tymi, w których opowiadano sprośne dowcipy o księżach. Ale i z tymi drugimi przyszło mu się zetknąć, gdy dzieci komunistów w 1968 roku zaczęły walczyć z komunistycznym państwem z pozycji… marksistowskich.

Ale nie było tak, by w powojennych latach z punktu widzenia dziecka nie było elementów normalności. W szkołach pracowali jeszcze przedwojenni nauczyciele, władza w ramach kompromisów pozwalała działać Kościołowi, który, jak pisze, miał wówczas większy wpływ na wychowanie młodzieży niż w czasach mniej represyjnych. Częścią ówczesnego wychowania były książki, a te pochłaniał jako nastolatek, także czytając je z latarką pod kołdrą, gdy rodzice wyłączyli światło. Był Karol May i Old Shatterhand, ale przede wszystkim Adam Mickiewicz i Henryk Sienkiewicz. Ale przyszły profesor miał też dostęp do książek w PRL niewydawanych, jak przygodowe powieści Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego. A wszystko to dzięki sąsiadce, mającej przedwojenną domową bibliotekę.

Jaruzelski reedukuje

Ryszard Legutko urodził się w 1949 roku w Krakowie, ale wielkie znaczenie miał dla niego kresowy rodowód. Jego matka urodziła się w Samborze, pracowała tam na poczcie i poznała ojca, piłkarza trzecioligowej Sparty Sambor. Przedwojenny Sambor był miastem klasztorów i ogrodów, z czego nic nie zostało do współczesnych czasów.

Studia to był czas, w którym słuchało się Ewy Demarczyk i Marka Grechuty, a bycie studentem jeszcze coś znaczyło. Bunt Marca '68, gdy Legutko był studentem I roku w Krakowie, popierającym studentów z Warszawy, był spontanicznym wybuchem, pozbawionym struktury organizacyjnej, na który usiłowali wywierać wpływ także komunistyczni profesorowie. Były awantury z milicją, pobicia studentów, a nawet profesorów, ale potem wszystko wróciło do „normalności". Jak wspominał z pozycji studenta, „nadchodzące kolokwia i egzaminy odwróciły naszą uwagę od spraw politycznych. Zapomnieliśmy, niestety, rychło także o naszych kolegach, który zostali ukarani za marcowe ekscesy, a samopomoc ofiar komunizmu jeszcze nie istniała". Działały natomiast studenckie szkolenia wojskowe, na które trafił. A tam: „Kapral, nawykły do głośnych komend, z lubością powtarzał frazę o tych »skurwysynach«, których złamał i doprowadził do porządku… z pewnością oficerowie i podoficerowie Ludowego Wojska Polskiego, już wtedy pod komendą Wojciecha Jaruzelskiego, tak właśnie wyobrażali sobie swoją rolę reedukacyjną". W przypadku Legutki była tylko reedukacja na praktykach robotniczych, połączonych z degustacją piwa Okocim.

Przyszły profesor najpierw studiował anglistykę, zafascynowany brytyjską potęgą, która powodowała funkcjonowanie anglojęzycznych nazw na całej mapie świata, a po trzech czy czterech latach anglistyki zaczął studiować filozofię. Interesował się nią od… 12. roku życia, kiedy wpadły w jego ręce książki prof. Władysława Tatarkiewicza. Filozofią starożytną zainteresował się m.in. z powodu zniechęcenia do filozofii nowożytnej. W opowieści o tych czasach odnajdujemy „znajomą" z wiersza Zbigniewa Herberta „Potęga smaku" prof. Izydorę Dąmbską, prześladowaną na uczelni, prof. Przemysława Mroczkowskiego, który chronił anglistykę przed „czerwoną zarazą", a także naukowca, o którym czytamy, że oddawał „zdawkowe hołdy ideologicznym bóstwom", cytując Marksa i Lenina, ale w sumie był to rzetelny badacz. Pojawiają się też donosiciele bezpieki.

Mamy opisy cudu Solidarności, a potem odnajdujemy Legutkę w redakcji „Arki", jednego z najważniejszych pism podziemnych w Polsce, do którego zaproszony został przez hipisa Ryszarda Terleckiego.

Marks do nas wróci

W III RP Legutko, znawca Platona i Sokratesa, zaczął być atakowany przez środowisko „Gazety Wyborczej" ze względu nas swą publicystykę, został nawet nazwany ideologiem… skinheadów. Miał przekonanie, że Marks do nas… wróci, w czasie gdy nikt tak nie myślał, bo dzieła Marksa wyrzucane były na śmietnik, ponieważ ich sterty zalegały w magazynach bibliotek. Wrócił oczywiście w innym, odświeżonym wydaniu.

Sam do polityki wszedł w 2005 roku, namówiony przez swojego rówieśnika, Jarosława Kaczyńskiego. O Kaczyńskim pisze, że to „wymarzony typ polityka inteligenta, który powinien zostać pupilem polskiej inteligencji". Nie został nim, bo „zakwestionował owo samozwańcze przywództwo właścicieli III RP". Nie dość, że zakwestionował, to jeszcze okazał się „człowiekiem sprawnym organizacyjnie, zdolnym do złamania monopolu przez stworzenie liczącej się politycznej alternatywy".

W parlamencie Myszki Miki

W Parlamencie Europejskim, nazwanym niegdyś przez Margaret Thatcher „parlamentem Myszki Miki", zasiadał u boku Nigela Farage'a. Przez 15 lat był

eprasa.pl b4d0954c29

w PE przewodniczącym delegacji PiS, a przez osiem – współprzewodniczącym grup EKR.

Jak pisze, starał się „definiować naturę europejskiego sporu". Jako znawca dawnych ustrojów miał świadomość, że w polityce argumenty nie mają pierwszorzędnego znaczenia. Gdy chodzi o partyjną politykę, nie należąc do PiS, czuł się outsiderem, którego status zależał wyłącznie od Jarosława Kaczyńskiego.

„Nasza uniżoność i ich pańskość"

Jak widział Unię Europejską? Stwierdzał, że „struktura władzy pozostawała w związku dość luźnym z traktatami". Relacje pomiędzy Europą Środkowo-Wschodnią a Niemcami? „Nasza uniżoność i ich pańskość". Zżymał się, że UE „pod względem agresywnej mistyfikacji i automistyfikacji przypomina system sowiecki". Przypominał, że „to w Europie wybuchły dwie wojny światowe; to w niej powstały i z niej się antysemityzmu reprezentowała polski nacjonalizm, chrześcijański fanatyzm i żydożerstwo".

Socjopata Tusk

Jak Legutko patrzy na czasy, w których dziś żyjemy? Charakteryzują się one „pyszałkowatością" nieporównywalną z żadną inną epoką, choć każda z epok pewne skłonności ku takiej postawie przejawiała. W III RP odczuwał zawód, że „wyzwoliwszy się od zewnętrznej władzy despotycznej, okazaliśmy się tak mało wolni wewnętrznie". Polacy słyszeli w niej w kółko: „Skoro wreszcie uzyskaliście wolność, to teraz musicie robić to i to".

Jak na tym tle widzi obecnego premiera? O Tusku pisze wprost, że to „osobowość socjopatyczna". Skalę zła dokonaną przez tę osobę opisuje tak: „Żaden człowiek ponoszący taką odpowiedzialność za kraj nie mógłby równie maniacko i na porównywalną skalę

Profesor wspomina, jak w III RP kandydował na dziekana swojego wydziału. Rozpuszczono wówczas wśród pracowników UJ plotkę, że jest on związany z Radiem Maryja (co nie było prawdą) i takiego oszołoma nie można było poprzeć. Natomiast fakt, że konkurent był w PZPR, zupełnie w tym świecie nie przeszkadzał.

rozprzestrzeniły dwa totalitaryzmy – czerwony i brunatny". Obrazoburczo przypominał, że Europa jest „niesłusznie dumna z pokonania totalitaryzmów".

O europejskiej scenie politycznej pisał, że od lewicy do prawicy wszystkie partie są „genderowe, aborcyjne i zielone". Język Zachodu uznawał za „z istoty swojej kłamliwy", zaś UE za „najbardziej ostentacyjną w swej nachalności kłamstwa". Pisał, że „liberalna demokracja wyprodukowała znacznie więcej myślozbrodni niż komunizm".

Jak zauważał, w świecie politycznej poprawności filmy z czasów komunizmu nierzadko robią wrażenie patriotycznych, by nie powiedzieć nacjonalistycznych. O jednym z nich Legutko pisze: „»Korczakowi« zarzucano, że przy końcu filmu Wajda wprowadził motywy chrześcijańskie, co wobec żydowskości Korczaka miało, wedle krytyków, motywacje antysemickie. Pikantnym aspektem tych oskarżeń – dostrzeganym dopiero dzisiaj – jest to, że scenariusz do »Korczaka« napisała Agnieszka Holland. I pomyśleć, że były takie czasy, że to właśnie ona w oczach tropicieli kłamać". Mechanizm polityczny związany z osobowością Tuska ma wpływ na całą scenę polityczną. Na czym polega to oddziaływanie? „Jest człowiekiem mściwym i to w stopniu niespotykanym u żadnego z obecnych i przeszłych polityków III RP. Gdy mściwość przekracza pewne granice i zaczyna sterować całym działaniem człowieka, to podejrzenie socjopatii nabiera wiarygodności".

Jeśli coś można zarzucić Autorowi, to zbyt rzadkie dostrzeganie światełka w tunelu. Wprawdzie Legutko pisze, że (podobnie jak niżej podpisany) czytał Trylogię Sienkiewicza niezliczoną ilość razy i wie od Zagłoby, że „Nie masz takowych terminów, z których by się viribus unitis przy Boskich auxiliach podnieść nie można". Z tym że dzisiaj na owo „viribus unitis", czyli zjednoczenie polskich sił, liczyć nie można. A jak pisze, polskie zapasy nie są normalną sportową walką, a zapasami nad przepaścią. „Na czym może polegać odrodzenie w społeczeństwie wykarczowanym i czy w ogóle jest ono możliwe?" – z tym pytaniem pozostawia nas prof. Ryszard Legutko. ■

eprasa.pl b4d0954c29

Ryszard Legutko

REKAPITULACJA

dostępna w **księgarni Gazety Polskiej**

EDYCJA LIMITOWANA

1000 egzemplarzy z podpisem autora

Cena: 69.90 zł +19 zł przesyłka





Książka o zdobywaniu mądrości napisana przez najmądrzejszego człowieka, jakiego spotkałem. Autobiografia intelektualna na tle bezpardonowej analizy upadku naszej cywilizacji. Gorzki ma smak, lecz odświeżający. Nie pozostawia złudzeń, ale pokazuje dobrą drogę.
– prof. Andrzej Nowak

JAK **ZAMÓWIĆ**

Wejdź na **sklep.GazetaPolska.pl**
bądź zadzwoń pod numer: **22 232 37 70**

Dane do przelewu lub wpłaty na poczcie: Niezależne Wydawnictwo Polskie sp. z o. o.,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa. Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
*W tytule przelewu prosimy wpisać: tytuł książki, imię i nazwisko, adres wysyłki oraz numer telefonu.

eprasa.pl b4d0954c29



Mateusz Matyszkowicz



PRZYPADKI KONFUCJUSZA W PARTII KOMUNISTYCZNEJ

Kiedy w 1981 roku Jean-Michel Jarre występował w Chinach, był pierwszym zachodnim muzykiem tej klasy, który nawiedził państwo po rewolucji maoistowskiej. Jego koncert był zapowiedzią powolnego otwierania się Chin na zachodnią cywilizację jako bardziej rozwiniętą. Kolejny jego koncert w 2004 roku to już inna epoka. Chiny nie są wpatrzone w Zachód, ale żądają uwagi Zachodu dla siebie. Jarre występuje wtedy w Zakazanym Mieście, komunikując tak naprawdę, że teraz Orient jest wyznacznikiem nowoczesności, a wraz z nim cały ten propagandowy sztafaż, którego częścią stał się reaktywowany konfucjanizm.

eprasa.pl b4d0954c29

Konfucjanizm kojarzy się odbiorcom Zachodu pozytywnie – i jest to w pełni zrozumiałe. Mamy bowiem do czynienia z jednym z najbardziej rozwiniętych systemów filozoficzno-etycznych w historii ludzkości, niemal równolatkiem klasycznej filozofii greckiej, który – podobnie jak jego europejski odpowiednik – nie tylko przetrwał, lecz także wykształcił ciągłość interpretacyjną aż po współczesność. Tak jak platonizm, arystotelizm czy stoicyzm, konfucjanizm nie jest zamkniętym zbiorem doktryn, lecz żywą tradycją refleksji nad człowiekiem, wspólnotą i władzą, zdolną do adaptacji w zmieniających się warunkach historycznych.

Najpierw Etyka

U swego zarania konfucjanizm nie był doktryną legitymizującą istniejącą władzę polityczną, lecz raczej normatywnym projektem etycznym, który nakładał spójny zestaw wymagań zarówno na rządzących, jak i rządzonych. Nie stanowił ideologii w sensie nowoczesnym, lecz pełnił funkcję systemu stabilizującego porządek społeczny, opartego na internalizacji norm, a nie na sankcji czysto przymusowej.

Na poziomie mikrospołecznym konfucjanizm afirmował wartości takie jak posłuszeństwo, pracowitość i lojalność, zakorzenione przede wszystkim w strukturze rodziny. Relacje rodzinne – synowskie oddanie (xiao), hierarchia ról, wzajemne zobowiązania – stanowiły model, który miał być następnie rozszerzony na całą wspólnotę polityczną. Państwo było w tej perspektywie „rodziną powiększoną", a władza nie tyle emanacją siły, co funkcją odpowiedzialności.

Jednocześnie konfucjanizm bardzo wyraźnie regulował relacje wewnątrz elity rządzącej, próbując narzucić jej surowe karby moralne. Władca nie był w nim figurą absolutną, lecz podlegał ocenie etycznej; jego autorytet miał wypływać nie z przymusu, lecz z moralnego oddziaływania własnego przykładu (de). Konfucjańska koncepcja rządzenia zakładała, że rzeczywistość społeczna kształtowana jest przede wszystkim poprzez modelowanie postaw, a nie poprzez nagą dominację. Jak sugerują Analekta, najlepsze rządy to takie, w których prawo i kara stają się wtórne wobec wychowania i cnoty.

W tym sensie konfucjanizm był od początku projektem antydespotycznym, choć nie egalitarnym. Odrzucał arbitralność i przemoc jako podstawę władzy, uznając je za oznakę jej degeneracji. Szczególnie wyraźnie wybrzmiewa to w myśli Mencjusza, który rozwija ideę, że władca nadużywający swej pozycji traci moralną legitymację, a lud zachowuje prawo odmowy posłuszeństwa. Tyran przestaje być władcą w sensie normatywnym i może zostać obalony bez naruszenia porządku moralnego – ponieważ to on pierwszy ten porządek złamał.

Z tego względu konfucjanizm u swego początku nie był użyteczną „kalką ideologiczną" dla propagandy władzy, lecz raczej źródłem stałego napięcia między normą a faktem, między ideałem rządów cnotliwych a realną praktyką polityczną. Jego funkcją było stabilizowanie państwa i życia społecznego nie przez sakralizację siły, lecz przez etyczne ograniczenie władzy, nawet jeśli ograniczenie to miało charakter moralny, a nie instytucjonalny w nowoczesnym sensie.

Trochę w sensie formalnym przypominało to łacińskie specula, czyli zwierciadła, dziełka pisane najczęściej przez chrześcijańskich mnichów we wczesnym średniowieczu, których celem było stworzenie systemu wychowawczego na dworach królewskich i książęcych. Było to przekonanie, że system będzie moralny i dobry dla ludzi, jeśli będzie miał moralnie ukształtowanych władców, którzy dla swoich narodów są „ojcami', podobnie jak pozostają ojcami swoich naturalnych rodzin.

Dopiero późniejsze etapy historii – zwłaszcza instytucjonalizacja systemu w epoce cesarskiej – przekształciły go w narzędzie legitymizacji porządku politycznego. Zwłaszcza że wcześniej jedną z głównych konkurentek filozoficznych dla konfucjanizmu była chińska doktryna legalistyczna, której celem było stworzenie ideologicznej narracji dla silnej władzy dworu cesarskiego. Ta instytucjonalizacja konfucjanizmu dokonała się konkretnie i definitywnie w okresie dynastii Han (206 p.n.e. – 220 n.e.), stanowiąc jeden z najważniejszych momentów zwrotnych w historii chińskiej filozofii politycznej. To właśnie w tym czasie konfucjanizm przeszedł drogę od normatywnej doktryny etycznej, funkcjonującej w napięciu wobec władzy, do oficjalnej ideologii państwowej, trwale włączonej w aparat rządzenia.

Decydujące znaczenie miały reformy przeprowadzone za panowania cesarza Wu z dynastii Han (Han Wudi, pan. 141–87 p.n.e.), który – w odpowiedzi na potrzebę stabilizacji imperium po okresie Qin – dokonał świadomego wyboru konfucjanizmu jako doktryny integrującej państwo. W praktyce oznaczało to nie tyle prostą restaurację myśli Konfucjusza, ile jej syntezę z elementami legalizmu, co pozwalało zachować silne, scentralizowane państwo, przy jednoczesnym nadaniu mu moralnego języka legitymizacji.

Kluczową postacią tego procesu był Dong Zhongshu (około 179–104 p.n.e.), który dokonał teoretycznego „przekładu" konfucjanizmu na język państwa imperialnego. W jego interpretacji władza cesarska została wpisana w kosmiczny porządek Nieba (tian), a cesarz przedstawiony jako jego pośrednik. Koncepcja Mandatu Nieba została wzmocniona metafizycz-

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl b4d0954c29

nie, lecz zarazem odpolitycznionа w sensie praktycznym: utrata mandatu przestała być realnym instrumentem kontroli władzy, a stała się retrospektywnym uzasadnieniem zmiany dynastii po fakcie. Mówiąc prościej, to kronikarze, patrząc wstecz, dokonywali osądu minionych władców i ich dynastii, pisząc, że utracili oni mandat na rzecz następców.

W ten sposób konfucjanizm zyskał status oficjalnej ortodoksji, a zarazem uległ zasadniczej transformacji. Cnota (de) i rytuał (li), pierwotnie służące normatywnej ocenie władzy, zaczęły pełnić funkcję narzędzi dyscyplinujących społeczeństwo i stabilizujących hierarchię. Antydespotyczny potencjał wczesnej myśli konfucjańskiej – szczególnie wyraźny u Mencjusza, który dopuszczał moralne prawo oporu wobec tyrana – został zachowany w kanonie tekstów, lecz pozbawiony instytucjonalnych mechanizmów realizacji.

Proces ten pogłębił się wraz z rozwojem systemu selekcji urzędników. Choć pełny system egzaminów cesarskich ukształtował się dopiero w późniejszych dynastiach, już w epoce Han konfucjanizm stał się podstawą rekrutacji i socjalizacji elit administracyjnych. Znajomość klasyków i opanowanie norm konfucjańskich przestały być jedynie formą samodoskonalenia moralnego, a stały się warunkiem dostępu do władzy. Tym samym konfucjanizm zaczął reprodukować porządek, który pierwotnie miał poddawać krytycznej ocenie.

W tym sensie konfucjanizm utracił swoją pierwotną „niewinność" już w okresie Han – nie poprzez nagłe wypaczenie, lecz poprzez sukces instytucjonalny. Jako filozofia realnie kształtująca struktury państwa nie mógł pozostać wyłącznie etyką normatywną funkcjonującą „z zewnątrz" wobec władzy. Stał się elementem mechanizmu rządzenia, wchodząc w trwałe napięcie między swoją pierwotną ambicją moralnego ograniczania władzy a nową rolą ideologiczną.

Kryzys chińskiej cywilizacji

Konfucjanizm, przekształcony w ciągu wieków w państwową ideologię imperium, wszedł w nowożytność w stanie głębokiego kryzysu, który rozwijał się równolegle z postępującą zapaścią chińskiej cywilizacji politycznej. Już w XIX wieku, w obliczu militarnych porażek, presji kolonialnej oraz widocznej niezdolności państwa Qing do modernizacji instytucjonalnej, chińskie elity intelektualne coraz częściej postrzegały konfucjanizm nie jako zasób naprawczy, lecz jako jeden z czynników odpowiedzialnych za cywilizacyjne zapóźnienie Chin.

Momentem przełomowym była rewolucja 1911 roku, która doprowadziła do obalenia cesarstwa i proklamowania Republiki Chińskiej. W wymiarze politycznym oznaczała ona koniec monarchii, w wymiarze symbolicznym zaś – zerwanie z ponaddwudziestowieczną dominacją konfucjanizmu jako ideologicznego fundamentu państwa. Od tego momentu konfucjanizm przestał pełnić funkcję doktryny ustrojowej i został zepchnięty na margines życia publicznego.

W okresie republikańskim konfucjanizm mógł funkcjonować już wyłącznie jako przedmiot refleksji akademickiej bądź jako indywidualny system etyczny, pozbawiony realnego wpływu na kształt instytucji politycznych. Co więcej, w kontynentalnych Chinach był on silnie napiętnowany jako relikt feudalnej przeszłości, odpowiedzialny – w narracji modernizacyjnej – za słabość państwa i brak nowoczesnej świadomości obywatelskiej.

Ten proces delegitymizacji osiągnął swoje apogeum w okresie rewolucji maoistowskiej, a zwłaszcza podczas rewolucji kulturalnej (1966–1976), kiedy konfucjanizm stał się przedmiotem brutalnej kampanii ideologicznej. Był wówczas przedstawiany jako wcielenie „starej kultury", wróg rewolucyjnego postępu i symbol opresyjnego porządku klasowego. Świątynie były niszczone, teksty palone, a uczeni prześladowani – co miało wymiar nie tylko polityczny, lecz także głęboko symboliczny: była to próba definitywnego zerwania z całym klasycznym dziedzictwem Chin.

Mimo tej radykalnej próby wymazania konfucjanizmu z życia publicznego tradycja ta nie zanikła całkowicie. Przetrwała poza kontynentalnymi Chinami – przede wszystkim na Tajwanie, w Hongkongu i Singapurze, a także w zachodnich ośrodkach akademickich, gdzie stała się przedmiotem systematycznych badań, przekładów i reinterpretacji. To właśnie w tych przestrzeniach konfucjanizm zachował ciągłość intelektualną, która okazała się kluczowa dla jego późniejszego powrotu do debaty filozoficznej i politycznej w drugiej połowie XX wieku.

Tak też się stało. W latach 70. i 80. XX wieku konfucjanizm stał się przedmiotem intensywnego zainteresowania zarówno w humanistyce zachodniej, jak i w refleksji nad rozwojem Azji Wschodniej. Pojawiły się wówczas wpływowe interpretacje, które kwestionowały utrwalony w pierwszej połowie XX wieku pogląd, zgodnie z którym konfucjanizm miał być czynnikiem cywilizacyjnego zapóźnienia. Przeciwnie – w kontekście spektakularnego wzrostu gospodarczego tzw. azjatyckich tygrysów zaczęto wskazywać, że konfucjański etos pracy, dyscypliny, edukacji oraz lojalności wobec wspólnoty mógł pełnić funkcję kulturowego katalizatora modernizacji, a nie jej hamulca. Dyskusja ta, choć często uproszczona i instrumentalizowana, odegrała istotną rolę w rehabilitacji konfucjanizmu jako poważ-

eprasa.pl b4d0954c29

nej tradycji normatywnej, zdolnej do współistnienia z nowoczesną gospodarką.

Decydujący moment dla powrotu konfucjanizmu do debaty politycznej nastąpił jednak w samych Chinach kontynentalnych i miał charakter wyraźnie ideologiczny. Rok 1989, naznaczony masakrą na placu Tiananmen oraz niemal równoczesnym rozpadem bloku sowieckiego, ujawnił głęboki kryzys legitymizacyjny rządów Komunistycznej Partii Chin. Stało się jasne, że dotychczasowy marksistowsko-leninowski sztafaż ideologiczny przestał być atrakcyjnym i wiarygodnym punktem odniesienia dla rosnących aspiracji społecznych, a także dla ambicji modernizacyjnych państwa.

Czerwony Konfucjusz

W tym kontekście konfucjanizm powrócił nie jako spontaniczne odrodzenie duchowe, lecz jako świadomie rehabilitowana tradycja, ponownie „pobłogosławiona" przez elity władzy. Od początku lat 90. XX wieku Konfucjusz zaczął być stopniowo reintegrowany z oficjalnym dyskursem: jako symbol ciągłości cywilizacyjnej, źródło etyki społecznej oraz rezerwuar pojęć pozwalających myśleć o porządku, harmonii i obowiązku bez odwoływania się do rewolucyjnej retoryki klasowej. Był to zwrot znamienny: partia okazała się gotowa dokonać daleko idącej korekty swojej ideologii, redefiniując własne źródła legitymizacji, nie zamierzając jednak w najmniejszym stopniu rezygnować z monopolu władzy politycznej.

Powrót konfucjanizmu w Chinach po 1989 roku należy zatem rozumieć nie jako restaurację dawnego porządku, lecz jako strategię ideologiczną w warunkach postrewolucyjnych: próbę wypełnienia pustki normatywnej po erozji komunizmu, przy jednoczesnym zachowaniu autorytarnej struktury państwa. To właśnie w tym napięciu – między konfucjanizmem jako tradycją etyczną a konfucjanizmem jako zasobem legitymizacyjnym – rozgrywa się zasadnicza część współczesnej chińskiej filozofii politycznej.

Ten „nowy konfucjanizm" – rehabilitowany i selektywnie reinterpretowany od lat 90. XX wieku – w istocie został dostosowany do celów wyznaczanych przez Komunistyczną Partię Chin, pełniąc funkcję ideologicznego zasobu w warunkach postrewolucyjnych. Jego atrakcyjność dla władzy polega nie na wierności klasycznej doktrynie, lecz na użyteczności normatywnej, pozwalającej spiąć porządek społeczny, rozwój gospodarczy i narrację cywilizacyjną w spójną całość.

Przede wszystkim nowy konfucjanizm sprzyja przebudowie lojalności obywatelskiej, przesuwając jej punkt ciężkości z jednostki na wspólnotę polityczną. Konfucjańska etyka relacyjna – oparta na hierarchii ról, obowiązku i harmonii – umożliwia wzmocnienie więzi lojalnościowych między obywatelem a państwem, stanowiąc kontrnarrację wobec zachodniego indywidualizmu, opartego na prymacie praw jednostki i autonomii osobistej. W tym sensie konfucjanizm dostarcza języka, w którym podporządkowanie interesu prywatnego dobru wspólnemu może być przedstawione nie jako ograniczenie wolności, lecz jako moralny obowiązek.

Ponadto konfucjański etos pracy – akcentujący dyscyplinę, wytrwałość, samodoskonalenie oraz prymat edukacji – zostaje włączony w narrację rozwojową państwa jako czynnik motywacyjny dla modernizacji gospodarczej. W oficjalnym dyskursie wartości te mają uzasadniać wysoką intensywność pracy, akceptację wyrzeczeń oraz podporządkowanie celów indywidualnych długofalowym strategiom rozwoju. Konfucjanizm, w tej reinterpretacji, nie przeciwstawia się nowoczesnej gospodarce rynkowej, lecz dostarcza jej etycznego zaplecza, które ma kompensować społeczne koszty transformacji.

Na koniec – konfucjanizm pełni funkcję zasobu cywilizacyjnego, który wzmacnia autarkiczne i suwerennościowe wizje obecne w myśleniu współczesnych elit władzy w Chinach. Konfucjusz jest „chiński" – zakorzeniony w rodzimym dziedzictwie kulturowym – co pozwala przedstawiać obowiązujący model polityczno-gospodarczy jako oryginalny, a nie jako wariant zapożyczonej nowoczesności. Ta narracja sprzyja budowaniu symbolicznej autonomii wobec liberalnego porządku międzynarodowego oraz legitymizuje dystans wobec zachodnich wzorców instytucjonalnych.

W tym kontekście nowy konfucjanizm wpisuje się także w zmianę myślenia o modelu rozwoju gospodarczego Chin. Odchodzi się od wizji Chin jako peryferyjnego zaplecza produkcyjnego dla gospodarek zachodnich na rzecz obrazu państwa-cywilizacji, które dąży do kontroli pełnego łańcucha wartości: od koncepcji i badań, przez wytwarzanie, aż po dystrybucję i globalne standardy. Konfucjanizm – jako element narracji o długofalowym planowaniu, harmonii i nadrzędności interesu zbiorowego – dostarcza tu kulturowego uzasadnienia dla strategii państwowego kapitalizmu i silnej roli władzy w koordynacji rozwoju.

W rezultacie „nowy konfucjanizm" nie funkcjonuje we współczesnych Chinach jako autonomiczny projekt filozoficzny, lecz jako instrument ideologicznej syntezy: łączy autorytarną strukturę władzy z rynkową gospodarką i cywilizacyjną narracją odrębności. Jego znaczenie polega nie tyle na powrocie do klasycznych treści, ile na zdolności do legitymizowania nowego etapu chińskiej modernizacji w warunkach świadomego dystansu wobec Zachodu.

eprasa.pl b4d0954c29

Odrębną, choć powiązaną z powyższą, kwestią pozostaje chińska dyplomacja publiczna, która od początku XXI wieku w sposób systematyczny wykorzystuje postać Konfucjusza jako element globalnej strategii wizerunkowej. Najbardziej widocznym przejawem tej polityki jest sieć Instytutów Konfucjańskich, tworzonych na całym świecie przy wsparciu państwa chińskiego. Formalnie instytucje te pełnią funkcję centrów promocji języka i kultury chińskiej; w praktyce stanowią one sprawnie zarządzane narzędzia soft power, a zarazem element szerszej strategii informacyjnej Chińskiej Republiki Ludowej.

Choć działalność Instytutów Konfucjańskich bywa oceniana ambiwalentnie, coraz częściej wskazuje się, że są one integralną częścią chińskiej wojny narracyjnej: promują selektywny obraz kultury chińskiej, depolityzowany w formie, lecz polityczny w skutkach. Konfucjusz funkcjonuje tu jako „bezpieczna" ikona – symbol harmonii, mądrości i starożytnej cywilizacji – skutecznie odwracający uwagę od autorytarnego charakteru współczesnego państwa chińskiego oraz od napięć związanych z prawami człowieka, cenzurą i kontrolą społeczną.

Równolegle do tej strategii instytucjonalnej pojawia się wsparcie intelektualne, udzielane – świadomie bądź pośrednio – przez część środowisk akademickich. Szczególnie wyrazistym przykładem jest działalność Daniel A. Bella (nie mylić z amerykańskim socjologiem o tym samym imieniu), profesora związanego z chińskimi uniwersytetami. W latach 90. Bell zasłynął jako krytyk liberalizmu z pozycji komunitarystycznych, kwestionując uniwersalistyczne roszczenia zachodniej teorii praw jednostki. W XXI wieku dokonał jednak wyraźnego przesunięcia perspektywy, przyjmując konfucjanizm jako alternatywną, normatywnie pełnoprawną ideologię polityczną.

Bell poszedł w tej reinterpretacji bardzo daleko. W publicznych wystąpieniach i publikacjach sugerował nawet, że elita rządząca Państwem Środka mogłaby symbolicznie przyjąć nazwę „Chińskiej Partii Konfucjańskiej", co miało podkreślać cywilizacyjną odrębność chińskiego modelu władzy. W swoich pracach Bell konsekwentnie tłumaczy zachodnim odbiorcom, że konfucjanizm należy rozumieć jako azjatycką ideologię polityczną konkurencyjną wobec liberalnej demokracji, a chiński model merytokracji politycznej – oparty na selekcji elit, długiej ścieżce awansu i kompetencji administracyjnej – powinien być traktowany jako równorzędny wobec zachodniego modelu wyborczego.

Problem polega jednak na tym, że taka prezentacja chińskiego modelu politycznego – nawet jeśli intelektualnie wyrafinowana – ryzykuje pełnienie funkcji parawanu normatywnego dla rządów, które w istocie pozostają autorytarne i systemowo dążą do ograniczenia pluralizmu politycznego. W tym sensie konfucjanizm, zarówno w wersji dyplomatycznej (Instytuty Konfucjańskie), jak i akademickiej (Bell i krąg podobnych interpretacji), bywa wykorzystywany jako język legitymizacji władzy, a nie jako narzędzie jej krytycznej oceny.

Powrót konfucjanizmu w Chinach po 1989 roku należy rozumieć nie jako restaurację dawnego porządku, lecz jako strategię ideologiczną w warunkach postrewolucyjnych: próbę wypełnienia pustki normatywnej po erozji komunizmu, przy jednoczesnym zachowaniu autorytarnej struktury państwa.

Co więcej, narracja o „konfucjańskiej alternatywie" wobec liberalnej demokracji zyskuje szczególną wagę w kontekście rosnących ambicji geopolitycznych Chin. Przedstawianie własnego modelu jako cywilizacyjnie autonomicznego i normatywnie równoważnego Zachodowi sprzyja nie tylko wewnętrznej konsolidacji władzy, lecz także ambicjom dominacyjnym w porządku międzynarodowym. Konfucjanizm, w tej perspektywie, przestaje być wyłącznie tradycją filozoficzną, a staje się elementem globalnej konkurencji ideologicznej.

W rezultacie współczesne wykorzystanie konfucjanizmu przez Komunistyczną Partię Chin ujawnia fundamentalne napięcie: między konfucjanizmem jako etyką ograniczającą władzę a konfucjanizmem jako estetyzowaną narracją legitymizującą władzę silną, scentralizowaną i niepodlegającą realnej kontroli politycznej. To napięcie stanowi jeden z kluczowych problemów analitycznych dla każdej poważnej refleksji nad współczesną chińską filozofią polityczną. ■

eprasa.pl b4d0954c29

Marcin Wolski

Igloo przed Białym Domem

Po co Trumpowi Grenlandia? Jedni żartują, że potrzebuje lodu do whisky, inni – że wymaga okładów na głowę. Tymczasem prezydent kalkuluje na trzeźwo, a jego ekspresja jest efektem osobowości i świadomej gry!

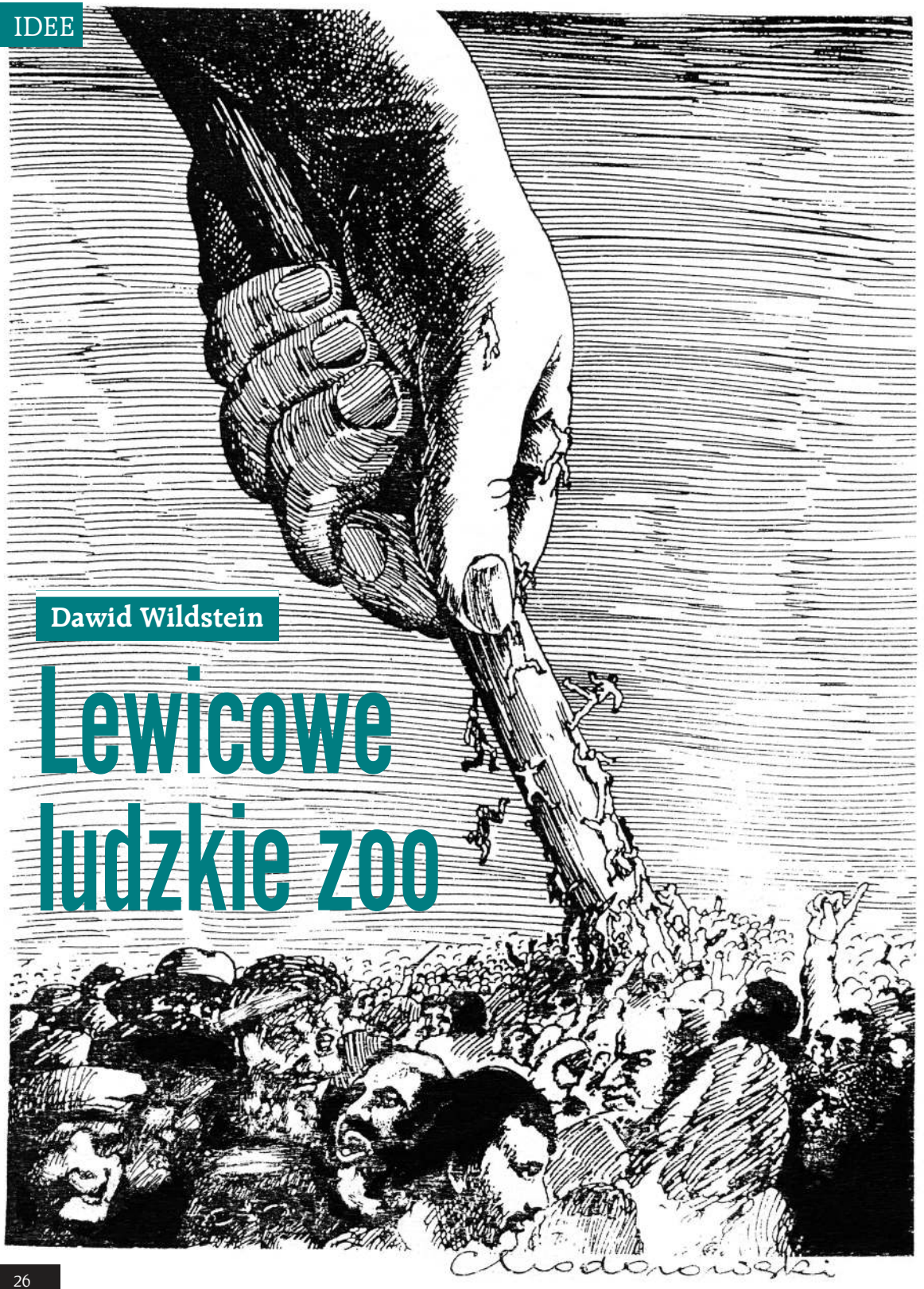
Za to mogę wyobrazić sobie, jaki wielki ból głowy musi męczyć od nowego roku Władimira Władimirowicza – oto jego amerykański koleżka potrafił w kilkadziesiąt minut pozbawić władzy i wolności prezydenta suwerennego kraju i przywlec przed amerykański sąd, podczas gdy tak renomowana organizacja jak SMIERSZ od czterech lat nie potrafi dopaść ukraińskiego „sługi narodu". Co gorsza, niejednemu z moskiewskich czynowników przychodzi do głowy, że była to tylko próba generalna i w dowolnej chwili komando Foki czy inna grupa Delta może wylądować na Kremlu i wyciągnąć z betów jego głównego lokatora, z Kabajewą albo bez niej. Z wydarzeń w Wenezueli wynikają jeszcze co najmniej dwa wnioski. Donald duży nie rzuca słów na wiatr, tylko realizuje swoje plany, nawet jeśli wyglądają one na scenariusz kina akcji. Poza tym widać już, że przyswoił sobie praktykę rosyjskiej realpolityki, którą świetnie charakteryzowało jedno z pytań do Radia Erewań: „– Z kim graniczy Związek Radziecki? – Ano z kim chce!". Na podobnej zasadzie Trump zażądał Grenlandii nie dlatego, że miał do niej jakiekolwiek prawa historyczne, tylko dlatego że jest po prostu potrzebna. Chce, to bierze! Wprawdzie jest to wywrócenie wszystkich zasad rządzących polityką od prawie 100 lat, ale trudno, żyjemy w innym świecie niż XX-wieczni politycy przepełnieni konwenansami i sloganami. Co więcej, struchlała Europa nie ma na takie działania żadnej rozsądnej odpowiedzi. Stosunkowo chyba najlepszą linię postępowania podsunęła wenezuelska noblistka Maria Corinna Machado, która postanowiła swoją nagrodę pokojową przekazać właśnie Donaldowi. Gdyby Europa wzięła z niej wzór, to powinna ubiec żądania Trumpa, dać mu tę Grenlandię razem ze Spitsbergenem, a wobec Danii wyrazić swoje głębokie współczucie, co zawsze wychodzi jej najlepiej. Swoją drogą zastanawiam się, dlaczego Eskimosi, czy jak kto woli Inuici, nie chcą zostać Amerykanami? To znaczy pojedynczo chcą, ale zbiorowo wolą mieć własne państwo. Dlatego myślę, że o wiele prostszym rozwiązaniem, zamiast kosztownej operacji militarnej, byłoby przyznanie wszystkim kilkudziesięciu tysiącom mieszkańców białego lodowca zielonej karty i przyjęcie ich w państwie dobrobytu z całym dobrodziejstwem inwentarza, a wtedy subkontynent bezludny jak Antarktyda przypadłby każdemu, kto pierwszy położyłby na nim łapę. A Trump solidaryzując się z polarnymi neo-Amerykanami, dobudowałby do Białego Domu wielkie igloo.

Jednak nasza kochana Europa zdaje się bujać w jakiejś surrealnej przestrzeni, gdzie ważniejszy jest los ropuchy pospolitej czy metanu wydzielanego przez krowy w Holandii, niż przyszłość świata i własnego kontynentu, i nie będzie się umizgiwać do imperialisty – przyjęła kurs na przeczekanie. Kalkulując mniej więcej tak – za rok będą wybory uzupełniające do Kongresu, które republikanie najprawdopodobniej przerżną z kretesem i demokratyczna większość zrobi impeachment Trumpowi albo pozwoli mu dokończyć kadencję, po czym wprowadzi własnego człowieka do Białego Domu i odkręci wszystko. Pytanie, czy wiele da się odkręcić? Wątpię, żeby odesłano Maduro do kraju jakimś „pociągiem przyjaźni" czy oddano Grenlandię, gdy już będzie 51. albo 52. stanem, bo przecież przy okazji trzeba będzie coś zrobić z Portoryko. Podobnie nie mam pojęcia, czy znów przywróci się 158 płci i wspieranie lewackich organizacji, których głównym celem jest szkodzenie Ameryce…

Wydaje się, że Trump też to wie. I dlatego się śpieszy.

A swoją drogą najbardziej stresującym widokiem, jakiego doświadczyłem, lecąc nad Europą, była ziemia pokryta tysiącami białych wiatraków. Z góry wyglądało to na jakiś monstrualny cmentarz i zapewne jest to bardzo dobry symbol dla naszej upadającej (z własnej inicjatywy) cywilizacji. Dla której duży Donald, niezależnie od tego, co jeszcze wykręci, wydaje się być ostatnią deską ratunku. Ostatnio coraz bardziej surfingową. ■

eprasa.pl b4d0954c29



Dawid Wildstein

Lewicowe ludzkie zoo

eprasa.pl b4d0954c29

W rdzeniu tożsamości każdej kultury są elementy swoiste, niekompatybilne z innymi. Lewica neguje te oczywistości, zamiast tego snując absurdalne, utopijne wizje, że właściwie każda wspólnota czy kultura może harmonijnie współegzytować w tworzonym przez nich społeczeństwie przyszłości, w równy sposób partycypując w tworzeniu państwa. Ta narracja nie wynika jednak z ignorancji, durnego idealizmu, ona jest po prostu idealną legitymacją do skrajnej kontroli i modelowania każdej wspólnoty ludzkiej według swojego widzimisię, kastrowania z tego, co najważniejsze, wypłukiwania jej z istotności.

W ostatnim numerze „Nowego Państwa" dostałem możliwość podzielenia się z Czytelnikami tekstem o tym, jak wygląda prawdziwe oblicze „miłości" lewicy do natury. Pozwoliłem sobie przy tej okazji posłużyć się wizją „lewicowego zoo", w którym zwierzęta faktycznie żyłyby w świecie postępowej harmonii, LGBT, były takimi, jak wyobraża je sobie lewicowiec (w prymitywny sposób przerzucający na świat natury swoje ideowe wymysły). Takie miejsce nie potrzebowałoby klatek, kontrola lewicowych zarządców byłaby absolutna, jednak samych zwierząt nie dałoby się od siebie odróżnić. Zniknęłoby wszystko, co powoduje ich piękno, wyjątkowość, co sprawia, że są ciekawe i za każdym razem inne. Byłoby to zoo niegroźnych, obłych, galaretowatych, pozbawionych cech swoistych stworzeń. Coś bardzo podobnego chce zrobić lewica (a dokładniej jedna z jej odsłon, dominująca w tym momencie na zachodnich salonach) z naszym, ludzkim, światem. Stworzyć rodzaj „człowieczego zoo", jednocześnie niszcząc wszystko, co świadczy o swoistości, różnicy, pięknie i kulturowym bogactwie ludzkich społeczności. I oczywiście robi to, używając haseł o tolerancji, wolności i różnorodności.

Na swój obraz i podobieństwo

Zostańmy jeszcze chwilę przy podejściu zachodniej lewicy do przyrody. Od czasu do czasu co bardziej krewcy wyznawcy postępu chcą robić z psów wegetarian, tworzą kodeksy postępowania, które w odpowiedni sposób gwarantują prawa „osobozwierząt", projektują LGBT zoo dla niebinarnych pingwinów, hodują homoseksualne kozy (te przykłady to, niestety, nie żart). Jest to, rzecz jasna, margines, ewentualnie kilkudniowa sensacja. Lewicowy dyskurs o „naturze" ma samą przyrodę tak naprawdę, proszę wybaczyć dosadność, „gdzieś". Nie chodzi przecież o to, żeby krzewić walkę z homofobią wśród słoni ani tłumaczyć lwom, dlaczego mają się przyjaźnić z antylopami i wspólnie budować wielogatunkowe społeczeństwo. Ta wykreowana „natura" ma być tylko propagandowym orężem, pozwalającym lewicowym pretensjom uzyskać argument „naturalności". Odwołanie się do niej jest więc rodzajem ideologicznej atrakcji, a jednocześnie broni, która zostaje użyta do implementowania określonych idei w przestrzeni społecznej. Bowiem dokładnie w ten sam sposób, co ową mityczną „przyrodę", lewica traktuje świat ludzi – z tym że jeśli chodzi o naszą, ludzką, rzeczywistość, mogą, niestety, ją realnie przeobrażać.

Jej ideolodzy, raz za razem, wycierający sobie gęby „tolerancją", „multikulturalizmem", „różnorodnością", ale gdy tylko trochę poskrobać, okazują się zamkniętymi w sobie fanatykami, nieakceptującymi tego, co ob-

FOT. ANTONI CHODOROWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 34d0954c29

ce, uwięzionymi w czymś, co można wręcz nazwać formą ideo-solipsyzmu, uniemożliwiającego im dostrzeżenie czegokolwiek innego niż oni sami. Owszem, szanują odmienne kultury, ale nie te realne, tylko te, które sobie wymyślą. Przycinają do swoich wartości, modelują na swój obraz i podobieństwo, a gdy już osiągną efekt lustra ideologicznego, odbijającego ich własne idee, zaczynają wołać: „Kochamy was i bronimy!". Następnie, za pomocą tych sztucznych konstruktów, atakują tych, których uważają za wrogów. W pewien paradoksalny sposób można nawet stwierdzić, że bardziej szanują tych, z którymi walczą, przynajmniej uznając ich istnienie jako odrębny fakt, niż tych, których bronią – ci ostatni zostają bowiem w pełni wchłonięci przez nich i przetrawieni tak, aby służyli jako oręż w ideologicznym konflikcie. Jeśli więc chodzi o świat ludzi, tak jak w wypadku przyrody lewica odmawia uznania rzeczywistości. Nie akceptuje tych, których broni, nie chce zrozumieć ani uznać procesów, które doprowadziły do powstania tych wspólnot i kultur, które „szanuje" czy „podziwia".

▶ Żydzi na śmietnik

Dochodzimy więc do stworzenia, tylko w wersji ludzkiej, konstruktów analogicznych do tych nieszczęsnych homoseksualnych pingwinów. Nagle okazuje się, że Inuici są wojującymi o prawa LGBT ateistami i pionierami aktywizmu transpłciowego, Indianie z Ameryki Północnej miłującymi zwierzątka hipisami i, jakżeby inaczej, pacyfistami o inklinacjach do WOKE oraz niebinarności. Możemy też usłyszeć o tym, że ludy Ameryki Łacińskiej od tysiącleci żyją w harmonii z naturą (skądinąd lewicowy mit o „bliskości" i „szacunku", jaki żywiły względem natury ludy pierwotne en masse, jest wyjątkowo absurdalny, zważywszy na to, za ile kataklizmów i wymierań są one odpowiedzialne). Za to czarne plemiona Afryki po raz pierwszy o niewolnictwie usłyszały, gdy przybył do nich biały człowiek. Tego typu przykłady można wymieniać w nieskończoność.

Dobrym obrazem tego, jak wyglądają realna „miłość" i „szacunek" lewicy do innych kultur, jest ich relacja względem żydów (mowa tu nie o etnosie, lecz o wspólnocie kulturowo-religijnej). Póki można było tę kulturę używać do swoich ideologicznych celów, niesiona była ona na sztandarach. Przy okazji dyskretnie pomijano, że – jeśli chodzi o kwestie obyczajowe i religijne – mamy do czynienia z grupą często wręcz niebywale konserwatywną. Szybko sobie jednak o tym przypomniano, gdy okazało się, że żydzi chcą mówić własnym głosem, że ich wspólnoty w USA czy Europie nie popierają kolejnych lewicowych idei. Doszło do tego jeszcze powstanie Państwa Izrael – i w ciągu zaledwie kilkunastu lat ci, którzy byli wręcz pupilkami lewicy, stali się jej wrogami do tego stopnia, że zaczęto akceptować najbardziej nawet agresywną nienawiść wobec nich. Nie chodzi tu jednak o jakiekolwiek idee, w końcu nowi „wybrańcy" zachodniej lewicy są jeszcze bardziej konserwatywni, przepojeni religijnym fundamentalizmem. Największym grzechem żydów okazało się to, że nie dało się już ich kontrolować. Że ich prawdziwa tożsamość stała się wyraźniejsza niż ich zakłamany obraz, konstruowany przez lewicę.

Opisany powyżej mechanizm nie dotyczy wyłącznie żydów, lecz każdego obiektu „uczuć" naszych lewicowców. Prawda jest bowiem taka, że gdyby lewica spojrzała uczciwie na większość z tych, których „broni" czy „szanuje", i pozostała wierna swoim ideom, musiałaby uznać, po pierwsze, że obozy reedukacyjne dla nich to konieczność. Po drugie, co dla lewicy byłoby jeszcze gorsze, musiałaby dojść do wniosku, że to straszne białe chrześcijaństwo jest, na tle tych, których orędownikiem namaścili się zachodni lewicowcy, wręcz emanacją postępu. Najczęściej bowiem owe, przedstawiane przez lewicę jako „lepsze", kultury są bez porównania bardziej konserwatywne, opresyjne, religijnie modelowane oraz „nietolerancyjne". Wynika to zresztą często z niebywale okrutnych warunków, w jakich żyły, i tego, jak musiały działać, aby w nich przetrwać, z konieczności skrajnie negatywnie reagując na jakiekolwiek odstępstwa od swojego sposobu życia. Są więc niejako ex definitione najdalsze od współczesnej lewicy, będącej wręcz idealną emanacją tego, do czego prowadzi melanż hedonizmu i skrajnego konsumpcjonizmu, także w zakresie idei.

▶ Nienawiść do przeszłości, nienawiść do teraźniejszości

Na kolejnych imprezach na cześć uchodźców czy migrantów odśpiewywana jest piosenka „Imagine" Lennona. Doceńmy ten obrazek, bo jest on idealnym przejawem głębokiej ignorancji, niezrozumienia, a także chęci dominacji, które tak naprawdę stoją za dzisiejszą „tolerancją" lewicy. Na pierwszy rzut oka dostajemy chwytliwą melodię i tekst, będący banalnym bełkocikiem o tym, że fajny będzie świat bez religii i narodów. Z tym że lewica zdecydowała właśnie tę piosenkę uczynić hymnem ludzi, którzy bardzo często musieli ratować swoje życie, ponieważ chcieli zachować swoją wiarę czy kulturę. Dla których własna tożsamość, oparta na tym, na co de facto pluje Lennon, była dla nich ważniejsza niż dobrostan, dom. Których miłość i wierność wobec tego, co w swojej bełkotliwej piosence Lennon chciałby raz na zawsze pogrzebać w mrokach dawnego, reakcyjnego świata, jest powodem ich prześladowań. Z tym że lewica najczęściej wie dobrze,

eprasa.pl b4d0954c29

że żaden migrant czy uchodźca nie zaprotestuje – przede wszystkim dlatego, że nawet nie rozumie słów, a także z innego powodu, który ujawnia bezmiar hipokryzji lewicowych „idealistów". Są oni po prostu najczęściej zbyt słabi i przerażeni, wiedzą też, że są zdani na łaskę swoich nowych „przyjaciół".

Tak naprawdę lewica wykorzystuje właśnie tych ludzi, ich tragedię, bo dobrze wie, że nie są oni w stanie mówić własnym głosem, że może ona wykorzystać ich, do czego chce, udając, że mówi w ich imieniu. Chyba trudno o wyraz większej pogardy wobec innych, ukrytej dodatkowo w hasłach o jej braku, o „tolerancji" i „szacunku". Taka postawa lewicy jest jednak dla niej konstytutywna, bowiem wynika ona z tego, w jaki sposób percypuje ona kulturę, z której sama się wywodzi, tego, jak ocenia własną historię. Warto tu przytoczyć piękny (i jakże często wykorzystywany) cytat z Norwida: „Powiadając: »O, dąb / Ucieka w lasu głąb!« / Gdy dąb stoi, wóz z sobą unosi dzieci. / Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej: / Za kołami to wieś, / Nie jakieś tam coś, gdzieś, / Gdzie nigdy ludzie nie bywali!".

Trzymając się obrazów tego wiersza – przeszłość naszej kultury jest taką wsią, którą minęliśmy. Jest nam jednocześnie bliska, a także – z konieczności – staje się nam powoli obca, jej sposób życia bowiem określały inne uwarunkowania społeczne, kulturowe, ekonomiczne etc. Jeśli jednak nie potrafimy w niej dostrzec piękna, nie potrafimy uszanować jej odmienności (pomijając nawet fundamentalne kwestie aksjologiczne, jak dług wobec tych, którzy oddali za nas życie, świadomość kontinuum, w którym istniejemy, czy poświęcenia przodków etc,), to jak mamy to zrobić wobec „wsi" (kultur) dużo nam dalszych, jeszcze bardziej się od nas różniących – nawet jeśli istnieją w tym samym momencie dziejowym co my? Co najwyżej przeżyjemy chwilowe, płaskie podniecenie egzotyką, niemającą nic wspólnego z realnym poznaniem.

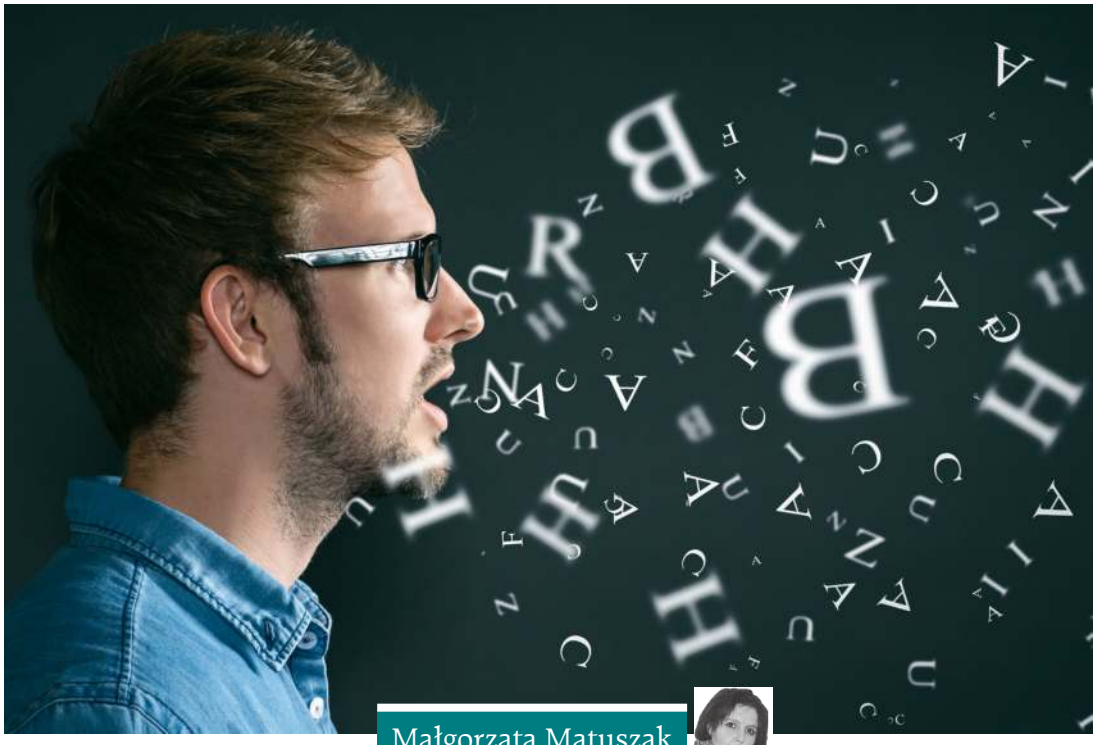
Współczesna zachodnia lewica idzie nawet dalej. Ona wręcz nienawidzi własnej przeszłości. A za co? Za to, że nie jest nią, że nie reprezentowała jej wartości, że ośmieliła się inaczej patrzeć na świat. I dlatego, niezależnie od deklarowanych chęci, będzie gardzić i nienawidzić każdej odmiennej, jeszcze bardziej obcej jej kultury. Negacja przeszłości musi się kończyć nie tylko absolutyzmem teraźniejszości, lecz także własnej aktualnej kultury, skrajnym samozachwytem, samouwielbieniem – przekonaniem, że tylko my, tu i teraz, posiedliśmy ostateczną prawdę, zaś reszta musi się do nas dostosować albo zniknąć.

Kimono czy sari?

Kultury tworzyły się, zarówno współpracując ze sobą, jak i walcząc. Określały same siebie, swój ostateczny kształt poprzez – do pewnego stopnia – dobór naturalny, swoją wersję ewolucji. Wykształcały kolejne swoje emanacje także jako obronę lub atak na inne kultury, tak jak pazury, sierść czy określona forma ciała zwierzęcia wypływa także z tego, przed czym uciekało i co goniło. W sposób oczywisty forma danej kultury wypływała więc także z rywalizacji z innymi – praktycznie bowiem żadna nie istniała w sytuacji próżni, jako jedyna. Dlatego w samym rdzeniu tożsamości każdej kultury są elementy swoiste, niekompatybilne z innymi. Lewica neguje te oczywistości, zamiast tego snując absurdalne, utopijne wizje, że właściwie każda wspólnota czy kultura może harmonijnie współegzystować w tworzonym przez nich społeczeństwie przyszłości, w równy sposób partycypując w tworzeniu państwa. Ta narracja nie wynika jednak z ignorancji, durnego idealizmu, ona jest po prostu idealną legitymacją do skrajnej kontroli i modelowania każdej wspólnoty ludzkiej według swojego widzimisię, kastrowania z tego, co najważniejsze, wypłukiwania jej z istotności. Wspomniane „Imagine" czy opowieści o trans-LGBT wśród Inuitów są pochodną tego, co dziś jest prawdziwym rdzeniem zachodniej lewicy – skrajnej nienawiści i pogardy wobec rzeczywistości ludzkiej i jej bogactwa, chęci jej absolutnego zdominowania, kontrolowania i przeobrażania

Warto tu przyjrzeć się filozofowi, który jest uważany za jednego z ważniejszych autorytetów amerykańskiej lewicy, niejakiego Richarda Rorty'ego. Używając terminów takich jak pragmatyzm, przygodność idei, tworząc wizję zdystansowanej „liberalnej ironistki", starał się on przestawić świat, w którym wielość kultur może ze sobą swobodnie współegzystować w harmonijnej wizji społecznej. Snuł przed swoimi odbiorcami wizje takiej utopii, w której wręcz każdy może sobie dowolnie wybierać swoją kulturę. Symptomatyczne jednak były przykłady, które wybierał na potwierdzenie swojej tezy. Dotyczyły one głównie zabawy, ubrań i jedzenia. Należy właściwie docenić szczerość Rorty'ego. Faktycznie, jeśli sprowadzimy kulturę do curry albo ramenu, do tańca i rodzaju skarpetek, wizja filozofa może się spełnić. Tylko żeby to osiągnąć, trzeba będzie wszystkie kultury, które mają zamieszkać to przyszłe, utopijne, lewicowe zoo, wykastrować ze wszystkiego, co one same uważają za najważniejsze. Doprowadzić tym samym do zniszczenia realnej, wspaniałej różnorodności ludzkich form życia. Sprowadzić ją do dylematu, czy założyć dziś sari czy kimono. A na straży tej upiornej utopii, tego, żeby przypadkiem żadna tego typu „kultura" na próbowała ponownie wykształcić czegoś realnego, głębokiego i swoistego, będą musieli stać zarządcy tego ludzkiego zoo. I będą nimi oczywiście nasi postępowi, lepsi i mądrzejsi lewicowcy. W ten sposób marzenie z piosenki Lennona w końcu się spełni. ■

eprasa.pl b4d0954c29



Małgorzata Matuszak

AGRESJA JAKO JĘZYK, KTÓRY STAŁ SIĘ NORMĄ

Agresja coraz rzadziej funkcjonuje dziś jako incydent. Coraz częściej jest językiem, dominującym sposobem opisywania rzeczywistości i relacji międzyludzkich. Jest szybki, skuteczny i emocjonalnie intensywny. I w takim właśnie języku dorastają dzieci. Uczą się go nie z teorii, ale z praktyki: z rozmów dorosłych, z komentarzy w sieci, z przekazów medialnych. Widzą, że agresja działa – przyciąga uwagę, budzi reakcję, daje poczucie sprawczości. W świecie, w którym empatia bywa postrzegana jako słabość, agresja staje się narzędziem.

eprasa.pl b4d0954c29

Żyjemy w świecie, który mówi coraz głośniej, ostrzej i brutalniej. Agresja przestała być czymś wyjątkowym, stając się jednym z podstawowych sposobów komunikowania się ze światem. Jest obecna w debacie publicznej, w mediach społecznościowych, w rozrywce, w codziennych rozmowach. Towarzyszy nam tak długo i konsekwentnie, że zaczęliśmy traktować ją jak naturalny element naszego otoczenia. W tym otoczeniu dorastają jednak także dzieci. Nie na marginesie tego świata, lecz w samym jego centrum. Słuchają, obserwują, przejmują język, którym mówi się przy nich i do nich. Nasiąkają nim stopniowo, często niepostrzeżenie, ucząc się, że tak właśnie mówi się dziś o świecie i do ludzi.

Zdziwienie, które powraca zawsze za późno

Za każdym razem, gdy media informują o brutalnym czynie popełnionym przez dziecko lub nastolatka, społeczeństwo reaguje podobnie. Pojawiają się szok, niedowierzanie, gniew. Padają pytania: „jak to możliwe?", „co się dzieje z młodym pokoleniem?", „gdzie byli rodzice?", „dlaczego nauczyciele nie zareagowali?". Na moment wszyscy chcą zrozumieć, wyjaśnić, naprawić. To zdziwienie jest jednak krótkotrwałe i powierzchowne. Nie prowadzi do głębokiej refleksji nad codziennością, lecz do poszukiwania winnych. Najczęściej są nimi sami młodzi, „coraz gorsi", „pozbawieni empatii", „zepsuci przez internet", rzadziej świat, który ich ukształtował.

Paradoks polega na tym, że oburzamy się na agresję w świecie, który od dawna jest nią przesiąknięty. Oburza nas jej skrajna forma, ale nie jej obecność, jak byśmy nie dostrzegali związku między codziennym językiem przemocy a jego dramatycznymi konsekwencjami. Zdziwienie staje się więc rytuałem, reakcją, która pozwala zachować poczucie moralnej wyższości, nie zmuszając do zmiany. A potem wszystko wraca do normy, do świata, który znów mówi podniesionym głosem.

Agresja coraz rzadziej funkcjonuje dziś jako incydent. Coraz częściej jest językiem, dominującym sposobem opisywania rzeczywistości i relacji międzyludzkich. Język ten nie potrzebuje argumentów, bo wystarcza mu etykieta, która zastępuje myślenie. Nie szuka porozumienia, bo z założenia dąży do unieważnienia drugiej strony. Jest szybki, skuteczny i emocjonalnie intensywny. I w takim właśnie języku dorastają dzieci. Uczą się go nie z teorii, ale z praktyki: z rozmów dorosłych, z komentarzy w sieci, z przekazów medialnych. Widzą, że agresja działa – przyciąga uwagę, budzi reakcję, daje poczucie sprawczości. W świecie, w którym empatia bywa postrzegana jako słabość, agresja staje się narzędziem.

Agresja rówieśnicza nie jest więc anomalią. Jest próbą komunikacji w języku, który dominuje wokół. Dzieci nie wymyślają nowych kodów, lecz przyjmują te, które uznawane są za skuteczne i akceptowalne. Jeśli świat dorosłych mówi językiem agresji, trudno oczekiwać, by młodsi mówili inaczej. Zanim agresja pojawi się w ich działaniach, dużo wcześniej zadamawia się wszak w słowach, gestach i sposobach reagowania. Często o tym zapominamy. Dopiero wtedy, gdy ten język zaczyna owocować czynami, uruchamia się mechanizm zbiorowego zdziwienia. Pojawiają się moralne oburzenie i pytania, które brzmią tak, jakby dotyczyły świata zupełnie nam obcego. Jakby to, co widzimy, nie było konsekwencją rzeczywistości, w której sami od dawna żyjemy. I nie chodzi w tym miejscu bynajmniej o usprawiedliwienie przemocy, lecz raczej o próbę jej zrozumienia, bez tego bowiem oburzenie pozostanie jedynie moralnym gestem.

Język jako pierwszy akt przemocy

Mówiąc o agresji jako języku, łatwo bowiem zatrzymać się na poziomie metafory. Tymczasem język nie jest jedynie opisem rzeczywistości, lecz także formą działania. Słowa wszak nie tylko wyrażają intencje, ale je uruchamiają. Nie istnieją w próżni, lecz w relacjach, w strukturach władzy, w realnych doświadczeniach ludzi, którzy ich słuchają. Agresja językowa bywa traktowana jak „łagodniejsza forma przemocy, jak etap, który nie pociąga za sobą realnych konsekwencji. To złudzenie. Dla młodych ludzi agresja w języku jest doświadczeniem głęboko niszczącym: rani, izoluje, podkopuje poczucie własnej wartości, wypycha na margines. Jest przemocą, nawet jeśli nie zostawia fizycznych śladów. Co więcej, język agresji często przygotowuje grunt pod agresję w działaniu. Przesuwa granice tego, co wolno powiedzieć, a tym samym tego, co wolno zrobić. Oswaja z pogardą, normalizuje odczłowieczanie, rozmontowuje empatię. W świecie, w którym drugi człowiek został wcześniej zredukowany do etykiety, obrazu, żartu, akt przemocy przestaje być nie do pomyślenia. Nie jest więc przypadkiem, że tragedie poprzedzone są językiem pełnym nienawiści, wykluczenia i dehumanizacji. Język agresji nie tylko towarzyszy przemocy. On ją umożliwia. Jest jej pierwszym aktem, pierwszym przekroczeniem, pierwszym krokiem, który czyni kolejne łatwiejszymi.

Kiedy agresja młodych ludzi przybiera formy, które trudno zignorować, społeczeństwo reaguje gwałtownie. Oburzenie bywa szczere, ale często wybiórcze, potępiamy bowiem skutek, nie przyczynę. Moralnie odcinamy się od tego, co w gruncie rzeczy jest odbiciem naszego własnego świata. Odpowiedzialność nie oznacza zaś prostego wskazywania winnych, lecz go-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl b4d0954c29

towość do spojrzenia w lustro, do zadania sobie pytania o język, którym mówimy na co dzień. Nie da się bowiem wychowywać dzieci w języku empatii, żyjąc publicznie w języku przemocy. Nie da się potępiać samej agresji, jednocześnie ją normalizując. Młodzi ludzie nie są bowiem źródłem agresji. Są jej lustrem.

Popkultura jako środowisko wychowawcze

Popkultura nie jest dziś dodatkiem do rzeczywistości, lecz jej integralną częścią. To w niej młodzi ludzie spędzają ogromną część swojego czasu. To ona dostarcza im wzorców, narracji, języka emocji, i to ona w ogromnym stopniu kształtuje ich wrażliwość. W filmach i serialach agresja bywa estetyzowana i usprawiedliwiana, w grach staje się dodatkowo elementem nagrody. W stand-upach wulgaryzm, pogarda i upokorzenie drugiego człowieka funkcjonują często jako źródło śmiechu i dowód „mówienia prawdy bez cenzury". Ten sam język przenika także do muzyki, która towarzyszy młodym ludziom niemal nieustannie i często staje się najbliższym nośnikiem emocji. Kiedy teksty piosenek pełne są wulgaryzmów, pogardy i agresji symbolicznej, oswajają brutalność jako formę szczerości i autentycznego wyrazu uczuć, zwłaszcza gniewu, frustracji i poczucia wykluczenia.

Popkultura nie kończy się jednak na kinie czy scenie. Jej najbardziej intensywną i nieustannie obecną formą stał się internet. Media społecznościowe nie tylko normalizują agresję, ale często ją wzmacniają, nagradzając to, co głośne, skrajne i raniące. Im ostrzejszy komentarz, im większe upokorzenie, tym większa widoczność.

Agresja staje się zatem walutą uwagi, a jej język sposobem na zaznaczenie swojej obecności. W tym środowisku granica między fikcją, żartem a rzeczywistością coraz bardziej się rozmywa. Agresja „dla śmiechu", „dla zasięgów", „na niby" przestaje być rozpoznawana jako coś wymagającego refleksji czy sprzeciwu, stając się stylem komunikacji, który łatwo przenosi się z ekranu do codziennych relacji. I choć często mówi się o młodych ludziach jako o szczególnie podatnych odbiorcach tych treści, nie sposób pominąć faktu, że są one tworzone, akceptowane i masowo konsumowane także przez dorosłych. Popkultura, w której dorastają dzieci, nie jest wszak światem równoległym, ale przedłużeniem świata, który sami współtworzymy.

Nie chodzi tutaj o proste oskarżanie kultury popularnej ani o nostalgiczne wezwania do „lepszych czasów". Chodzi raczej o zauważenie, że agresja została w niej znormalizowana, przestając być czymś, co wymaga komentarza czy sprzeciwu. Stała się stylem, konwencją, tłem. Dzieci i młodzież nie konsumują zaś popkultury z dystansem analityka, ale w niej wyrastają, ucząc się, co jest śmieszne, co akceptowalne, co daje uwagę i uznanie. Jeśli agresja jest wszechobecna w ich kulturowym środowisku, staje się jednym z podstawowych narzędzi ekspresji.

Między ochroną a obecnością

Nie jest jednak tak, że wszystkie dzieci i wszyscy nastolatkowie mówią dziś wyłącznie językiem agresji. Wielu z nich potrafi budować relacje oparte na empatii, uważności i wzajemnym szacunku. I ta różnica nie jest dziełem przypadku. Najczęściej wyrasta z doświadczenia innych form komunikacji, przede wszystkim w domu, a także w szkole i w relacjach z dorosłymi, którzy nie wycofali się z odpowiedzialności za język, jakim opisuje się świat.

Nie da się odizolować dzieci od rzeczywistości, w której agresja stała się wszechobecna. Nie da się wyłączyć internetu, popkultury, języka ulicy i debat publicznych. Próby stworzenia świata sterylnego, wolnego od brutalności i konfliktu, skazane są prędzej czy później na porażkę. Młodzi ludzie potrzebują nie tyle ochronnej bańki, ile narzędzi, które pozwolą im poruszać się w świecie takim, jaki jest, rozpoznawać przemoc, odróżniać ją od gniewu, rozumieć mechanizmy prowokacji i manipulacji. Kluczowa staje się tu obecność dorosłych, nie tylko w formie kontroli czy nieustannego nadzoru, lecz przede wszystkim uważnego towarzyszenia. Młodzi ludzie potrzebują dorosłych, którzy interesują się tym, co dzieci oglądają, czego słuchają i jakim językiem mówią, nie tyle po to, aby zakazywać, ale raczej by o tym rozmawiać. Potrzebują dorosłych, którzy nie bagatelizują agresji jako „żartów" czy „normy czasów", lecz nie reagują na nią wyłącznie moralnym oburzeniem. Obecność ta polega na gotowości tłumaczenia świata, pokazywania, co w nim rani, co niszczy, a co buduje relacje i daje poczucie sensu.

Bo to dorośli – świadomie bądź nie – tworzą środowisko, w którym dzieci dorastają. To oni kształtują język debaty, styl rozmowy, granice dopuszczalnego. Mają więc także realny wpływ na to, czy agresja pozostanie jedynym dostępnym językiem, czy stanie się jednym z wielu, rozpoznanym i nazwanym. Dom i szkoła nie są dziś azylami poza kulturą agresji, ale mogą stać się miejscami oporu wobec niej, przestrzeniami, w których język nie służy ranieniu, lecz zrozumieniu.

Nadzieja nie polega na tym, że agresja zniknie ze świata. Polega na tym, że młodzi ludzie nie zostaną z nią sami. Że obok języka agresji usłyszą także język odpowiedzialności, uważności i sensu. I że ktoś z dorosłych pomoże im wybrać, którym z nich chcą mówić. ■

eprasa.pl b4d0954c29

Małgorzata Matuszak

Czym jest... łagodność

Łagodność" stała sie dziś słowem kłopotliwym. W epoce przyspieszenia, eskalacji i twardych narracji wydaje się postawą świadczącą o słabości, nieskuteczną, a nawet nieodpowiedzialną. A jednak to właśnie ona odsłania jedną z najgłębszych prawd o godności człowieka i o tym, jak godność ta może realnie istnieć w relacjach. Godność wszak w łagodności słychać niezwykle wyraźnie.

Łagodność nie jest cechą temperamentu ani usposobienia, nie polega na „byciu miłym" czy na unikaniu konfliktów. Jest cnotą działania, sposobem reagowania, mówienia i sprzeciwiania się, który od początku do końca liczy się z faktem, że drugi człowiek – niezależnie od winy, błędu czy różnicy – pozostaje osobą. W tym sensie łagodność jest formą uznania godności w praktyce, nie tylko w deklaracjach, postawą, w której godność nie zostaje zawieszona ani zapomniana pod wpływem emocji. „Bycie łagodnym" oznacza bowiem „zachowywanie miary": nierezygnowanie z prawdy, ale też nie używanie jej jako narzędzia upokorzenia. Stawianie granic, lecz bez poniżania. Łagodność jest więc formą odpowiedzialności za słowa, za ton, za skutek. Zakłada, że nie wszystko wolno, nawet wtedy, gdy ma się rację.

W tym sensie łagodność chroni podwójnie. Chroni godność drugiego człowieka, odmawiając jego uprzedmiotowienia i nie redukując osoby do jej czynu, błędu czy poglądu. Pozwala sprzeciwiać się złu, nie niszcząc człowieka. Ale chroni też godność tego, kto działa łagodnie, nie zgadzając się z tym, by w imię słuszności przekroczył granicę, po której zaczynają się pogarda, brutalność i moralna degradacja.

Wbrew obiegowym przekonaniom łagodność nie jest postawą bierną. Przeciwnie, wymaga ona dużej siły wewnętrznej. Nie polega bowiem na reagowaniu „mniej", lecz „w sam raz". Jest formą dojrzałości, która nie potrzebuje krzyku ani przemocy, by zaznaczyć swoją obecność. U Arystotelesa łagodność („praotes") jest cnotą regulującą gniew, a więc jedną z tych dyspozycji, które bezpośrednio decydują o jakości życia wspólnotowego. „Praotes" nie oznacza braku gniewu ani jego tłumienia, lecz zdolność do reagowania w sposób właściwy, czyli na to, co trzeba, kiedy trzeba i w takiej mierze, jakiej wymaga sytuacja. Łagodność nie znosi zatem konfliktu, lecz nadaje mu ludzki kształt, czyniąc gniew narzędziem sprawiedliwości, a nie destrukcji. Człowiek łagodny nie jest zatem ani porywczy, ani obojętny; potrafi się oburzyć, ale nie pozwala, by gniew przejął nad nim władzę.

W perspektywie chrześcijańskiej łagodność zyskuje jeszcze głębszy sens. Nie jest już tylko cnotą etyczną ani wypracowaną cechą charakteru, lecz owocem Ducha Świętego, czyli znakiem przemiany, która nie dokonuje się wyłącznie siłą ludzkiej woli. Dlatego w tradycji mistycznej łagodność bywa traktowana jako miara postępu duchowego. Nie jest ona ucieczką od świata ani rezygnacją z prawdy, lecz znakiem głębokiego zakorzenienia w Bogu, które pozwala odpowiadać na zło bez przemocy i odpowiadać na konflikt bez utraty pokoju serca.

> Łagodność jest formą odpowiedzialności za słowa, za ton, za skutek. Zakłada, że nie wszystko wolno, nawet wtedy, gdy ma się rację.

W świecie, który coraz częściej myli skuteczność z brutalnością, łagodność wydaje się niepraktyczna. Ale to tylko pozór. Brutalność eskaluje konflikty, niszczy język i relacje, zostawia po sobie trwałe spustoszenie. Łagodność zaś działa wolniej, ciszej i mniej widowiskowo, ale pozwala zachować to, co w życiu wspólnotowym najcenniejsze: możliwość dalszego bycia razem mimo różnic i sporów. Dlatego łagodność nie jest luksusem ani anachronizmem. Jest warunkiem podtrzymania godności w świecie konfliktu. Bez niej godność staje się pustym hasłem, oderwanym od praktyki życia, z nią zaś nabiera konkretnego kształtu, ujawniającego się w sposobie mówienia, reagowania, sprzeciwiania się.

Można więc powiedzieć, że łagodność jest godnością w działaniu, jest jej językiem, jej formą i jej sprawdzianem. Tam, gdzie znika, zostaje tylko siła albo bezradność. Tam zaś, gdzie jest obecna, możliwa staje się stanowczość bez okrucieństwa i sprzeciw bez odczłowieczenia. ■

eprasa.pl b4d0954c29

Skąd wzięła się popularność abp. Lefebvre'a w Ameryce Południowej? Gdy „buntownik", „zasuspendowany", „inicjator schizmy" odwiedził latem 1977 roku ten kontynent, towarzyszył mu niebywały entuzjazm tłumów. W krajach latynoskich, gdzie katolickie społeczeństwa próbowały spontanicznie przeciwstawiać się fali posoborowych reform stawiających na głowie życie Kościoła – a w rezultacie, co czas szybko potwierdził, także życie państw – arcybiskup znany był dobrze w wielu środowiskach jako wróg komunizmu.

„Lefebvre si! Comunismo no!"

Ewa Polak-Pałkiewicz



eprasa.pl b4d0954c29

Rzadko wspomina się, że destabilizacja polityczna krajów Ameryki Południowej, będących dotąd ostoją katolicyzmu na półkuli południowej, nastąpiła w drugiej połowie XX wieku w ślad za zmianą konkordatów. Wymuszona została na prezydentach tych państw krótko po soborze. Stolica Apostolska zażądała od krajów dotąd uznawanych za katolickie, by odstąpiły od zasady traktowania religii katolickiej jako jedynej prawdziwej. W tym duchu zmieniono na przykład konstytucję Kolumbii, o czym arcybiskup Lefebvre nieraz przypominał w publicznych wystąpieniach. Podobnie stało się w Hiszpanii, mimo wielu wyrazów niechęci do takiego rozwiązania ze strony przywódców tego państwa.

Hipokryzja teologii wyzwolenia*

Odrzucenie zasady, że katolicyzm jest jedyną religią popieraną przez państwo – w zakresie praw religii nie ma, bo nie może być równości, istnieje bowiem tylko jedna prawdziwa religia – spowodowało w krajach Ameryki Południowej w krótkim czasie istne trzęsienie ziemi, także za sprawą inwazji sekt protestanckich z Ameryki Północnej. Ich obecność była dotąd zakazana prawnie z uwagi na ochronę wiary obywateli. Dysponowały one ogromnymi funduszami, w rezultacie ich ekspansji (w latach 1968–1988) porzuciło Kościół czterdzieści do sześćdziesięciu milionów południowoamerykańskich katolików. Brazylia jest dziś krajem de facto protestanckim.

Istotnej zmianie w ślad za tym uległy zasady pracy misjonarzy; nie mogli już nawracać, mieli „dialogować" z przedstawicielami pogańskich kultów. Nawracanie stało się czymś drugorzędnym i jakby wstydliwym – wobec priorytetu zadań cywilizacyjnych: prowadzenia szkół, szpitali, budowy wodociągów, nauki zasad higieny etc. – a wkrótce otrzymało też pogardliwe miano prozelityzmu. W powszechnym odbiorze miało się kojarzyć z polityczną czy ideologiczną agitacją. Od czasu soboru można było zaakceptować mówienie poganom o Bogu jedynie przy okazji, mimochodem. Jakby było to czymś nieproporcjonalnym i naiwnym wobec powagi haseł rewolucjonistów akcentujących sprawę „wolności ludu". A przecież „nasz Pan Jezus Chrystus polecił apostołom głosić wszystkim narodom Ewangelię, a nie głosić wolność!", przypominał abp Lefebvre.

Teologię wyzwolenia przedstawiano jako poważny program społeczny, który miał przynieść szansę uciemiężonym milionom biedaków krajów latynoskich. „W rzeczywistości główną cechą tego ruchu była hipokryzja – stwierdza Henry J.A. Sire. – Z jednej strony mamy europejskich intelektualistów przepełnionych poczuciem swojej wyjątkowej szlachetności, broniących sprawy ubogich, choć w rezultacie wspierających jedynie totalitarną biurokrację. Z drugiej strony – terenowych działaczy marzących o zmianie swojej ojczyzny (a częściej ojczyzn innych) w kolejne Kuby i zagraniu na nosie Stanom Zjednoczonym. Tamtejsi działacze komunistyczni nie starali się nawet ukrywać faktu, że w istocie realizują interesy sowieckiej Rosji"[1].

Zmiana konkordatów państw katolickich miała poważne konsekwencje społeczne. Przypadek Kolumbii jest szczególnie wymowny; arcybiskup często go przytaczał. W wykładzie w Barcelonie w 1975 roku powiedział: „Kiedy półtora roku temu byłem w Kolumbii, odkryłem zupełnie przypadkowo, iż rząd za pośrednictwem prezydenta republiki[2] ogłosił, że konstytucja została zmieniona, na naleganie Stolicy Apostolskiej został usunięty jej pierwszy artykuł. Brzmiał on następująco: »Religia katolicka jest jedyną religią uznawaną przez Republikę Kolumbii«. I ten właśnie artykuł został usunięty na żądanie Stolicy Apostolskiej – w imię wolności religijnej. Doprowadziło to do kontrowersji na łamach tamtejszej prasy, tak więc prezydent był zmuszony publicznie wyjaśnić powody tej decyzji. W przemówieniu wyraził głęboki smutek z powodu tej zmiany, zdawał sobie sprawę z tego, że wielu katolików ze zdumieniem przyjęło ten fakt – w kraju ich usunięty został sam fundament społecznego panowania naszego Pana Jezusa Chrystusa. Takie były bowiem tego rzeczywiste konsekwencje. (…) przypomniał, iż przez cały czas swej prezydentury okazywał religii katolickiej najgłębszy szacunek, że sam jest katolikiem i że zawsze pragnie pracować dla dobra Kościoła, oświadczył jednak, że od tej pory katolicyzm nie będzie już jedyną religią uznawaną przez Republikę Kolumbii. Z kolei nuncjusz wygłosił przemówienie o postępie, rozwoju, godności osoby ludzkiej… Trzecie przemówienie wygłosił przewodniczący Episkopatu Kolumbii, który wprost powołał się na soborowy dekret »O wolności religijnej«. Powiedział, że po soborze sytuacja taka jest czymś normalnym… Dopiero później dowiedziałem się od sekretarza generalnego Zgromadzenia Narodowego, że przez dwa lata za pośrednictwem watykańskiego Sekretariatu Stanu na prezydenta wywierano naciski, aby wprowadził tę zmianę w konstytucji, że sama Stolica Apostolska nalegała na usunięcie tego artykułu konstytucji kolumbijskiej"[3].

[1] H.J.A. Sire, „Jak Feniks z popiołów. Historia kryzysów w Kościele", tłum. T. Maszczyk, Warszawa 2021.

[2] Był nim Alfonso López Michelsen.

[3] Konferencja abp. M. Lefebvre'a w Barcelonie na temat liberalizmu, tłum. T. Maszczyk, za: „Zawsze Wierni", 9–10/2016.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl b4d0954c29

Romano Amerio skomentował zmianę konkordatu między Stolicą Apostolską a Włochami w 1984 roku następująco: „Religia katolicka przestała być elementem aksjologii społeczeństwa włoskiego; nie jest już traktowana jako bezwzględna wartość, która zobowiązuje do określonych zachowań. Państwo uznaje odtąd religię katolicką nie jako katolicką właśnie, lecz jako historycznie dominującą formę religijności. A kryje się za tym przekonanie o religii naturalnej, będącej rdzeniem i sednem wszystkich religii. Myślenie to stanowi zaiste kwintesencję ducha naszych czasów"[4].

Dla ludzi Kościoła, którzy nie byli w stanie przyjąć nowej formuły wolności religijnej – takiej samej wolności prawnej dla wszystkich religii – nie było to żadną niespodzianką. Potwierdzała się przestroga abp. Marcela Lefebvre'a, który wielokrotnie głośno sprzeciwiał się podczas soboru właśnie nowej doktrynie o wolności religijnej i wskazywał na rychłe fatalne skutki jej rozpowszechniania.

▶ Walka o zachowanie katolickiego oblicza Ameryki Południowej**

Sprawa miała swój początek na długo przed soborem. Arcybiskup Lefebvre jako misjonarz w Afryce – potem arcybiskup Dakaru, wikariusz i delegat apostolski – mógł z bliska obserwować w latach 40. i 50., jak sami ludzie Kościoła rozpowszechniali tę ideę, jeszcze zanim została sformułowana oficjalnie i wprowadzona jako rodzaj nowego dogmatu.

Znamienna była jego rozmowa z abp. Montinim, przyszłym papieżem Pawłem VI, pod koniec lat 50. w Sekretariacie Stanu, gdzie abp Lefebvre bywał często. Giovanni Battista Montini był wówczas jednym z dwóch zastępców kardynała sekretarza stanu. Chodziło o organizację założoną przez masonerię w Szwajcarii, w miejscowości Caux, o wzniosłej nazwie Odrodzenie Moralne. Zapraszano tu licznie Afrykanów, by spotykali się z innowiercami i niewierzącymi „w duchu powszechnego braterstwa". Przybysze z Afryki najłatwiej skłonni byli do ulegania wizji bratania się wszystkich ze wszystkimi, urokowi postulatu miłości ludzi różnych narodów, ras, religii. Można było usłyszeć ich entuzjastyczne opinie, że „to cudowne, że w Caux wszystkie religie akceptują się nawzajem, podczas gdy misjonarze w Afryce nieustannie ostrzegają przed protestantami, ateistami i islamem". Ach, ci nudni misjonarze! A świat jest tak kolorowy, ciekawy, różnorodny… Arcybiskup Lefebvre nie krył niepokoju. „Nie możemy pozwolić, aby podobne idee szerzyły się bez zdecydowanej reakcji z naszej strony", oświadczył w Sekretariacie Stanu. „Ależ nie! – sprzeciwił się Montini. – Nie możemy ciągle tylko potępiać i potępiać. Kościół będzie uchodził wówczas za złą macochę"[5].

Także walka o zachowanie katolickiego oblicza Ameryki Południowej nie zaczęła się pod koniec lat 70., gdy Marcel Lefebvre, uważany przez tutejszych katolików za symbol oporu wobec komunizmu, odwiedzał kraje tego kontynentu. Rozpoczęła się dużo wcześniej i miała swą kontynuację podczas soboru. W połowie lat 30. XX wieku dwaj wykładowcy wyższego seminarium duchownego w São Paulo – kanonik Antônio de Castro Mayer i ksiądz Geraldo de Proença Sigaud, profesor prawa – pisywali artykuły do katolickiego periodyku „O Legionário" wydawanego przez maryjne Zgromadzenie Świętej Cecylii. Jego szefem był prawnik, naukowiec, działacz katolicki Plinio Corrêa de Oliveira. Kiedy ten ostatni napisał książkę, w której piętnował progresistowskie i lewicowe wpływy w Akcji Katolickiej w Brazylii, obaj księża poparli tę publikację; de Castro Mayer udzielił jej imprimatur w imieniu arcybiskupa. Sprawa okazała się nadzwyczaj niewygodna dla wpływowych kręgów brazylijskiego Kościoła. De Castro Mayer został przeniesiony do wiejskiej parafii, ks. Sigauda wysłano do Hiszpanii. Dyskretna pomoc nuncjusza w Brazylii spowodowała, że dwa lata później Pius XII obydwu księży uczynił biskupami. (Abp Sigaud znany był także jako krytyk abpa Olindy nieskrywającego sympatii faszystowskich, później komunistycznych oraz prokomunistycznego Dom Héldera Câmary).

Dostrzegając coraz wyraźniejsze wpływy komunizmu w Brazylii, biskup de Castro Mayer założył w diecezji Campos miesięcznik „Catolicismo", którym kierował prof. de Oliveira i który w latach 1951–1967 zainicjował ruch katolickiej młodzieży przekształcony potem w brazylijskie Stowarzyszenie Obrony Tradycji, Rodziny i Własności (TFP). Pismo było nowocześnie redagowane i zyskało szeroki rozgłos. Udało się mu skutecznie przeciwstawić komunistycznej reformie agrarnej i rządom kryptokomunistycznego prezydenta João Goularta, który ostatecznie po trzech latach u władzy musiał opuścić Brazylię. Arcybiskup Lefebvre nie miał nigdy wątpliwości, że to TFP uratowało wtedy Brazylię przed komunizmem.

Jednak za pontyfikatu Jana XXIII i Pawła VI, gdy Watykan rozpoczął swoją Ostpolitik, stała się ona najwcześniej odczuwalna zwłaszcza w tych krajach Ameryki Południowej, które stawiały opór komunizmowi (potem, kolejno, w Hiszpanii, Portugalii i we Włoszech). Kardynał arcybiskup Juan Carlos Aramburu

[4] R. Amerio, „Iota unum. Analiza zmian w Kościele katolickim", Komorów 2009.

[5] B. Tissier de Mallerais, „Marcel Lefebvre. Życie", tłum. K. Kupiec i J. Zoppa, Poznań 2010.

eprasa.pl b4d0954c29

w Argentynie i Raúl Silva Henríquez w Chile byli nastawieni opozycyjnie wobec rządów w swoich krajach. […]

Tok wydarzeń politycznych nie jest nigdy niezależny od spraw wiary i sytuacji w Kościele. Arcybiskup Lefebvre był tego świadom jeszcze w Afryce. Widział na własne oczy, jak byłe francuskie kolonie stopniowo dostają się pod wpływ socjalizmu. Tu, gdzie w latach 40. i 50. kwitło katolickie szkolnictwo, seminaria duchowne były wręcz przepełnione, katolickie rodziny odważnie brały udział w życiu swoich społeczności, cała praca misjonarzy, wraz z ich dziełami cywilizacyjnymi, została wkrótce podważona, a powołane przez nich katolickie instytucje krok po kroku unicestwiane lub zamieniane w przyczółki propagowania marksistowskiej ideologii. […] Analogicznie toczyły się wydarzenia w Ameryce Środkowej i Południowej. Krzykliwa propaganda marksistów oraz pozorne rozwiązania społeczne nowych władz dawały jedynie złudzenia najgorzej uposażonym miejscowym, że wraz z rewolucją osiągną lepszy status ekonomiczny. O zakłamaniu proroków nowego ładu najdobitniej świadczy – jak podkreśla Henry J.A. Sire – „całkowite zignorowanie jednego z największych problemów społecznych Ameryki Łacińskiej: losu dziesiątków milionów porzucanych dzieci żyjących bezdomnie na ulicach miast całego kontynentu. Pomocy udzielały im jedynie konserwatywne organizacje katolickie i sekty protestanckie, podczas gdy marksiści koncentrowali się wyłącznie na agitacji politycznej wśród robotników. Użyteczność dzieci w walce klasowej jest niewielka, poza tym zaś istniało niebezpieczeństwo, że otrzymawszy pomoc, wyrosną na odpowiedzialnych członków społeczeństwa, a nie na rewolucyjnych malkontentów”[6].

Ludzie klękali na chodniku

Arcybiskup nie spodziewał się, że jego wizyta w Ameryce Południowej, dokąd przybył w 1977 roku, by rozpocząć pracę apostolską Bractwa św. Piusa X, spotka się z tak wielkim entuzjazmem tłumów i ogromnym zainteresowaniem mediów. W Bogocie, stolicy Kolumbii, towarzyszyła mu eskorta wojskowych, miejscowe radio podawało szczegółowe komunikaty o trasie jego przejazdu, ludzie klękali na chodniku, prosząc o błogosławieństwo, dziennikarze nie opuszczali go ani na chwilę. Ktoś nawet wdarł się do samochodu arcybiskupa, by nagrać z nim rozmowę. Podczas lotu z Bogoty do Pereiry pilot zaprosił go na miejsce obok siebie w kabinie załogi.

17 lipca w Santiago de Chile był jeszcze na pokładzie samolotu, gdy dobiegło go skandowanie tłumu zgromadzonego na lotnisku: „Lefebvre si! Comunismo no!”. By mógł wydostać się z lotniska, w obliczu tak wielkiego naporu ludzi, trzeba było zmienić trasę przejazdu. W dziennikach pojawiły się tytuły: „Kardynał Silva Henríquez oświadcza: »Lefebvre to Judasz«”. Ale już następne wydania obwieszczały: „Arcybiskup Lefebvre odpowiedział: »Nie jestem Judaszem. Nie przyjaźnię się z Fidelem Castro«. (…) Podczas wizyty w Caracas w Wenezueli, na wąskiej ulicy, gdzie ruch samochodów wydawał się prawie niemożliwy, w pewnym momencie samochodowi wiozącemu Arcybiskupa zajechała drogę taksówka. W tej samej chwili chodnikiem przechodził ksiądz w sutannie i rzymskim kapeluszu na głowie. Taksówkarz [nieświadom, kogo wiezie] zwrócił gestem uwagę Arcybiskupa na zadbanego duchownego, po czym powiedział: »Lefebvre!«. Arcybiskup odparł: »Tak mnie sobie wyobrażają«”[7]. W tym samym mieście podchodzili do niego księża i zapewniali, że przynajmniej połowa stanu duchownego solidaryzuje się z nim.

W Buenos Aires abp Lefebvre odprawił na wolnym powietrzu mszę dla tysiąca pięciuset uczestników. Policja broniła dostępu do budynku, w którym pierwotnie miał ją sprawować, gdyż znaleziono tam bombę. Do Meksyku Arcybiskupa nie wpuszczono. Na skutek interwencji miejscowego nuncjusza rząd wydał zakaz wjazdu.

H.J.A. Sire przypomina, że inicjatywy, które podejmował Kościół w Ameryce Łacińskiej, były skutkiem fascynacji ideami marksistowskimi części tamtejszego duchowieństwa: „To dążenie do uczynienia z całego kontynentu zbiorowiska pozornie niepodległych państw będących w istocie marionetkami Związku Sowieckiego jest, zgodnie z tendencją do nadawania słowom znaczenia przeciwnego do pierwotnego, powszechnie znane jako teologia wyzwolenia”[8]. Teologia wyzwolenia, która utraciła żywotność po schyłku komunizmu w Rosji wciąż jeszcze znajduje zwolenników wśród jezuitów. Przyczynami błędnej drogi obranej przez Kościół były, zdaniem Sire`a, brak zdecydowania Rzymu wobec latynoamerykańskiego radykalizmu oraz wyraźna niezdolność Pawła VI do oceny socjalizmu. W rezultacie Giovanni Battista Montini wzmocnił pozycję marksizujących duchownych, którzy wkrótce zaczęli „odgrywać rolę nowych Fidelów i Che na kontynencie południowoamerykańskim”. […]

[6] H.J.A. Sire, op. cit.

[7] B. Tissier de Mallerais, op. cit.

[8] H.J.A. Sire, op. cit.

eprasa.pl b4d0954c29

H.J.A. Sire przytacza tragikomiczną sytuację w Puebli w Meksyku w 1979 roku, gdzie Jan Paweł II miał przewodniczyć spotkaniu południowoamerykańskich biskupów. Spotkał się tam z gwałtownym protestem przywódców teologii wyzwolenia wobec obecności przedstawicieli stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie, które wspomaga chrześcijan prześladowanych przez sowiecki komunizm.

W czasie pielgrzymki do Brazylii w 1980 roku Jan Paweł II przestrzegał przed traktowaniem walki klas – skazanej, jak mówił, na „jałowość i zniszczenie" – jako remedium na poprawę sytuacji wewnętrznej i wzywał do pilnego budowania prawdziwej sprawiedliwości społecznej, którą może przynieść jedynie ideał chrześcijaństwa.

Podczas pobytu w Nikaragui w 1983 roku papież zorientował się, że najwięksi radykałowie teologii wyzwolenia przyjmują bez problemu posady rządowe i przyklaskują antykościelnym działaniom władzy komunistycznej. Milczeli, gdy sandiniści w obelżywy sposób atakowali Ojca Świętego. „Msza św. odprawiana na głównym placu stolicy przemieniła się w demonstrację antypapieską, podczas której wznoszono bezbożne okrzyki i rewolucyjne hasła, tak iż nie pozwolono dojść Papieżowi do głosu"[9]. Jan Paweł II publicznie napiętnował tę agresję, wyrzucając „teologom" – bez zwykłej swojej łagodności – że niszczą jedność Kościoła i deprecjonują kapłaństwo. […] Mimo potępienia przez Rzym zarówno księży, jak i ludzi świeckich zaangażowanych w tzw. Kościół ludowy, L`Osservatore Romano pisało o tamtejszych chrześcijanach jako o tych, „którzy opowiadają się za rewolucją rozumianą jako konkretny sposób realizowania wartości moralnych, o których pisze Ewangelia". […]

Duchowni angażujący się w teologię wyzwolenia często porzucali kapłaństwo i przeistaczali się w marksistowskich agitatorów. Niektórzy uczynili to dopiero wraz z upadkiem imperium sowieckiego, co rzuca światło na ich intencje. „Ojciec Leonardo Boff, jedna z kluczowych postaci teologii wyzwolenia, porzucił kapłaństwo w 1992 roku w proteście przeciw temu, co nazwał brakiem wolności w Kościele, niczym wymawiający służbę kamerdyner, który przyłapany na kradzieży sreber stwierdza, że ta praca była poniżej jego godności", komentuje Henry J.A. Sire[10].

[9] R. Amerio, op. cit.

[10] Dziś rewolucyjne idee tego byłego franciszkanina, obecnie świeckiego teologa i filozofa, wyraźnie nawiązują do celów, jakie stawiał sobie papież Franciszek. Nie ukrywał on strategii zmierzającej do budowy społeczeństwa globalnego, bez granic między państwami. W jednej z ostatnich prasowych wypowiedzi Boff grzmiał: „Nadal brak nam wystarczającej świadomości i działań, które trzeba podjąć już teraz. Wyzwanie polega na stworzeniu nowego globalnego paktu społecznego wszystkich narodów, omawianiu globalnych problemów i szukania globalnych rozwiązań". Według niego najpilniejsze jest dziś „wyzwolenie" ziemi od „najbardziej niebezpiecznego drapieżnika – człowieka".

My zachowaliśmy wiarę

Arcybiskup Lefebvre z przygnębieniem wspominał swój pobyt w Meksyku w latach 80., gdy widział tragiczne położenie katolików w tym 77-milionowym narodzie, niemal w całości katolickim. „Pasterze pozostawili swą trzodę na pastwę losu, sami oddali się rewolucyjnemu rozpolitykowaniu, w którym skądinąd nawet prześcigają lewicowy i mocno związany z Fidelem Castro rząd. Pewna liczba parafii przegnała ze swych kościołów kapłanów rewolucji i prosi nas usilnie, byśmy objęli tamtejsze parafie"[11]. W meksykańskiej Córdobie (Veracruz) podszedł do arcybiskupa młody człowiek w garniturze. „Ekscelencjo, to ekscelencja ma rację, przy ekscelencji są Duch Święty i łaska, u nas nie pozostało już nic ponad religijną maskę, która nawet niczego nie kryje. To chciałem ci, ekscelencjo, powiedzieć przy okazji twojego przejazdu. Proszę, pobłogosław mnie!"[12]. Był to, jak się okazało, wikary jednej z tutejszej parafii.

9 grudnia 1984 roku w Martigny, w przemówieniu z okazji poświęcenia świata, a szczególnie Rosji, Niepokalanemu Sercu NMP arcybiskup powiedział: „Przybywam z Ameryki Południowej. Prezydent Kolumbii jest tak zwanym katolickim prezydentem, który został wybrany przez konserwatystów, a więc przez tych, których nazywa się prawicowcami. I ów konserwatywny prezydent przez dwa lata, podczas których był prezydentem, zdał się również na dialog z wrogami swego kraju, z tymi, których tam nazywa się guerilla – z guerillos. Rezultat owego dialogu jest taki, że w ciągu dwóch lat z 10 czy też 15 000 uzbrojonych mężczyzn, jakich guerilla posiadała przed dwoma laty, dziś zrobiło się 70 000. Guerilla posiada 70 000 zbrojnych, którzy są powiązani z Moskwą, z Chinami i z Kubą. A więc jest to kraj, który w niedalekiej przyszłości może się dostać pod władzę komunizmu, i to z powodu dialogu prowadzonego przez człowieka prawicy. To jest rezultat tego dialogu. Pozwolił on młodym guerillos, aby studiowali na uni-

[11] M. Lefebvre, „List do Przyjaciół i Dobroczyńców", 19.03.1981 [za: B. Tissier de Mallerais, „Marcel Lefebvre. Życie", op. cit.

[12] Tamże.

eprasa.pl b4d0954c29

wersytetach. Zapewnił im stypendia, aby mogli pójść na uniwersytety. Skutki: uniwersytety są komunistyczne.

Nie wiem, czy jesteście świadomi niebezpieczeństwa, jakie dziś zagraża światu wskutek tego zagnieżdżenia się komunizmu! Kolumbia jest punktem węzłowym (…) Komuniści wiedzą bardzo dobrze, że podporządkują sobie całą Amerykę Południową, jeśli wezmą ten bastion, tak jak uczynili w Afryce z Etiopią. (…) Nie wolno prowadzić dialogu z komunistami, trzeba ich zwalczać! Powiedział to już Pius XI: komunizm jest w swej najgłębszej istocie zepsuty. Nie dyskutuje się ze sprawą, która jest do głębi zepsuta"[13].

Diagnoza i ostrzeżenie pozostały aktualne do dziś. […] Marcel Lefebvre, którego mieszkańcy kontynentu uznali za duchowego przywódcę, potwierdzał wielokrotnie kwestionowaną tak często prawdę, że celem działalności społecznej katolików nie może być dokonywanie przewrotów politycznych; ma ona prowadzić do duchowej i moralnej odnowy ludzi wierzących, która może stać się fundamentem nowej polityki i reform społecznych w duchu chrześcijańskim.

Jak podkreśla Henry J.A. Sire, najpoważniejszym złem marksistowskiej „ewangelii" nie są chybione rozwiązania społeczne, ale „katastrofa duchowa, jaką przyniosła Ameryce Łacińskiej. Teologia wyzwolenia dokonała reinterpretacji chrześcijaństwa, w której słowa takie jak »sprawiedliwość« i »nadzieja« zmieniły się w slogany polityczne, nabierając znaczenia powiązanego z walką klasową; osobisty grzech odrzucono i obarczono nim instytucje. Świeckich zorganizowano w »podstawowe wspólnoty kościelne« wzorowane na bolszewickich radach, w których głoszono doktrynę rewolucyjnej religii. Tradycyjne nabożeństwa zostały zakazane, a za jedyną stosowną formę uznano modlitwę wspólnotową. Przychodzący do kościołów poddawani byli indoktrynacji i przekonywani, że powinni troszczyć się jedynie o potrzeby materialne. Skutek był taki, że w krótkim czasie Kościół utracił miliony wiernych. Powstała próżnia została wypełniona przez sekty protestanckie, które przynajmniej uznawały, że ludzie mają także potrzeby duchowe. Na kontynencie, który na początku lat 60. XX wieku, był niemal całkowicie katolicki, sekty protestanckie, zazwyczaj najbardziej groteskowe, liczone są obecnie w setkach, a ich członkowie w dziesiątkach milionów (…)[14]".

Arcybiskup Lefebvre darzył szczególnym uczuciem hiszpańskich misjonarzy, którzy nawracali ludność Ameryki Południowej począwszy od XVI wieku. Nieraz wspominał, jak podróżując przez Peru czy Boliwię spotykał tam niezliczone świadectwa wiary zarówno Hiszpanów, jak i rodzimej ludności, sanktuaria poświęcone Matce Bożej, wiele miast i wsi noszących nazwę Santa Fe (Święta Wiara), Santa Cruz. Wiedział, jak niesłychaną krzywdę wyrządził tej ludności marksizm udający teologię, przywleczony na karabinach byłych, a nierzadko jeszcze wciąż czynnych księży. Często powtarzał w Ameryce Południowej, że przed wojną domową uratuje jej kraje tylko niezłomne trzymanie się zasad wiary katolickiej, całkowite odrzucenie idei wolności religijnej i liberalizmu. ■

W czasie pielgrzymki do Brazylii w 1980 roku Jan Paweł II przestrzegał przed traktowaniem walki klas – skazanej, jak mówił, na „jałowość i zniszczenie" – jako remedium na poprawę sytuacji wewnętrznej i wzywał do pilnego budowania prawdziwej sprawiedliwości społecznej, którą może przynieść jedynie ideał chrześcijaństwa.

[13] Prezydentem Kolumbii był wówczas Belisario Antonio Betancur Cuartas – pisarz, dziennikarz i prawnik, polityk Partii Konserwatywnej, minister oświaty i pracy, ambasador Kolumbii w Hiszpanii, prezydent kraju od 7 sierpnia 1982 do 7 sierpnia 1986 roku, członek Papieskiej Akademii Nauk Społecznych.

[14] H.J.A. Sire, op. cit.

Jeden z rozdziałów książki Ewy Polak-Pałkiewicz „»Ekscelencja jest szalony!« Arcybiskup Marcel Lefebvre i czasy, które przewidział", wyd. Fronda, Warszawa 2025.

*Śródtytuł pochodzi od redakcji „NP".
** Śródtytuł pochodzi od redakcji „NP".

eprasa.pl b4d0954c29

Krzysztof Wołodźko



Polska bieda, polski socjal. I 800 plus

Procesy różnicowania się między bogatymi a mniej zamożnymi wciąż postępują, dotyczą coraz nowszych obszarów ekonomicznych, kulturowych i społecznych – z dr. hab. Ryszardem Szarfenbergiem rozmawia Krzysztof Wołodźko.

▶ Czyją twarz ma dzisiaj w Polsce bieda? Osoby z niepełnosprawnością? Jej opiekunki? Dziecka z wielodzietnego domu? Kobiety z marną emeryturą? Pracującego ubogiego?

To wyraziste obrazy, ale sprawa jest bardziej złożona. Dla statystyki jednostką badaną nie są poszczególne osoby, lecz gospodarstwa domowe. Wtedy widzimy wiele twarzy polskiej biedy. Gdybyśmy zastanawiali się nad ubóstwem rodzin z dziećmi, zobaczymy i twarze rodziców, i twarze dzieci. Od dawna występuje widoczna zależność: w rodzinach wielodzietnych sytuacja jest gorsza niż w małodzietnych, ale dystans między tymi rodzinami się zmniejsza. To się zaczęło zmieniać od 2014 roku, a zdecydowaną cezurą było wprowadzenie dwa lata później przez rząd Prawa i Sprawiedliwości naprawdę hojnego świadczenia, czyli programu Rodzina 500 Plus.

Warto przypomnieć badanie Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych „Nowi biedni emeryci", które mówi o seniorach i seniorkach z emeryturami niższymi niż minimalna. Są też ubogie gospodarstwa domowe utrzymujące się głównie z pracy. W rodzinach z osobami z niepełnosprawnością też jest więcej ubóstwa.

▶ Panuje niezgorsze zamieszanie, jeśli chodzi o definiowanie ubóstwa. Mamy ubóstwo skrajne, ustawowe, relatywne i strefy wykluczenia społecznego.

Najniższa jest granica ubóstwa skrajnego. W 2024 roku było to – mierząc według wydatków – 972 złote w jednoosobowym gospodarstwie domowym. Granica ubóstwa relatywnego była wówczas o 300 złotych wyższa (1266 zł). Dodajmy do tego granicę tzw. strefy niedostatku, którą w Poverty Watch nazywamy strefą wykluczenia społecznego. Mowa o gospodarstwach domowych z wydatkami poniżej minimum socjalnego, czyli 1863 złote miesięcznie. Okazuje się wówczas, że w Polsce w strefie zagrożenia wykluczeniem społecznym żyje nawet kilkanaście milionów osób! Tyle że celowo w tym ostatnim przypadku nie używa się terminów „bieda" czy „ubóstwo".

▶ Tak duża liczba osób zagrożonych biedą w najpiękniejszej z możliwych III RP mogłaby budzić pewne zgorszenie opinii publicznej.

[śmiech] W pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku lider Samoobrony Andrzej Lepper często odwoływał się do minimum socjalnego jako postulatu politycznego. Uznano to za przejaw socjalnego populizmu i decydencji, odpowiadający za badania Głównego Urzędu Statystycznego odrzucali jego narrację. Uznali ją za na tyle niebezpieczną, że przez co najmniej kilka lat w ogóle przestano podawać dane dotyczące liczby osób poniżej minimum socjalnego. Publikacje na ten temat wznowiono długo po tym, jak Samoobrona przestała się liczyć na scenie politycznej.

eprasa.pl b4d0954c29



FOT. WNPISM

Ryszard Szarfenberg – doktor habilitowany w zakresie nauk o polityce, prof. ucz. na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Autor wielu publikacji z zakresu polityki społecznej, polityki publicznej, usług społecznych, ewaluacji, europejskiej i międzynarodowej polityki społecznej, nierówności, ubóstwa, bezdomności, marginalizacji i wykluczenia społecznego oraz pomocy społecznej i spółdzielczości socjalnej. Ekspert European Social Policy Analysis Network (od 2018), przewodniczący Rady Wykonawczej Polskiego Komitetu Europejskiej Sieci Przeciw Ubóstwu (od 2012), przedstawiciel WRZOS i EAPN Polska w Międzyresortowym Zespole ds. Realizacji Strategii „Europa 2020" i Semestru Europejskiego (od 2012). Prezes ATD Czwarty Świat Polska (od 2022). Członek Komisji Ekspertów ds. Przeciwdziałania Bezdomności przy RPO (od 2017). Członek kapituły przyznającej tytuł Miasta Przyjaznego Dzieciom UNICEF (od 2022). Członek Zespołu do spraw reformy pomocy społecznej MRPiPS (od 2024 r.). Autor wydawanego co roku raportu o ubóstwie w Polsce Poverty.

Nie jestem jednak pewien, czy chodziło i chodzi wyłącznie o zgorszenie. W latach 90. podawano tego rodzaju dane, choć wskazywały, że poniżej minimum socjalnego żyje nawet ponad 50 proc. społeczeństwa. Tych wskaźników zaczęto się obawiać dopiero, gdy Samoobrona zdobyła duże poparcie wyborców.

▶ Ze statystyki zrobiła się polityka?

Zdecydowanie. Wpłynęło to również na zmiany terminologii i skomplikowanie kryteriów związanych z ubóstwem. W czasach PRL mówiono po prostu o ubóstwie według minimum socjalnego. We wczesnych latach 90. wymyślono minimum egzystencji, które nie uwzględnia żadnych potrzeb społecznych. To doprowadziło do wątpliwości, co to właściwie jest ubóstwo. Jako Europejska Sieć Przeciwdziałania Ubóstwu uważamy, że ważna jest troska o odpowiedni standard życia w Polsce, dlatego nie godzimy się z narracją: „Jest dobrze, bo spada skrajne ubóstwo". Myślmy raczej o tym, jak zmniejszać strefę niedostatku.

Zamieszanie wynika nie tylko z tego, że mamy różnie wyznaczane ekonomiczne granice ubóstwa. Liczy się także sposób badań. Kryteriami, o których mówiłem wyżej, posługuje się GUS, odwołując się do wydatków, a nie dochodów gospodarstw domowych. Taką decyzję podjęto jeszcze w latach 90. XX wieku, tłumacząc to niestałością dochodów części gospodarstw domowych i niechęcią ankietowanych do zdradzania faktycznych zarobków.

To się różni od podejścia Unii Europejskiej. W badaniach unijnych, za które odpowiada Eurostat, analizy ubóstwa przeprowadzane są według dochodów, mierzy się tam tylko ubóstwo relatywne. Mamy również badania deprywacji materialnej i społecznej, w których pyta się gospodarstwa domowe, na co je stać, a na co nie stać.

▶ Jakie to wskaźniki?

Rodzina żyje w poważnej deprywacji materialnej i społecznej, jeśli nie stać jej co najmniej na pięć z listy trzynastu pozycji uznawanych za niezbędne. Część dotyczy gospodarstwa domowego: zdolność do pokrycia nieoczekiwanych wydatków, zdolność do opłacenia tygodniowych wakacji poza domem raz w roku, brak zaległości w płatnościach (kredyt hipoteczny, czynsz, rachunki za media, raty zakupów na raty lub inne spłaty kredytów), zdolność do pozwolenia sobie na posiłek z mięsem, kurczakiem, rybą lub wegetariańskim odpowiednikiem co drugi dzień, zdolność do odpowiedniego ogrzania domu, dostęp do samochodu/vana do osobistego użytku, wymiana zużytych mebli. Pozostałe odnoszą się do potrzeb indywidualnych: posiadanie dostępu do Internetu, wymiana zużytej odzieży na nową, posiadanie dwóch par odpowiednio dopasowanych butów (w tym pary butów na każdą pogodę), wydawanie małej sumy pieniędzy na siebie co tydzień, regularne zajęcia rekreacyjne.

▶ Piotr Ikonowicz często przypomina, że mężczyźni na warszawskiej Pradze żyją znacznie krócej niż mężczyźni z Wilanowa. Eksperci zwracają uwagę, że to powszechne zjawisko – im niższa pozycja społeczno-ekonomiczna zarówno jednostek, jak grup społecznych, tym gorszy stan zdrowia i krótsza oczekiwana długość życia. Przeciwdziałanie ubóstwu powinno być ważnym elementem polityki państwa, a nie celem doraźnych działań charytatywnych?

eprasa.pl b4d0954c29

Tego rodzaju zależność rzeczywiście występuje. Początek dały brytyjskie badania pracowników fizycznych i umysłowych – dłużej i w lepszym zdrowiu żyli ludzie z klas wyższych. Sprawna publiczna opieka zdrowotna naprawdę przydaje się gorzej opłacanym pracownikom i pracownicom fizycznym: nie tylko są bardziej zagrożeni szybszą utratą zdrowia, lecz także mają mniej pieniędzy i czasu, żeby prywatnie pójść do lekarza, rehabilitantki, aktywnie odpocząć.

Ubóstwo jest problemem indywidualnym i społecznym. Indywidualnie szkodzi zdrowiu, ale też systemowo nie opłaca się ani gospodarce narodowej, ani instytucjom publicznym. Niezależnie od tego, czy chcemy walczyć z nierównościami w zdrowiu powodowanymi różnicami dochodowymi, czy na przykład miejscem zamieszkania – troska o zdrowie całej populacji jest ważna z perspektywy gospodarki. Gdyby realnym celem naszego państwa było ograniczenie nierówności w zdrowiu, wynikających z różnego statusu materialnego, musielibyśmy mieć bardziej ambitny program opieki zdrowotnej i zdrowia publicznego.

Ubogi i chory pracownik to kłopot także dla racjonalnie kalkulujących właścicieli biznesów: zarówno w przypadku chorób zakaźnych, które mogą wykluczyć całe załogi, jak i w przypadku pojedynczych chorych, których wydajność może być niższa.

Głównie jednak na gruncie etycznym trudno uzasadnić, że tylko bogaci mają prawo do bycia zdrowym i długiego życia, a mniej zamożni muszą być skazani na choroby i związane z nimi cierpienia i dysfunkcje czy wcześniejszą śmierć.

▶ „W Polsce procesy pauperyzacji i marginalizacji dotknęły nie tylko dawne osiedla pegeerowskie, lecz w ogóle ludność zamieszkałą na wsi. Z danych GUS wynika, że w skrajnym ubóstwie, poniżej minimum egzystencji żyło w 1997 roku 8,7 proc. mieszkańców wsi, gdy odpowiedni odsetek dla miast wynosił prawie trzykrotnie mniej, bo 3,3 proc." – pisała przed laty prof. Elżbieta Tarkowska („Lata tłuste, lata chude... Spojrzenia na biedę w społecznościach lokalnych", Warszawa 2002). Po 30 latach sytuacja się zmieniła czy jest wciąż podobna?

Bieda wiejska wydaje się mieć dzisiaj inny charakter niż w przeszłości. Analizowałem wspomniany wcześniej wskaźnik deprywacji materialnej i społecznej, oznaczany od 2014 roku na obszarach wiejskich i miejskich. Widać, że sytuacja na wsi zbliża się do tej w miastach, co jest pozytywnym trendem.

▶ Jak to tłumaczyć?

Pierwszych kilkanaście lat po upadku PRL było bardzo trudne dla wsi. Zarówno dla prywatnych, rodzinnych gospodarstw, jak i dla chłoporobotników, którzy musieli urządzić sobie życie na ruinach państwowych gospodarstw rolnych. Po wejściu Polski do Unii Europejskiej pojawiły się programy nastawione na poprawę sytuacji wsi, nastąpiła konsolidacja gospodarstw rolnych, pojawiły się i wzmocniły nowoczesne firmy rolne i przetwórcze. Rozwinął się eksport. Także państwo zrozumiało, że musi inwestować w wieś, czyli jak to się mówi teraz: w rozwój obszarów wiejskich.

▶ PiS pod koniec swoich rządów zdecydowało się nawet na Program Inwestycji Strategicznych dla terenów popegeerowskich, wcześniej wzmocniło koła gospodyń wiejskich, co odnotowały nawet środowiska feministyczne w raporcie „Mieszkanki wsi w działaniu: lokalne rewolucje".

Trzeba jednak pamiętać, że bieda na wsi wciąż jest znacznie większa niż w metropoliach. W najgorszej sytuacji są wsie pozametropolitalne, czyli gminy wiejskie odległe od wielkich miast. Wsie na peryferiach mają wyraźnie większy poziom ubóstwa skrajnego. I również tam biedą bardziej zagrożone są rodziny wielodzietne lub gospodarstwa domowe z osobami w mniejszym stopniu zdolnymi do pracy lub bezskutecznie poszukującymi pracy.

Na to ma wpływ również demografia. Wsie pozametropolitalne starzeją się szybciej, dotyka je depopulacja, wyludniają się. To są wsie ludzi starszych, z większymi potrzebami zdrowotnymi i opiekuńczymi, z niskimi emeryturami, nierzadko KRUS-owskimi.

▶ A kto jest ubogi w mieście?

Wbrew pewnemu stereotypowi blokowiska nie są siedliskami biedy. Szczególnie że po dekadach modernizacji bloki z czasów PRL są ocieplone, zadbane, nieźle skomunikowane. W dodatku wciąż mamy tam mocno zróżnicowaną ludność: mieszkają tam emeryci, przedstawiciele klasy średniej i klasy robotniczej. Sytuacja jest dynamiczna – coraz więcej lokali w blokowiskach ma status mieszkań na wynajem, lokatorzy pracują i płacą czynsz prywatnym właścicielom, co powoduje, że stopniowo zmienia się status całych osiedli.

Symbolem ubóstwa w dużych miastach może być warszawskie Osiedle Dudziarska. Dziś to ruina, miasto nie ma pieniędzy na zburzenie bloków, które w początku lat 90. służyły jako miejsce karnej eksmisji ludzi ze Śródmieścia i Pragi-Północ.

▶ „Murator" pisał o tym: „Jako lokalizację wybrano odciętą od reszty miasta działkę między

eprasa.pl b4d0954c29

torami, aresztem, spalarnią śmieci, opuszczonymi ogródkami działkowymi i lasem, a pod budynki nie doprowadzono instalacji gazowej czy centralnego ogrzewania. […] U progu XXI wieku, w stolicy Polski, w inicjatywy miasta powstało około 200 ciasnych mieszkań bez dostępu do ciepłej wody, ogrzewanych węglem i wykluczonych komunikacyjnie".

To symbol miejsc, do których władze wielu miast eksmitują ludzi, którzy nie utrzymali się gdzie indziej. Tak powstają miejskie getta, skupiska mieszkań przeznaczonych do najmu socjalnego. Wyzwaniem nie jest wyłącznie ubóstwo – lokatorzy takich adresów to ludzie z szeregiem różnych problemów: rozwodnicy, którzy nie płacą alimentów, osoby z innego rodzaju długami, które się kumulują, albo ludzie z przeszłością kryminalną, uwikłani w sieci złych znajomości. Do tego dochodzi uczenie się na negatywnych wzorcach, nieleczone uzależnienia, handel narkotykami, sutenerstwo i prostytucja. To jest miejska sytuacja, często skupiona w specyficznych miejscach. Bieda w małych miasteczkach i na wsi, nawet jeśli występują podobne problemy i zjawiska, nie przybiera tak skoncentrowanej przestrzennie formy.

▶ To wciąż buduje negatywny stereotyp mieszkania komunalnego?

Myślę, że wpływa na to pewne pomieszanie pojęć. Duża część mieszkań komunalnych w Polsce tak naprawdę zasiedlona jest przez klasę średnią, która mieszka w nich w drugim, trzecim pokoleniu. I to się im opłaca ze względu na niskie czynsze i bezterminowe umowy. Jest jednak część mieszkań, zwana niegdyś mieszkaniami socjalnymi, obecnie to najem socjalny, przeznaczona dla najuboższych lokatorów. Brak tam trwałych umów: maksymalny czas to dwa lata, później są przedłużane albo nie. Za bezumowne korzystanie z lokalu płaci się dodatkowe kary. Tacy ludzie wciąż korzystają z mieszkań socjalnych, ale część zagrożona jest kryzysem bezdomności.

▶ Czy należąc do klasy średniej, można popaść w ubóstwo?

Owszem, tyle że niekoniecznie musi to być ubóstwo trwałe. Część osób z niższej klasy średniej może stracić pracę, zachorować, mierzyć się z niepełnosprawnością własną lub w rodzinie i wówczas popaść w ubóstwo. Tyle że jako ludzie, którzy wcześniej mieli formalne zatrudnienie i stałe zarobki, uprawnienia do świadczeń z ubezpieczenia społecznego, które zwykle są najwyższe z najróżniejszych polskich świadczeń, łatwiej mogą wykaraskać się z kłopotów. Ludzie z klasy średniej mają też zwykle dobrą sieć kontaktów, która w sytuacjach kryzysowych pomaga im łatwiej i szybciej wydostać się z tarapatów. Zagrożenie ubóstwem istnieje, jest jednak niższe niż w przypadku pracujących ubogich, gorzej wynagradzanych pracowników fizycznych czy szerzej: osób z klasy ludowej. Możliwa jest sytuacja, że także ludzie z klasy średniej osuną się w dół, aż do bezdomności. Jednak jeśli w grę wchodzą tylko czynniki finansowe, a nie inne poważne problemy, to poprawa może być znacznie łatwiejsza.

▶ Zna Pan pewnie powiedzenie, że naszą klasę średnią od ubóstwa dzieli tylko kilka niespłaconych rat kredytu hipotecznego.

Nie mam przekonania do tego bon motu. Oczywiście, zawsze możliwe są kłopoty, na przykład rozpad małżeństwa, którego nie pojednał nawet wspólny kredyt na mieszkanie. Trzeba pamiętać o kontekście systemowym czy wręcz politycznym. Nie chodzi tylko o Fundusz Wsparcia Kredytobiorców z jego zwrotną pomocą.

▶ A o co?

Pamiętamy wielkie perturbacje z kredytami frankowymi. Mnóstwo ludzi wzięło je z pełnym przekonaniem, że robi dobry interes z bankami. Gdy pojawiły się problemy, klasa średnia zaczęła wywierać presję na polityków wszystkich opcji, by ustawowo pomogli zaradzić kłopotom. To dotyczy wielu spraw – tam, gdzie klasa średnia zainteresowana jest zmianą, łatwiej niż mniej zamożni znajduje sposoby na przekonanie władzy do swych racji.

▶ W wydanej niedawno książce „Nierówności po polsku. Dlaczego trzeba się nimi zająć, jeśli chcemy dobrej przyszłości nad Wisłą" (Paweł Bukowski, Jakub Sawulski, Michał Brzeziński), autorzy zwracają uwagę, że w naszym kraju trzy zmienne są odpowiedzialne za prawie jedną trzecią występujących nierówności w dochodach. To wykształcenie rodziców, ich zawód i pochodzenie. Państwo nie tworzy mechanizmów ułatwiających awans materialny i społeczny?

Tworzy je, ale nie są zbyt skuteczne. Wspomnieliśmy już o edukacji, to ważny czynnik mobilności społecznej. Po wyjściu z PRL przeżyliśmy boom edukacyjny. Wiele osób, w których rodzinach wcześniej nie było ludzi z wyższym wykształceniem, mogło je zdobyć. Był to znaczny awans dla dużej części naszego społeczeństwa.

eprasa.pl b4d0954c29

Innym ważnym wskaźnikiem jest własność mieszkania. Jeśli porównamy czasy przeszłe i obecne, to w III RP znaczna część Polaków zdobyła własne nieruchomości. W dużej mierze to wciąż mieszkania bez kredytu.

▶ Część tych mieszkań wybudowano albo odbudowano jeszcze w PRL i za stosunkowo małe pieniądze przeszły na prywatną własność na początku III RP. Szybko objawiła się też ciemna strona reprywatyzacji. A Międzynarodowy Fundusz Walutowy ostrzega, że w Polsce za dużo inwestuje się w nieruchomości. Zwrócę uwagę na jeszcze jedną sprawę: część licencjatów i tytułów magistra w Polsce ma naprawdę niewielką wartość. I może mieć jeszcze mniejszą…

To pokazuje inne zjawisko: boom edukacyjny stworzył wrażenie powszechności awansu, ale nie zatarł różnic między elitarnym a pozornym wykształceniem. Czasem to się dziwnie komplikuje, jak w głośnym przypadku Collegium Humanum. Są też studia organizowane dla cudzoziemców właściwie tylko po to, żeby dzięki legalnemu pozwoleniu na naukę mogli podjąć w Polsce pracę. Gdy klasa średnia widzi, że pewne elementy wyższego statusu się upowszechniają, stara się wysyłać swoje dzieci na studia tam, gdzie jest bardziej elitarnie. I nie chodzi nawet o najlepsze uniwersytety w Polsce, lecz o uczelnie w Wielkiej Brytanii czy USA.

Rzecz dotyczy nie tylko szkolnictwa wyższego. Na początku XXI wieku na płatne zajęcia pozaszkolne swoje dzieci wysyłało około 20–30 proc. rodziców. Dziś robi tak 70 proc. opiekunów. A to oznacza, że obecnie mniejszość, która nie wysyła swoich pociech na tego typu zajęcia, przegrywa w konkurencji. Kiedyś było jasne, że większości na to nie stać. Dziś statystyki się odwróciły i łatwiej o stygmatyzację tych dzieci, które z jakichś przyczyn na takie zajęcia nie chodzą. A przecież i wśród nich są z pewnością osoby szczególnie uzdolnione i również jako społeczeństwo tracimy szanse na talenty z tej grupy.

Podobnie z własnością mieszkań. Bardziej zasiedziała klasa średnia, która chciałaby się odróżnić od klasy średniej z kredytem, łatwo może się pochwalić nie tylko lokum, w którym mieszka, lecz także mieszkaniem bądź mieszkaniami na wynajem i daczą na Mazurach albo apartamentem nad Bałtykiem czy w Hiszpanii.

Procesy różnicowania się między bogatymi a mniej zamożnymi wciąż postępują, dotyczą coraz nowszych obszarów ekonomicznych, kulturowych i społecznych.

▶ Bogaci nie chcą podatku katastralnego. I wolą polityków, którzy zagwarantują im niższą składkę zdrowotną. A przecież to się nie dzieje bezkosztowo ani dla państwa, ani dla społeczeństwa.

Silne grupy społeczne, uważane za bohaterów transformacji i współczesnych czasów, czyli przedsiębiorcy, właściciele i prezesi firm, wykorzystują swój pozytywny wizerunek także w celach lobbystycznych. Chcą utrzymać i powiększać swoje przywileje, podkreślając, że to na nich opiera się wzrost gospodarczy, czyli dobrobyt wszystkich. Dobrze to było widać w przypadku Polskiego Ładu, gdy jego przeciwnicy chętnie powoływali się na dobro klasy średniej, gdy w największym stopniu chodziło o interesy 10 czy 20 proc. najzamożniejszych, którzy chcieli się uchronić przed wyższymi podatkami i składkami. Wiemy, jak się to skończyło – szybko pod tym względem rozmontowano cały projekt. A Koalicja Obywatelska dzisiaj skłonna jest ulegać dalszej presji tych środowisk.

Mamy też podatek płacony przez milionerów, nazywany daniną solidarnościową. Raptem pojawia się pytanie: jak to możliwe, że mamy w Polsce coraz więcej milionerów, a coraz mniejsze środki płyną do budżetu z daniny solidarnościowej? Odpowiedzią jest możliwość ucieczki na ryczałt. Optymalizacja podatkowa w przypadku rekinów biznesu jest duża. Tym większa, że w debacie publicznej wspierają ich znacznie mniejsi gracze, czyli ludzie prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą, jak ognia obawiający się wszelkich podwyżek podatków i składek. Samozatrudnieni, zarabiający znacznie mniej niż najbogatsi, też mają w tym interes.

▶ Program Rodzina 500 Plus był rewolucją w polityce społecznej III RP?

Tak, to była rewolucja. Zarówno pod względem powszechności świadczenia, szczególnie od 2019 roku, gdy 500 plus objęło wszystkie dzieci, jak i jego hojności. W 2016 roku było to na jedno dziecko 37 proc. płacy minimalnej netto. W polskich realiach, przed ówczesnymi rządami PiS-u, było to nie do wyobrażenia. Sam byłem zaskoczony, zdumieni byli zagraniczni eksperci, z którymi rozmawiałem.

Problem w tym, że w kolejnych latach PiS nie zdecydowało się na waloryzację. Kilka lat wcześniej PiS zaskoczyło wszystkich, realizując obietnicę przedwyborczą, która zdaniem znacznej części opinii publicznej, ekonomistów i przeciwników politycznych tej partii była nie do spełnienia. Dzięki temu w 2019 roku PiS znów wygrało wybory.

▶ Później entuzjazm społeczny ostygł?

Pojawiła się inflacja, a wraz z nią argument, że napędza ją właśnie 500 plus. Moim zdaniem PiS popełniło

eprasa.pl b4d0954c29

błąd, nie decydując się na mechanizm waloryzacji, a następnie odwlekając podwyżkę.

▶ A gdy 500 plus zmieniło się w 800 plus, Donald Tusk zrobił wszystko, by wmówić opinii publicznej, że zdecydowała o tym jego presja.

Tylko że Koalicja Obywatelska też nie podwyższa tego świadczenia. Kierując się logiką wyborczą, będą zapewne rozważać podniesienie w roku wyborczym 2027. Choć sądzę, że tego nie zrobią, bo są bardzo mocno uwięzieni w konserwatyzmie fiskalnym, mają wymówkę w postaci procedury nadmiernego deficytu. Jeśli jednak przewaga nad opozycją będzie niewielka, może zmienią zdanie.

▶ W filozofii istnieje pojęcie teleologii (nie mylić z teologią!), czyli wewnętrznej celowości struktur. Jaka – Pana zdaniem – była/jest teleologia 800 plus? Poprawa demografii? Walka z ubóstwem? Zwiększenie dobrobytu mniej zamożnych? Redystrybucja ekonomiczna w rozwarstwionym społeczeństwie III RP?

Z całą pewnością 500, następnie 800 plus pomogło w zmniejszeniu ubóstwa dzieci w rodzinach, szczególnie wielodzietnych. W 2023 roku pojawiły się głosy, że 500 plus nie działa, bo ubóstwo skrajne wśród dzieci wzrosło. Mówiłem wówczas, że jak się nie waloryzuje świadczenia w warunkach wysokiej inflacji, to od razu widać konsekwencje. A gdy rok później podniesiono kwotę świadczenia, ubóstwo dzieci znów spadło znacząco. Mocniej niż w innych typach gospodarstw domowych.

▶ Mateusz Łakomy mówił mi w wywiadzie dla „Nowego Państwa": „Osoby o niższym statusie społecznym są wykluczone z możliwości posiadania większej liczby potomstwa. I umożliwienie im poprawy dzietności to bieżące wyzwania dla polityki demograficznej w Polsce. 500 plus, a następnie 800 plus umożliwia przełamanie pewnych barier w tym względzie".

Rzeczywiście było widać ograniczone oddziaływanie tego programu na dzietność. Efekt był, ale krótkotrwały, szczególnie w uboższych rodzinach. Przeliczano to na jedno urodzenie, porównywano z in vitro, więc porażka była nie tylko w kategoriach nieskuteczności, lecz także nieefektywności.

Z programu jednak nie zrezygnowano, ale dokładano do niego nowe świadczenia takie jak Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, które obecny rząd zastąpił „Aktywnym rodzicem". Tyle że polityczne zainteresowanie ekspansją socjalną zmniejszyło się. Główna partia rządzącej koalicji jest mocno liberalna gospodarczo, a PiS z prawej jest kontrowany przez Konfederację. KO nie pójdzie pewnie w ostre cięcia świadczeń społecznych – po prostu je zamraża.

▶ W debacie publicznej, nie tylko w pałacach, lecz także na ulicy, często słyszymy, że „socjal" demoralizuje, rozleniwia i pozwala prowadzić wygodne, pasożytnicze życie. Da się u nas rzeczywiście wyżyć z socjalu? I co to w ogóle jest socjal?

Możemy zapytać na przykład, czy ze świadczeń socjalnych wyżyje ktoś, kto opiekuje się osobą z niepełnosprawnością. Samo pytanie może wydawać się absurdalne, ale pamiętam, że w „Bezprawniku" swego czasu ukazał się artykuł, który sugerował, że z socjalu wygodnie może żyć matka z autystycznym dzieckiem i przemocowym mężem. Tekst wyraźnie uderzał w opiekunki dzieci z niepełnosprawnością. Podniosła się burza, artykuł zdjęto, opatrując go komentarzem w stylu „sorry-no-sorry".

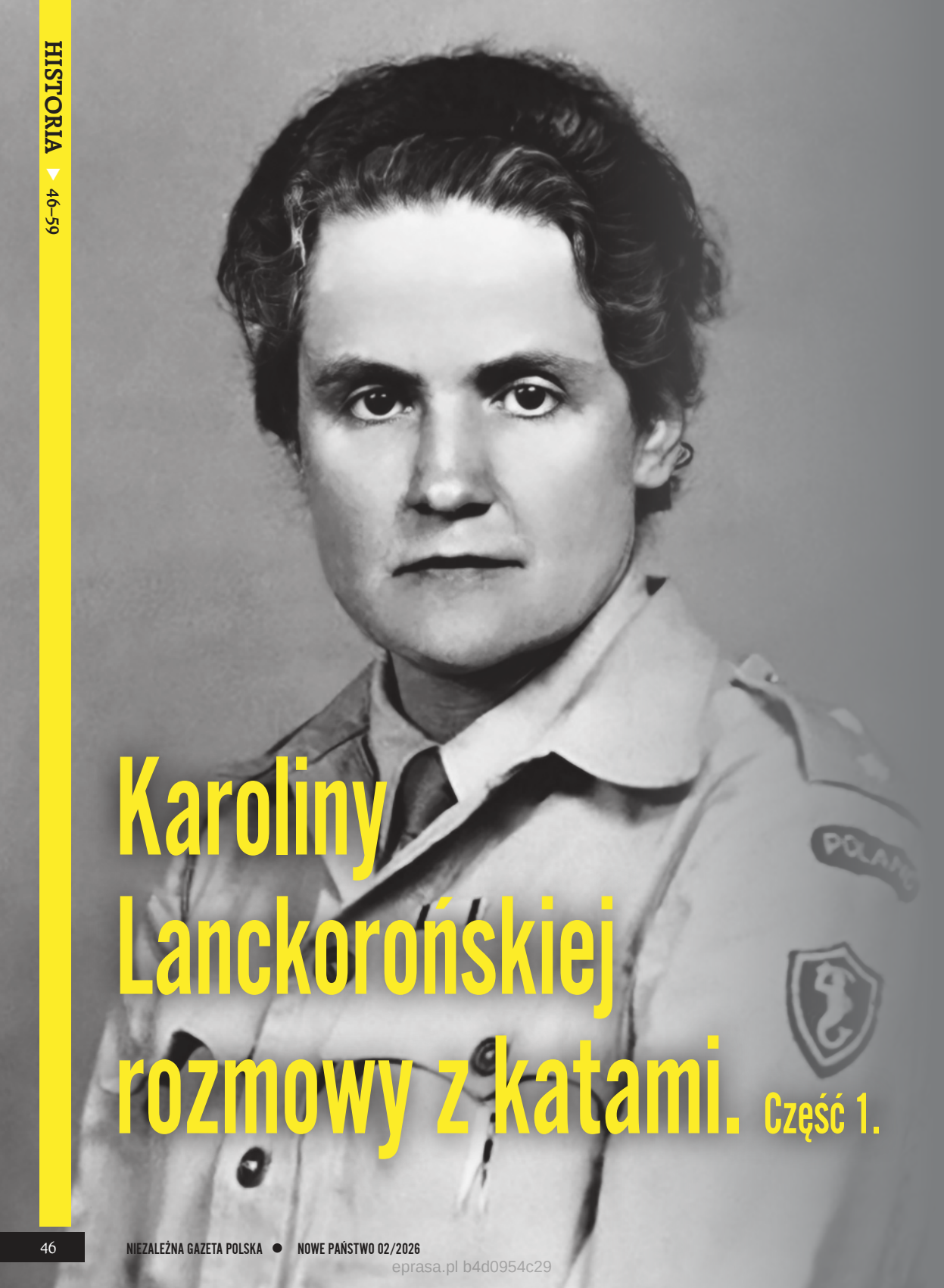
Po protestach w Sejmie jeszcze w 2014 roku świadczenia pielęgnacyjne zaczęły zdecydowanie rosnąć. Waloryzacja tego świadczenia została przypięta do płacy minimalnej netto. Teraz wprowadzono świadczenie wspierające dla osób z dużymi potrzebami opiekuńczymi. Czy z tego wynika, że w takich rodzinach żyje się wygodnie ze świadczeń?

▶ W tym stereotypie chodzi jednak o rzekomych lordów-rencistów i bezrobotnych krezusów, żyjących w Polsce z socjalu jak na Olimpie.

Socjal to świadczenia uzależnione od dochodu, a nie polisy ubezpieczeniowe albo wypracowane uprawnienia, takie jak renty czy emerytury. Także powszechne świadczenia, jak 800 plus, to nie socjal. Klasyczny socjal to środki finansowe dla ubogich, z jasno określonymi kryteriami dochodowymi.

W Polsce nie da się wyżyć z socjalu, bo jest on naprawdę niski. Mamy wręcz do czynienia z erozją świadczeń społecznych w stosunku do płac. A razem z płacami w górę idą ceny. To nie jest tak, że samotna matka na rencie z pieniędzmi z Funduszu Alimentacyjnego będzie opływać w dostatki „za nasze pieniądze". Zasiłki dla bezrobotnych – choć to również nie jest klasyczny socjal – są bardzo niskie w stosunku do płac, krótkotrwałe i tak naprawdę rzadko kto z nich korzysta. Kto zna realia naszego systemu socjalnego, który jest skąpy i uwielbia przeczołgiwać ludzi przez upokarzające procedury, ten nigdy nie będzie opowiadał takich bzdur. I z całą pewnością nie wyśle swoich dzieci i bliskich na „luksusowe życie na socjalu". ■

eprasa.pl b4d0954c29



Karoliny Lanckorońskiej rozmowy z katami. Część 1.

eprasa.pl b4d0954c29

Wywodziła się z zasłużonego dla Rzeczypospolitej rodu Lanckorońskich z Brzezia, ale o jej wielkości zdecydował nie dziedziczony po przodkach tytuł hrabiowski, lecz osobiste zasługi dla ojczyzny, praca naukowa i konspiracyjna, niewyobrażalna odwaga i gotowość niesienia pomocy ofiarom wojny.

Agnieszka Kowalczyk

Jej pradziadowie pieczętujący się herbem z wizerunkiem lwa ziejącego ogniem siadali na koń i bili się w godzinie próby. Ale i ona sama w czasie II wojny światowej w niczym im nie ustępowała, mierząc się najpierw z okupantem sowieckim, a później niemieckim. Niestraszni byli jej bolszewicy, gestapowcy, ciemnice stanisławowskiego więzienia czy nieludzkie warunki obozu koncentracyjnego Ravensbrück.

Jak ojciec ukochała Polskę i sztukę

Karolina przyszła na świat w 1898 roku w Buchbergu w cesarstwie austro-węgierskim jako córka hrabiego Karola Lanckorońskiego i Małgorzaty von Lichnowsky. Od młodzieńczych lat czuła wielkie zamiłowanie do sztuki, które odziedziczyła po ojcu, twórcy jednej z najbogatszych w Wiedniu prywatnych galerii sztuki, badaczu starożytnych ruin, który brał udział w ekspedycjach naukowych do Azji Mniejszej, a nawet odbył podróż dookoła świata. Choć był wielkim ochmistrzem dworu Franciszka Józefa I, czuł się przede wszystkim Polakiem, który za swą działalność na rzecz polskiej kultury został odznaczony Wielką Wstęgą Orderu Polonia Restituta (1928). I Karolina odczuwała tę szczególną więź z Polską. Jako 18-latka całym sercem pozostawała przy walczącym o Niepodległą brygadierze Piłsudskim, rozczytywała się w „Wiernej rzece" i „Echach leśnych" Żeromskiego, a jej ulubionym poetą był Słowacki.

Po maturze wstąpiła na wiedeński uniwersytet, uzyskując w 1926 roku dyplom doktora z zakresu historii sztuki i stając się wybitną znawczynią twórczości Michała Anioła. Po śmierci ojca została dziedziczką rodowego Komarna we wschodniej Małopolsce i wtedy to na stałe przeniosła się do Lwowa. Tam podjęła pracę wykładowczyni na Uniwersytecie Jana Kazimierza, gdzie w 1935 roku jako pierwsza kobieta w Polsce uzyskała habilitację w dziedzinie historii sztuki.

We Lwowie rządzi Stalin

Początek wojennego dramatu rozpoczął się dla Karoliny nocą 22 września 1939 roku, z chwilą gdy Sowieci opanowali Lwów, a wkrótce potem Uniwersytet Jana Kazimierza, gdzie zaczął rządzić niepodzielnie sowiecki dyktator: „Nad katedrą u góry wisiał portret Stalina, z profilu, kolorowy, rozmiarów olbrzymich […] – wspominała Lanckorońska. – Patrzyłam z przerażeniem na rysy i czoło, które odtąd mieliśmy widzieć zawsze i wszędzie, czy na wystawach sklepowych, czy w restauracjach, czy na rogach ulic lub w tramwajach". Zaczęto tworzyć nowe katedry – stalinizmu, leninizmu, darwinizmu… Miejsce dotychczasowego rektora Longchampsa zajął profesor Uniwersytetu Kijowskiego – Mychajło Marczenko, syn i wnuk wyrobnika, a nowym

FOT. IPN

eprasa.pl bcd0954c29

dziekanem Wydziału Humanistycznego został prof. Andrij Brachyneć – człowiek w futrzanej czapie, butach cuchnących łojem, który nie znał alfabetu łacińskiego i nie potrafił przeczytać niczego w języku cywilizacji Zachodu. Praca na uniwersytecie chroniła jednak przed więzieniem i wywózką, a nawet zapewniała nietykalność mieszkania, o czym Karolina przekonała się, gdy dokwaterowano do niej kapitana Armii Czerwonej – towarzysza Pawłyszeńkę, prawdziwego dzikusa, który niszczył wszystko, z czym nie umiał się obchodzić, a głowę mył w klozecie. Na szczęście wskutek skargi złożonej przez nią do prokuratury sowieckiej, został wyeksmitowany i zdegradowany „za zhańbienie honoru Armii Czerwonej".

Terror NKWD narastał z każdym dniem. W pierwszej kolejności znikali bez śladu chłopcy, których brano nawet za śpiewanie patriotycznych pieśni. Potem przyszedł czas na dorosłych, zwłaszcza ze sfer inteligenckich. Oficerów Sowieci zabrali już po kapitulacji Lwowa, a ich znaczną część wywieźli do Kozielska i Starobielska, by znalazła swe miejsce w dołach śmierci. Karolina Lanckorońska nigdy nie uległa sowieckiemu terrorowi. Służyła rannym wojskowym w dawnym szpitalu Ubezpieczalni, gdzie leżał m.in. gen. Władysław Anders. Już 2 stycznia 1940 roku wstąpiła w szeregi Związku Walki Zbrojnej i złożyła przysięgę wierności na krucyfiks przed płk. Władysławem Żebrowskim. Do jej zadań należało m.in. przygotowywanie komunikatów o sytuacji w Europie i na świecie dla Obszaru ZWZ-AK we Lwowie. W jej lwowskim mieszkaniu odbywały się co kilka dni tajne zebrania oficerów podziemia, odprawy, narady i pertraktacje, jednym słowem kwitło w nim życie konspiracyjne.

Tymczasem na masową skalę wywożono Polaków na Syberię. Jak pisała Lanckorońska, „na wszystkich dworcach zjawiały się coraz to nowe pociągi, długie rzędy wagonów bydlęcych stawały na torach […]. Zimno było straszliwe […]. Wagony były zamknięte, zezwalano tylko – i to nie zawsze – na wyrzucanie zwłok. Zbierano je wieczorem na torach. Dużo było wśród nich zamarzniętych dzieci […]. Wreszcie pierwsze pociągi ruszyły na wschód. Zawsze, bez wyjątku, w tej chwili najstraszniejszej rozbrzmiewał śpiew zawsze ten sam, raczej te same dwie pieśni: »Rota« lub »Boże, coś Polskę…«".

I nad samą Lanckorońską zaczęły krążyć czarne chmury. Niespodziewanie została zwolniona z pracy na uniwersytecie, a co gorsza dotarła do niej wieść o wielkiej wsypie w ZWZ, która nastąpiła w wyniku zdrady. Nie mogła wracać do swojego mieszkania, gdzie czekali już na nią Sowieci. Tej nocy zabrano z domów pół Lwowa. Nad ranem sunęły jedna za drugą ciężarówki zapełnione po brzegi ludźmi – mieszkańcami miasta, rodzinami oficerskimi, emerytowanymi urzędnikami, lekarzami, ziemiaństwem… Karolina ukrywała się przez trzy tygodnie, by pod koniec maja 1940 roku uciec ze Lwowa do Generalnej Guberni, gdzie miała poznać zbrodnie drugiego okupanta.

Na ratunek więźniom

Swoją działalność konspiracyjną Karolina kontynuowała w Krakowie, oddając się pod rozkazy płk. Tadeusza Komorowskiego „Bora", komendanta Okręgu Krakowskiego ZWZ. Jednocześnie zaangażowała się w prace Polskiego Czerwonego Krzyża, spędzając długie godziny w Kolegium Jezuickim przy Kopernika, dokąd od października 1940 roku przywożono polskich jeńców wojennych. Było wśród nich 500 gruźlików przypominających żywe kościotrupy czekające na śmierć. „Byli bardzo słabi – wspominała. – Jednemu z nich łzy się lały strumieniami po twarzy, podczas gdy mu podawałam trochę mleka. »To przecież polskie mleko!« – ciągle powtarzał, podczas gdy […] na utrzymanie filiżanki sił już nie było. Na pryczy sąsiedniej tymczasem rozpoczynało się konanie. Oczy zamknięte, rzężenie, urywane słowa: »Przy…naj…mniej doje…chałem i umieram w Polsce…«". Karolina cały czas czuwała przy tych, którzy spełniwszy swój żołnierski obowiązek, przekraczali granicę śmierci.

Najważniejszą misją, jakiej się podjęła, była pomoc 27 tys. więźniów w całej Generalnej Guberni, której udzielała od połowy 1941 roku z ramienia Rady Głównej Opiekuńczej (RGO). Najpierw musiała wywalczyć u wyższych władz niemieckich pozwolenie na dożywianie wszystkich osadzonych bez względu na powód ich aresztowania, bo tylko tą drogą mogła dotrzeć do więźniów politycznych. Nie zawahała się udać w tej sprawie do samej centrali gestapo, mimo iż była inwigilowana przez władze niemieckie po wsypie ZWZ w kwietniu 1941 roku. Zdobywszy konieczne dokumenty, mogła wreszcie wyruszyć do pierwszego na swym szlaku więzienia w Tarnowie, skąd dochodziły wieści o tragicznej sytuacji pojmanych (Niemcy zakazali udzielania im pomocy przez PCK). „Żywienie, jakie sami dawali – pisze Lanckorońska – było tego rodzaju, że umierało tam codziennie z głodu 18–23 ludzi. Mieliśmy dokładną ewidencję, ponieważ gminna opieka społeczna płaciła za trumny, trupy wywożono jawnie, a widok ich nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do przyczyny śmierci". Pokonawszy wszelkie trudności, 26 sierpnia 1941 roku udało się jej wjechać na teren tarnowskiego więzienia rozklekotanym samochodem gminnym wraz z sześcioma kotłami zupy, co dawało 1200 porcji. Po kotły wyszło kilku więźniów „o wyglądzie absolutnie trupim", ledwo stojących na nogach, odurzonych zapachem mięsnej zupy. Karolina czuła, że tę bitwę z Niemcami wygrała. „Po Tarnowie

eprasa.pl b4d0954c29

zabraliśmy się do Jasła i do Sanoka – wspominała. – W Jaśle naczelnikiem więzienia był Ukrainiec, który, ku wielkiej naszej uciesze, bardzo wyraźnie bał się mnie. Przypuszczał zapewne, że przyjeżdżam z ramienia Niemców, ciągle mi się kłaniał w pas i – co ważniejsze – był bardzo posłuszny. W Sanoku było trudniej, tam był katem sławny gestapowiec Stawitzky […]. Sanok dosłownie spływał krwią; pomimo to, wśród ciągłych aresztowań i rozstrzeliwań, Komitet pracował z ogromną odwagą".

Następne w kolejności było więzienie nowosądeckie, gdzie niepodzielnie panował żądny krwi Heinrich Hamann, który zwykł Polaków rozstrzeliwać osobiście. W dniu, w którym Lanckorońska dotarła do Nowego Sącza, miasto pogrążone było w żałobie. W tamtejszym Komitecie RGO dowiedziała się, że właśnie z rozkazu Hamanna i przy jego bezpośrednim udziale rozstrzelana została prawie cała miejscowa inteligencja łącznie z księdzem. Ci, którzy mieli zginąć, zdążyli jeszcze przesłać do swoich list pożegnalny, w którym pisali, że słodko i zaszczytnie jest umierać za Ojczyznę. Tego dnia Karolina nie poszła jednak do Hamanna, bowiem „odurzony świeżą krwią", z pewnością odmówiłby jej prośbie. Uczyniła to jednak później, z pomyślnym skutkiem.

Sukcesem zakończyła się też jej misja w Częstochowie, co wiązało się z pewnym lękiem Niemców wobec świętości Jasnej Góry. W częstochowskim więzieniu przyjęto Lanckorońską wprawdzie krzykiem i groźbami, ale ostatecznie wyrażono zgodę na dożywianie. Jeszcze tego samego dnia dotarła do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie za zgodą komendanta i po wydanej przez lekarza więziennego opinii, że dożywiać należy w pierwszej kolejności tych, których można jeszcze uratować, bo pozostali są już przed śmiercią głodową, udało się Lanckorońskiej osiągnąć swój cel. O postępach w swojej pracy, o liczbie osadzonych w poszczególnych więzieniach, które od tygodni objeżdżała w całej Generalnej Guberni, i o zasłyszanych po drodze wieściach informowała swego dowódcę.

„Profesorowie lwowscy są an sicherem Ort"

Wreszcie na mapie jej więziennych podróży znalazł się… ukochany przez nią Lwów. Obecnie miasto było w rękach Niemców, którzy przyłączyli Małopolskę Wschodnią do Generalnej Guberni jako Distrikt Galizien. Ogrom dokonanych przez Sowietów zbrodni odkrywali teraz przed Karoliną jej dawni przyjaciele. Mówili, że bolszewicy przed wycofaniem się z miasta wymordowali wszystkich więźniów w Brygidkach, a Niemcy jako nowi okupanci pozwolili mieszkańcom na oględziny więzienia. „Chodziło tam pół Lwowa, szukając najbliższych wśród trupów tak zniekształconych, że rozpoznanie było zwykle rzeczą zupełnie beznadziejną. Byli tam i księża ukrzyżowani na ścianie, jeden z różańcem przeciągniętym przez obydwie jamy oczne, i drugi z krzyżem znaczonym gwoździami wbitymi do piersi, i innych bardzo wielu". Coraz większy niepokój budził los 22 profesorów, którzy dwa dni po wkroczeniu Niemców do miasta zostali aresztowani wraz z domownikami i wywiezieni w nieznane miejsce, tak że słuch o nich zaginął. Wśród zabranych byli m.in.: ceniony chirurg prof. Ostrowski i jego żona, rektor prof. Longchamps z trzema synami; 80-letni emerytowany profesor Sołowij, który zniknął wraz z wnukiem; prof. Rencki, przetrzymywany w Brygidkach aż 18 miesięcy. Słuchając tego wszystkiego, Karolina postawiła sobie za punkt honoru wyjaśnienie tej tajemniczej sprawy, tym bardziej że jeden z profesorów lwowskich ujawnił przed nią wstrząsające fakty: „Przecież tych ludzi dawno, bardzo dawno nie ma. Jestem przekonany, że ze wszystkich wersji, które kursują o nich, tylko jedna jest prawdziwa. Wedle tej widziano tę samą ilość osób o świcie, po tej samej nocy aresztowania, jak ich prowadzono na Wólkę. Wiadomo przecież, że Wólka to miejsce egzekucji już od czasów bolszewickich. Wśród nich był jeden ranny czy zabity, którego nieśli dwaj inni, oraz była kobieta, która silnie kulała, a pani Ostrowska miała przecież od dawna chorą nogę". Jaka była prawda? Tę Karolina postanowiła odkryć za wszelką cenę. Tuż po powrocie do Krakowa zainicjowała poszukiwania po więzieniach, obozach i kamieniołomach w kraju i w Rzeszy. Na jej prośbę prezes RGO Ronikier interweniował w tej sprawie u władz niemieckich, a jej dowódca w podziemiu zwrócił się z prośbą, by w Londynie upomniano się o profesorów przez radio. Wreszcie po długich miesiącach milczenia Niemcy przesłali oświadczenie, że „profesorowie lwowscy są an sicherem Ort", czyli w miejscu bezpiecznym.

Tymczasem Karolina nie ustawała w swojej działalności na rzecz poprawy losu uwięzionych. Dowiedziawszy się, że w Pińczowie powstała katownia dla więźniarek politycznych z całego dystryktu radomskiego, osadzonych tam w specjalnym oddziale kobiecym, prześladowanych i torturowanych, postanowiła dotrzeć do zrujnowanego w 1939 roku miasta. Początkowo kierujący więzieniem Niemiec nie chciał zgodzić się na dożywianie więźniarek politycznych, lecz nie odmówił w obawie, że Polacy są gotowi na nim się zemścić. Zezwolił nawet na przekazanie więźniarkom ciepłej odzieży i bielizny.

Rozmowy z katem

Momentem przełomowym w wojennej działalności Lanckorońskiej stała się jej podróż do Stanisławowa, gdzie wybrała się w czasie srogiej zimy, gdy termome-

eprasa.pl b4d0954c29

try pokazywały minus 27 stopni. Niepodzielnym panem życia i śmierci w tym kresowym mieście był budzący powszechną grozę szef gestapo Hauptsturmführer SS Hans Krüger. Gdy Karolina dotarła do tamtejszego Komitetu RGO, poraziła ją wiadomość, że za sprawą tego Niemca zniknęła cała elita intelektualna Stanisławowa, łącznie 250 osób, w tym nauczyciele szkół średnich i powszechnych, miejscowi inżynierowie i adwokaci, a nawet dyrektor stanisławowskiego szpitala, ceniony chirurg dr Jan Kochaj, który z narażeniem życia zoperował niemieckich lotników pod okupacją sowiecką.

Lanckorońska postanowiła działać. W pierwszej kolejności udała się do prokuratora Rottera, który nie był wrogo nastawiony do Polaków. „Ja Polaków nie zamykam – powiedział szczerze podchmielony wódką. – Przyjechałem tu z Rzeszy jako wasz wróg, nauczyłem się tutaj was szanować, więzienie swoje rezerwuję dla Ukraińców". Lanckorońska ciągnęła rozmowę, chcąc jak najwięcej od niego usłyszeć. Pytała więc, co stało się ze stanisławowską inteligencją, z tymi wszystkimi nauczycielami, inżynierami, lekarzami, których Krüger kazał aresztować. Wreszcie przyciśnięty do muru Rotter wrzasnął: „Wszyscy od dawna nie żyją! Krüger ich rozstrzelał, zanim przyjechałem, bezprawnie, bez sądu". Oniemiała wobec tego Karolina postanowiła natychmiast dostać się do Krügera i Rotter osobiście ją tam zaprowadził. Po chwili stanęła z nim twarzą w twarz. Był wysoki, otyły, miał trzydzieści kilka lat, jasne włosy i duże, grube wargi. Wpatrywał się w Karolinę swymi stalowymi oczami. Zapoznawszy się z całą sprawą, zabronił dokarmiania więźniów przez RGO, pozwalając tylko na przysłanie dla nich koców, grzebieni i innych niezbędnych rzeczy. Było to jedyne więzienie, gdzie odmówiono jej dożywiania.

Nie poddała się jednak i nie bez efektów podjęła działania na rzecz więźniów w Stryju oraz głodnych dzieci w Kołomyi. 25 kwietnia 1942 roku została wezwana do Krügera, który zdecydował, że musi ją policyjnie przesłuchać. Na początku oskarżył Lanckorońską o to, że rozwija w Stanisławowie nielegalną działalność, lecz ona pokazała mu wszystkie pełnomocnictwa od najwyższych władz niemieckich. Zmienił więc front i rąbiąc w stół, oznajmił: „Pani duch mi się nie podoba; nie pasuje mi pani do mojego państwa". Zapytana, czy jest wrogiem Rzeszy Niemieckiej, oświadczyła stanowczo: „Oczywiście, że tak", a Krüger, patrząc z tryumfem na sekretarkę, kazał jej to natychmiast odnotować. Gdy zaś zapytał: „Od kiedy?", usłyszał: „Odkąd patrzę na bezmierne cierpienia moich braci". Rozjątrzony gestapowiec, pełen nienawiści do Polaków, z każdą chwilą dawał coraz większy upust swoim emocjom – „krzyczał, tupał nogami i walił pięściami w stół, przy czym i tak już wysunięte bardzo usta zamieniały się prawie w ryj i nadawały mu wyraz zwierzęcy". Gdy zapytał ją, jak odnosi się do polskiej pracy podziemnej, odpowiedziała, że „z entuzjazmem", i próbując wywieść go w pole, stwierdziła, że nikt jej pracy w konspiracji nie proponował, bo łatwo byłoby ją zdemaskować – jest zbyt wysoka, mówi za dużo i za głośno, i do rzucania bomb pod pociągi się nie nadaje. Prowadząc z nim tę psychologiczną grę i ośmieszając się celowo, sprawiła, iż w to uwierzył. Wprawdzie nie kazał jej aresztować, ale odtąd znajdowała się pod stałą obserwacją gestapo. Niedługo potem, 12 maja, podczas zebrania organizacyjnego Komitetu RGO w Kołomyi, nagły dzwonek do drzwi oznajmił przybycie Niemców. Została aresztowana.

Gestapowcy zawieźli ją wprost do Stanisławowa, gdzie nazajutrz stanęła przed Krügerem. Ten, widząc Lanckorońską, przybrał postawę tryumfatora, oświadczając jej, że pojedzie do obozu koncentracyjnego Ravensbrück, o czym zdecydowało ostatnie przesłuchanie. „Nie mogłam odpowiedzieć inaczej – odrzekła – bo nie mogłam stracić szacunku dla siebie samej, […] choć jestem tylko ein polnischer Untermensch [polskim podczłowiekiem]". I zacytowała mu słowa Schillera: „Życie nie jest najwyższym dobrem, złem największym jest tylko wina", a winą dla niej była bierna postawa wobec wroga i mordercy polskiego narodu. Gdy gestapowiec zapytał ją, co mówią o nim w Stanisławowie, powiedziała mu, że „z jego nazwiskiem łączą aresztowanie 250 osób – nauczycieli, inżynierów, lekarzy. Po prostu inteligencji polskiej…". Na te słowa zaśmiał się szyderczo i ogarnięty nienawiścią z satysfakcją zdradził jej tajemnicę swej straszliwej zbrodni, jakiej dokonał we Lwowie. „We Lwowie – mówił, śmiejąc się dziko. – Tak, tak. Profesorowie uniwersytetu! Ha, ha, to moje dzieło, moje! Dziś, gdy pani już nie wyjdzie, mogę jej to powiedzieć!". Karolina Lanckorońska przeżyła prawdziwy szok. „A więc oni nie żyją, a mordercą jest TEN!" – powtarzała sobie w duchu. – I jak we śnie przesuwały się przed nią postacie Renckiego, Dobrzanieckiego, Ostrowskiego i tylu innych". Świadoma, że oto znalazła się w rękach kata, mordercy inteligencji stanisławowskiej oraz profesorów lwowskich, oznajmiła Krügerowi z całą mocą: „Chcę być traktowana na równi z innymi Polakami!".

Kaźń profesorów lwowskich

Jako jedna z pierwszych poznała prawdę o zbrodni dokonanej na profesorach i ich rodzinach we Lwowie. W nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku Niemcy podzieleni na kilka grup operacyjnych wtargnęli do mieszkań 22 profesorów lwowskich uczelni, głównie Uniwersytetu Jana Kazimierza oraz Politechniki Lwowskiej, i wywlekali z nich wszystkich – uczonych, ich żony, dzieci, lokatorów, służących i dozorców. Aresztowanych przewieziono

eprasa.pl b4d0954c29

do budynku bursy dawnego Zakładu Wychowawczego im. Abrahamowiczów. Tam ustawiono ich na korytarzu w ciemnościach, twarzą do ściany, a jakikolwiek ruch karany był brutalnym biciem. Stamtąd prowadzono ich pojedynczo na przesłuchania. Podczas jednego z nich został zastrzelony przez gestapowców syn chirurga Stanisława Ruffa – Adam, który w czasie konfrontacji z Niemcami dostał ataku padaczki. Uwolniono jedynie profesora Franciszka Groëra, znanego lwowskiego pediatrę, dyrektora kliniki, którego żona była Angielką i który na przesłuchaniu oświadczył: „Mam niemieckie nazwisko, ale jestem Polakiem".

Miejscem kaźni aresztowanych profesorów stały się Wzgórza Wuleckie, gdzie dotarli 4 lipca we wczesnych godzinach rannych. Część przeznaczonych na śmierć szła tam pieszo. Nieśli ze sobą ciało 30-letniego Adama Ruffa. Pozostałych przetransportowano ciężarówką jadącą okrężną drogą. Rozstrzelano tam blisko 40 osób. Wśród zamordowanych znalazło się ponad 20 uczonych: prof. Antoni Cieszyński, kierownik Katedry Dentystyki UJK; prof. Władysław Dobrzaniecki, ordynator Oddziału Chirurgii Państwowego Szpitala Powszechnego; prof. Jan Grek z Kliniki Chorób Wewnętrznych UJK wraz z żoną Marią; doc. Jerzy Grzędzielski, ordynator Kliniki Okulistycznej UJK; prof. Edward Hamerski, kierownik Katedry Chorób Zakaźnych Zwierząt Domowych Akademii Medycyny Weterynaryjnej; prof. Henryk Hilarowicz z Kliniki Chirurgii UJK; ks. dr Władysław Komornicki, wykładowca nauk biblijnych w Wyższym Seminarium Duchownym we Lwowie i na UJK; prof. Włodzimierz Krukowski, kierownik Katedry Pomiarów Elektrycznych Politechniki Lwowskiej; prof. Roman Longchamps de Bérier, kierownik Katedry Prawa Cywilnego UJK, wraz z trzema synami – Bronisławem, Zygmuntem i Kazimierzem; prof. Antoni Łomnicki, kierownik Katedry Matematyki Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej; prof. Witold Nowicki, kierownik Katedry Anatomii Patologicznej UJK, wraz z synem Jerzym; prof. Tadeusz Ostrowski, kierownik Kliniki Chirurgii, wraz z żoną Jadwigą; prof. Stanisław Pilat, kierownik Katedry Technologii Nafty i Gazów Ziemnych Politechniki Lwowskiej; prof. Stanisław Progulski z Kliniki Pediatrii UJK, z synem Andrzejem; prof. Roman Rencki, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych UJK; dr Stanisław Ruff, ordynator Oddziału Chirurgii Szpitala Żydowskiego, wraz z żoną Anną i synem Adamem; prof. Włodzimierz Sieradzki, kierownik Katedry Medycyny Sądowej UJK; prof. Adam Sołowij, emerytowany ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Powszechnego, z wnukiem Adamem; prof. Włodzimierz Stożek, kierownik Katedry Matematyki Wydziału Inżynierii Lądowej i Wodnej Politechniki Lwowskiej, wraz z synami – Eustachym i Emanuelem; dr praw Tadeusz Tapkowski; prof. Kazimierz Vetulani, kierownik Katedry Mechaniki Teoretycznej Politechniki Lwowskiej; prof. Kasper Weigel, kierownik Katedry Miernictwa Politechniki Lwowskiej, z synem Józefem; prof. Roman Witkiewicz, kierownik Katedry Pomiarów Maszyn Politechniki Lwowskiej; oraz dr Tadeusz Boy-Żeleński, znakomity krytyk literacki i tłumacz, kierownik Katedry Literatury Francuskiej Uniwersytetu Lwowskiego. Nazajutrz, 5 lipca, zostali rozstrzelani: zabrana z mieszkania prof. Ostrowskiego Katarzyna Demko, nauczycielka języka angielskiego, oraz doc. Stanisław Mączewski, ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Powszechnego. Kilka dni później, 11 lipca, hitlerowcy przyszli po dr. Władysława Wisłockiego, kustosza Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Zamordowano także dwóch profesorów Akademii Handlu Zagranicznego – prof. ekonomii Henryka Korowicza oraz prof. matematyki Stanisława Ruziewicza. Czarną listę uczonych zamykał prof. Kazimierz Bartel, kierownik Katedry Geometrii Wykreślnej Politechniki Lwowskiej, pięciokrotny premier rządu RP, rozstrzelany 26 lipca 1941 roku z rozkazu Heinricha Himmlera.

Przyzwolenie na prowadzenie zbrodniczej działalności wobec polskich intelektualistów Niemcy otrzymali od samego generalnego gubernatora Hansa Franka. Mając na względzie sprawę uwięzionych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, która oburzyła opinię międzynarodową, takimi oto słowy zwrócił się on 30 maja 1940 roku do oficerów SS w Krakowie: „Nieprzyjemne kłopoty mieliśmy z profesorami krakowskimi. Gdybyśmy ich sprawę załatwili tutaj na miejscu, nie byłoby tego. Dlatego, moi panowie, proszę was stanowczo, nie wysyłajcie nikogo więcej do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, lecz sprawę załatwiajcie tutaj na miejscu. […] My mamy tutaj zupełnie inne metody, inne sposoby postępowania i te muszą być nadal praktykowane". Za dokonanie tej przerażającej zbrodni na elicie intelektualnej Lwowa odpowiadał bezpośrednio dowódca Sicherheitspolizei i Sicherheitsdienst na Generalne Gubernatorstwo – SS-Brigadeführer Eberhard Schöngarth oraz podlegli mu gestapowcy z Einsatzkommando, którzy wcielili ten zbrodniczy rozkaz w życie: Heinz Heim, Hans Krüger, Walter Kutschmann, Kurt Stawizki, Felix Landau. Choć zbrodniarze ci powoływani byli przed oblicze sprawiedliwości za swoje czyny, to jednak za mord na profesorach lwowskich nigdy nie zostali osądzeni. O wymierzenie zasłużonej kary dla Hansa Krügera – jednego z głównych sprawców masakry na Wzgórzach Wuleckich – walczyła po wojnie Karolina Lanckorońska, której dalsze losy poznamy już wkrótce. ■

Źródło: K. Lanckorońska, „Wspomnienia wojenne. 22 IX 1939 – 3 IV 1945", Kraków 2017.

eprasa.pl b4d0954c29



Miłość silniejsza od śmierci

Dariusz Jarosiński



eprasa.pl b4d0954e29



Historia losów Magdaleny i Jerzego Kozarzewskich to niezwykłe świadectwo pięknej, bezgranicznej miłości dwojga szlachetnych i mądrych ludzi pragnących wolnej Polski, również świadectwo heroicznej walki Magdaleny o życie Jerzego. W istocie to miłość go ocaliła. Okazała się silniejsza od śmierci.

FOT. ARCH.

1 lutego minęła 30. rocznica śmierci Jerzego Kozarzewskiego, poety, żołnierza, oficera Narodowych Sił Zbrojnych pseudonim „Konrad", więźnia niemieckiego obozu w Oświęcimiu i Mauthausen, twórcy szlaku przerzutowego z Polski przez Czechy do Bawarii zwanego „Drogą Konrada".

Od niechybnej śmierci z rąk komunistycznych zbrodniarzy wybawił go Julian Tuwim, którego poprosiła o pomoc żona „Konrada", Magdalena Kozarzewska z Bojanowskich, wspaniała, dzielna kobieta. Poeta cieszył się wielkim uznaniem komunistów, wrócił z emigracji do kraju okupowanego przez Związek Sowiecki, niezrażony komunistycznymi zbrodniami pisał wiersze na cześć Stalina. Tuwim wyprosił łaskę u Bieruta, który zamienił karę śmierci „Konradowi" i jego współtowarzyszom podziemia niepodległościowego na karę więzienia.

„Zrozumiałam, co to znaczy przyjąć krzyż"

Jerzy Kozarzewski urodził się 21 października 1913 roku w Trawnikach na Lubelszczyźnie w rodzinie inteligenckiej o szlacheckim rodowodzie; był prawnukiem Ksawerego Norwida, młodszego brata poety, Cypriana Kamila, i wnukiem Marii z Norwidów Łempickiej. Maria Łempicka miała pięcioro dzieci, jednym z nich była Janina Kozarzewska, matka Jerzego, siostra Tadeusza Łempickiego, pierwszego męża znanej malarki Tamary Łempickiej.

Jerzy w 1931 roku zdał egzamin dojrzałości w Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim i rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie, która od 1933 roku nosiła nazwę Szkoła Główna Handlowa. W czasie studiów należał do Akademickiego Koła Polskiej Macierzy Szkolnej, organizacji mającej na celu krzewienie i popieranie oświaty i kultury w duchu chrześcijańskim i narodowym. W latach 30. powstały pierwsze jego wiersze świadczące o dużej wrażliwości, skłonności do refleksji nad otaczającym światem darowanym przez Boga.

Po uzyskaniu dyplomu w 1937 roku podjął pracę najpierw w znanej firmie wydawniczej M. Arct i Spółka, a później w nowo powstałych Zakładach Zbrojeniowych w Stalowej Woli. Wojskowe szlify zdobywał w 5. Pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu.

W wojnie obronnej 1939 roku walczył w jednym z pułków 13. Kresowej Dywizji Piechoty. 19 września wraz z innymi żołnierzami dostał się do niewoli sowieckiej, skąd jednak w czasie transportu zdołał uciec. W listopadzie 1939 roku wstąpił do Związku Jaszczurczego, konspiracyjnej organizacji wojskowej. Organizacja skupiała ludzi ideowych, wyznających ideę budowy wielkiej Polski, nawiązywała do historycznego Związku Jaszczurczego, zorganizowanego przez szlachtę oraz mieszczan pruskich i pomorskich pod koniec XIV wieku do walki z zakonem krzyżackim.

Jerzy przyjął w konspiracji pseudonim „Konrad". Wybór nie był przypadkowy – młody konspirator czuł się dzie-

eprasa.pl b4d0954c29

dzicem polskiej poezji romantycznej, nawiązywał do Konrada – romantycznego bohatera „Dziadów" Adama Mickiewicza, patriotycznego buntownika, który przemienił się z cierpiącego kochanka Gustawa w orędownika sprawy narodowej, gotowego do walki o wolność ojczyzny.

W 1942 roku „Konrad" został oficerem oświatowym Komendy Okręgu Krakowskiego Narodowych Sił Zbrojnych. Przemieszczał się między Krakowem a Warszawą, działał w środowisku studentów tajnych kompletów. We wrześniu tego roku poznał Magdalenę Bojanowską, studentkę medycyny podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego, z którą połączyła go wielka miłość i wspólnota wartości. W 1943 roku Magdalena i Jerzy stanęli przed ołtarzem kościoła św. Michała Archanioła i ślubowali przed Bogiem miłość i dozgonną wierność. Sakramentu małżeństwa udzielił im ksiądz Jan Zieja, kapelan Komendy Głównej Armii Krajowej, a od 1942 roku naczelny kapelan Szarych Szeregów.

W Powstaniu Warszawskim Jerzy i Magdalena zaangażowali się w działalność służby cywilnej. Na początku września 1944 roku oboje zostali aresztowani przez Niemców i uwięzieni w obozie przejściowym w Pruszkowie. Jerzego wywieziono stamtąd w niewiadomym kierunku, a Magdalenie właściwie cudem udało się uniknąć wywózki, bo z transportu do obozu w Ravensbrück wyciągnął ją Niemiec; pewnie zauważył, że jest w zaawansowanej ciąży. Magdalena dotarła szczęśliwie do matki Jerzego w Piotrkowie Trybunalskim.

W połowie września do matki Jerzego, Janiny Kozarzewskiej, przyszła niezwykła pocztówka; nadawcą była nieznajoma kobieta, której wpadła w ręce kartka wyrzucona z wagonu pociągu. W pocztówce przytoczyła jej treść: „Kochana moja, jadę Wrocław. Magdalena powinna lada dzień być u Ciebie. Jesteśmy oboje zdrowi. Sam jestem dobrej myśli. Piszę w niemiłosiernym tłoku (65 osób) i w trzęsącym wagonie, stąd charakter pisma.. Całuję mocno. Jerzy".

Magdalena nie traciła wiary, że odnajdzie męża, wysłała około 120 listów do niemieckich obozów w poszukiwaniu Jerzego. Oto fragment, bodajże pierwszego, listu, z 24 września 1944 roku. Magdalena zwracała się do Jerzego, choć nie miała przecież żadnej pewności, czy list do niego trafi: „Mój najmilszy! Jest niedziela – dzień, w którym najtrudniej poradzić sobie z tęsknotą. […] Mogę ogarniać Cię modlitwą, tęsknotą, czuć Twoją bliskość i brać od Ciebie spokój i ufność. […] Może po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, co to znaczy przyjąć krzyż. Odbyłam tutaj spowiedź zaraz po przyjeździe. […] Modlę się o Twój powrót, o wiadomość tymczasem, próbując odgadnąć, kiedy to nastąpi, ale pamiętajmy, że Bóg jest tym, który miarkuje wiatr do wełny jagnięcia".

Bóg ją wysłuchał. 26 listopada 1944 roku otrzymała odpowiedź na jeden z ponad stu listów: Jerzy żyje, przebywa w obozie w Mauthausen. Z Pruszkowa został najpierw wywieziony do Oświęcimia, a stamtąd do Mauthausen, obozu przeznaczonego do eksterminacji polskiej inteligencji. Dziesięć dni wcześniej, 16 listopada, przyszła na świat ich córeczka, Anna Maria. 5 maja 1945 roku obóz Mauthausen został wyzwolony przez wojska amerykańskie. W liście z 11 maja Jerzy pisał do Magdaleny: „Najmilsza moja, jestem ocalony. Twojej to i matczynej zawdzięczam modlitwie. Zresztą przez cały czas mego pobytu tutaj czułem wyraźnie Twoją najgorętszą myśl i Twoją modlitwę towarzyszącą mi na każdym kroku. Dawało mi to pewność przetrwania".

„Droga Konrada"

Jerzy po wyjściu z obozu w Mauthausen oraz kilkudniowym pobycie w oflagu w Murnau, gdzie przetrzymywani byli polscy oficerowie, m.in. rotmistrz Witold Pilecki, dotarł na przełomie maja i czerwca 1945 roku do Bernacic koło Pilzna w Czechach, do miejsca stacjonowania Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych. Brygada była jedną z największych formacji partyzanckich działających na ziemiach polskich, liczyła wówczas około 1400 żołnierzy. Powstała w połowie sierpnia 1944 roku na Kielecczyźnie, odmówiła połączenia z Armią Krajową i w odróżnieniu od AK uważała za wroga nie tylko Niemców, lecz także Sowietów, zwalczała komunistyczne, bandyckie oddziały Armii Ludowej, Gwardii Ludowej, grabiące i mordujące ludność na Kielecczyźnie. Brygada Świętokrzyska była jedyną formacją polskiego podziemia niepodległościowego, której udało się w 1945 roku przejść na Zachód z bronią w ręku i nawiązać kontakt taktyczny z wojskami alianckimi oraz z 2. Korpusem gen. Władysława Andersa. Amerykanie, a w szczególności gen. George Patton, byli pełni uznania dla postawy żołnierzy NSZ, uważali NSZ za jednostkę aliancką. 5 maja 1945 roku Oddziały Brygady Świętokrzyskiej NSZ wyzwoliły niemiecki obóz koncentracyjny dla kobiet w czeskim Holiszowie. Uwolniono około 700 więźniarek, w tym 167 Polek oraz ponad 200 Żydówek. Do niewoli wzięto około 200 esesmanów i 15 nadzorczyń. W walce rannych zostało dwóch polskich żołnierzy.

Przed powrotem do kraju Jerzy otrzymał od dowództwa NSZ zadanie opracowania szlaku przerzutowego i drogi łączności między Polską a ośrodkiem emigracyjnym w Bawarii, w amerykańskiej strefie okupacyjnej.

Pod koniec czerwca 1945 roku Jerzy wrócił do Polski. Znowu byli razem z Magdaleną, mógł przytulić do siebie nową ukochaną istotę na świecie, kilkumiesięczną córeczkę Anię. Chociaż w domu odnalazł szczęście, to martwiła go tragiczna sytuacja w kraju. Sowieccy okupanci we współpracy z rodzimymi zdrajcami prowadzili aresztowania wśród polskich patriotów, żołnierzy podziemia niepodległościowego. Jerzy opracował szlak przerzutowy prowadzący przez Ratyzbonę, Pilzno, Pragę, Cieszyn, Dziedzice, Kraków do Warszawy. Od jego pseudonimu szlak został nazwany „Drogą Konrada", droga ta stała się w połowie 1945 roku najważniejszym szlakiem kurierskim łączącym kraj z polskimi ośrodkami niepodległościowymi na emigracji. Udało się tym szlakiem przeprowadzić wielu żołnierzy NSZ, członków rządu

eprasa.pl b4d0954c29

na uchodźstwie, zagrożonych patriotów. „Drogę Konrada" przebyła m.in. Irena Maria Anders, pierwsza żona gen. Władysława Andersa. Jerzy Kozarzewski pokonywał tę trasę kilkukrotnie, m.in. przeprowadził na Zachód komendanta głównego NSZ, gen. Zygmunta Broniewskiego „Boguckiego".

Pod koniec lipca kpt. „Konrad" udał się ponownie na Zachód. Tutaj, niestety, również nie znalazł powodów do optymizmu – alianci nie zamierzali przeciwdziałać okupacji sowieckiej w Polsce. Sowieci domagali się od Amerykanów wydania żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej. W sierpniu 1945 roku armia amerykańska spowodowała rozwiązanie Brygady i utworzenie z jej żołnierzy i oficerów Kompanii Wartowniczych, jednostek polskich wspomagających amerykańskie wojska okupacyjne na terenie Niemiec.

Podwójna kara śmierci

W drugiej połowie 1945 roku Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego nadało najwyższy priorytet sprawie likwidacji podziemia narodowego. Urzędowi Bezpieczeństwa udało się we wrześniu i październiku rozbić całą strukturę kierowniczą NSZ i większość jej organów terenowych, ogółem aresztowano 879 żołnierzy NSZ. Do pełnego sukcesu zabrakło jedynie ujęcia komendanta głównego NSZ, gen. Zygmunta Broniewskiego „Boguckiego". 30 października w mieszkaniu Emilii Malessy „Marcysi", gdzie był założony przez ubeków tzw. kocioł, został aresztowany kpt. Jerzy Kozarzewski „Konrad". Emilia Malessa, żona legendarnego partyzanta Jana Piwnika „Ponurego", współpracowała z „Konradem", była w owym czasie członkiem I Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość i odpowiadała za łączność z zagranicą. Magdalena Kozarzewska dopiero po wielu dniach dowiedziała się, że Jerzy przebywa w więzieniu mokotowskim.

Po wielomiesięcznym śledztwie prowadzonym przez Józefa Różańskiego, na początku sierpnia 1946 roku, przed Okręgowym Trybunałem Wojskowym w Warszawie odbył się proces kurierów Brygady Świętokrzyskiej. Był to pierwszy pokazowy proces polityczny. Na ławie oskarżonych zasiadło sześć osób: Janina Konopacka, Jerzy Kozarzewski, Bogdan Banaszewski, Sławomir Modzelewski, Jerzy Niewiadomski i Kazimierz Wiśniewski. Wszystkim postawiono zarzut zdrady państwa polskiego i szpiegostwa na rzecz obcych państw, wszystkich oskarżonych sąd skazał na karę śmierci; kpt. Jerzy Kozarzewski, jako przywódca, otrzymał wyrok podwójnej kary śmierci.

Na nic się zdały zabiegi o złagodzenie kary dla „Konrada", czynione z determinacją przez jego obrońcę z urzędu, Mieczysława Maślankę, mecenasa żydowskiego pochodzenia, któremu wielokrotnie w czasie wojny ratowali życie adwokaci i politycy związani z prawicą narodową.

Niemal następnego dnia po wydaniu wyroku Magdalena zaczęła jak lwica walczyć o życie Jerzego. Sytuacja wydawała się beznadziejna, a jednak Magdalena nie straciła wiary, za namową przyjaciół udała się do Juliana Tuwima, poety, który niedawno, bo w czerwcu 1946 roku, wrócił z emigracji do Polski i był traktowany przez komunistów niemal z nabożną świętością, cieszył się szczególnymi przywilejami.

„Dlaczego pani przychodzi prosić o pomoc dla męża właśnie do mnie?" – tak, według relacji Magdaleny Kozarzewskiej, miał zapytać Tuwim. „Bo panu nie odmówią" – odpowiedziała. Magdalena pokazała poecie wiersze męża, opowiedziała o rodzinnych związkach z Cyprianem Kamilem Norwidem. Szczególne wrażenie na Tuwimie zrobił wiersz „Egzekucja", który Jerzy napisał w listopadzie 1943 roku.

Tuwim pisze do Bieruta

Tuwim zdecydował się napisać list do Bieruta, który odczytał mu w czasie wizyty w Belwederze. Fragment listu:

„Wielce Szanowny Obywatelu Prezydencie!

[…] Zgodziłem się [pomóc – przyp. D.J.], chociaż zieję nienawiścią do ideologii skazanych; chociaż zbrodnie ich są dla mnie jawne; chociaż wiem, że na skutek ich działalności ginęły i giną setki ludzi. Wiem nawet, że gdyby mnie — interwenta — w łapy dostali, zamordowaliby mnie — czy oni sami czy ich poplecznicy — bez żadnego pardonu, bo jestem dla nich »Żydem i bolszewikiem«. O co jak o co, ale o sympatię dla skazanych nie można mnie posądzać. Ale z tym większą pasją, z tym większym żarem, przychodzę do Was, człowiek do człowieka, Polak do Polaka, demokrata do demokraty, i błagam Was o darowanie życia Kozarzewskiemu i pięciu innym skazanym. […]

Naszą wspólną sprawą – Waszą Prezydenta, moją, poety, i rządu sprawą będzie olbrzymi wysiłek, aby zbłąkanym, nie rozumiejącym, nawet zbrodniczym w narodzie elementom wskazywać drogi prawdy, wydobywać ich z sieci zastawionych na młodzież przez faszyzm. Mój wróg polityczny, Jerzy Kozarzewski (wnuk Norwidówny), jest poetą. Wśród jego wierszy znalazłem jeden wstrząsający, który przepisuję:

Egzekucja

Tyżeś to wybrał drogę, która mnie przywiodła
pod bezimienną ścianę, skąd mnie śmieciem zbiorą.
Tyżeś to wybrał chwilę, bym nie widząc godła
umiał krzyż Twój powtórzyć bez cienia oporu.
Tyżeś to wybrał ciszę – tę przed salwą ciszę –
bym mógł, jeśli bym zechciał, wielki głos Twój usłyszeć.
I oto stoję Pani z człowieczą niezgodą
dla Twojego wyboru mojej boskiej drogi.
I nie umiem w Twej woli znaleźć się swobodą
tak, by mnie bez przymusu, lotne, niosły nogi.
I zwieszam się z nadzieją w próżni pocieszenia,
że przejdą po mnie lepsze, zdrowsze pokolenia.
Broń chrześci za plecami. Czyż aż tego trzeba,
żeby spojrzeć prawdziwie w głąb Twojego nieba…

eprasa.pl b4d0954c29

O daj mi Panie siłę w tej ostatniej chwili
bym umiał Ci zawierzyć, że mym wypełnieniem
wszyscyśmy się do Ciebie o krok przybliżyli
i nie odchodząc z ziemi opuścili ziemię.
I odpłać mi pewnością wielkość zawierzenia,
a pytające słowa – czystością milczenia.
I dozwól, bym krwią obmył ciemną buntu plamę
Amen.

Obywatelu Prezydencie! Mój wróg polityczny Jerzy Kozarzewski jest poetą, a w swej poezji osiągnął nie lada wyżyny: proroctwo i skruchę, zawczasu wizyjnie przeczuwalną. I chociaż w swej pokorze on, zbrodniarz przeciw Rzeczypospolitej i jej narodowi, sam prosił Boga o zmycie plamy swego buntu własną krwią — to my dwaj — człowiek wyniesiony na najwyższą w Ojczyźnie godność i drugi człowiek — ja: poeta, my dwaj nie pozwolimy, aby ziemia polska splamiła się krwią człowieka, który się tak proroczo modlił i kajał.

Kula, która by zabiła Kozarzewskiego, rykoszetem uderzyłaby w serce każdego poety polskiego.

Jeszcze słówko natury osobistej. Rodzina pani Magdaleny Kozarzewskiej, żony skazanego i matki maleńkiego dziecka, niosła w czasie okupacji pomoc mojej nieszczęsnej matce, zamordowanej później przez hitlerowców. Rodzina pani Magdaleny nie znała osobiście ani mnie, ani mojej Matki. Pomagali Jej dlatego, że moja Matka Żydówka wydała na świat polskiego poetę. Z nieznanego grobu mojej matki Męczennicy dołącza się głos do głosu syna. Prosimy Was obydwoje o łaskę dla Jerzego Kozarzewskiego".

Tuwim posłużył się w liście takimi argumentami, które byłyby zrozumiałe dla Bieruta, tępego oprawcy, bolszewickiego agenta. Tuwim pisał o oskarżonych, że byli antysemitami, a przecież ich nie znał. Jeden z oskarżonych w tym procesie, Sławomir Modzelewski ps. „Lanc", został uhonorowany w 1990 roku wraz z matką przez Instytut Jad Waszem medalem i dyplomem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za ratowanie Żydów w czasie okupacji niemieckiej – ukrywali i ocalili kilka osób tej narodowości. Również por. Janina Konopacka „Pistolet" z narażeniem życia udzielała pomocy Żydom mieszkającym w getcie warszawskim. Mówiono o niej, że „urodziła się po to, by pomagać innym". Za swoją działalność w konspiracji została odznaczona Krzyżem Walecznych, została przedstawiona do odznaczenia Virtuti Militari. Takich osób w podziemiu narodowym niosących pomoc Żydom w czasie wojny było mnóstwo. W sprawie swojej matki poeta oczywiście konfabulował, bo przecież rodzina Magdaleny Kozarzewskiej nie mogła jej znać. Adela Tuwim od końca lat 30. przebywała w szpitalu dla psychicznie chorych w Otwocku. W czasie likwidacji otwockiego getta, w 1942 roku, została zamordowana przez Niemców, jej ciało oprawcy wyrzucili przez balkon. Była jedną z 10 tys. ofiar otwockiego getta zamordowanych przez Niemców.

Magdalena z drżeniem serca czekała na wiadomość od Tuwima. Wreszcie zaprosił ją do siebie 31 sierpnia, bowiem w tym dniu miał spotkać się z Bierutem w Belwederze. „Nie wiem, jak długo czekałam pod jego drzwiami" – opowiadała po latach Magdalena Kozarzewska. „Usłyszałam, że podjeżdża winda. Wysiedli oboje z żoną. »Pani mąż będzie żył, jest ułaskawiony« – powiedział mi i dodał: »To jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu«".

Spotkanie z Magdaleną Kozarzewską musiało być ważne również dla Tuwima, bo później w rozmowach ze znajomymi z dumą podkreślał, że uratował życie kilku ludzi skazanych na śmierć.

Tuwim pisze do Różańskiego

31 sierpnia 1946 roku Bolesław Bierut podpisał akt łaski. Karę śmierci Jerzemu Kozarzewskiemu i Jerzemu Niewiadomskiemu zamieniono na 10 lat więzienia, pozostali oskarżeni w procesie „Konrada" otrzymali po 15 lat więzienia.

Bolszewia nie byłaby sobą, gdyby miała zbyt łagodnie potraktować polskich patriotów. Jerzy Kozarzewski przeszedł przez najcięższe więzienia okresu stalinowskiego – na Mokotowie, we Wronkach oraz w Rawiczu; w tym trzy lata spędził w pojedynczej celi, bez możliwości kontaktu ze światem, bez gazet, ołówka, papieru. Jeden raz w miesiącu pozwalano mu napisać list do domu – przesyłał wówczas także wiersze, zapisane w pamięci. Część kary odbywał również w obozie pracy w Piechcinie koło Inowrocławia, gdzie pracował w kamieniołomach.

Wiosną 1948 roku „Konrad" napisał w więzieniu wiersz pt. „Rymarz Lejba Batory" z dedykacją „Julianowi Tuwimowi ocalającemu mnie od śmierci. Nigdy nie doręczony, układany w pamięci wiersz, mający przynieść Mu znak moich upartych prób podejmowanych w samotni więziennej we Wronkach dla znalezienia słów, które mogły Go wzruszyć". Wiersz jest wspomnieniem pewnego spotkania w 1942 roku i rozmowy z grupą trzech rymarzy żydowskich. W jego twórczości jest też wiersz pochodzący z września 1994 roku „Wtargnięcie w »Kwiaty polskie«" „z pamięcią o Julianie Tuwimie przychodzącym z ocaleniem mojego życia".

Treść listu Tuwima do Bieruta Jerzy Kozarzewski poznał dopiero we wrześniu 1989 roku. Na pewno zabolały go słowa poety o nim i jego współtowarzyszach, jakoby zbrodniarzach mordujących Żydów. Ale te okrutne, niesprawiedliwe słowa ratowały życie. Może żałował wówczas, że nie miał możliwości opowiedzenia poecie o tym, jak w Mauthausen pracował w Schreibstube, obozowej kancelarii, i ratował życie węgierskim Żydom. W dowód wdzięczności za uratowane życie żydowscy więźniowie podarowali mu bransoletę zrobioną z aluminiowej łyżki, którą z pietyzmem przechowywał w domu.

W 1948 roku dotarły do Magdaleny Kozarzewskiej wieści o złym stanie zdrowia Jerzego. Zaniepokojona podejmo-

eprasa.pl b4d0954c29

wała różne zabiegi o skrócenie wyroku, m.in. interweniowała u przebywającej w Polsce na Światowym Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu Ireny Joliot-Curie, córki Marii Skłodowskiej-Curie. Ta jednak odmówiła pomocy. Nie odmówiła za to siostra Marii Skłodowskiej, Helena Skłodowska-Szalayowa. Niestety nic nie wskórała. Z prośbą o skrócenie wyroku zwracał się też poproszony o to znany aktor Ludwik Solski.

W kwietniu 1951 roku Julian Tuwim napisał list do Józefa Różańskiego, nazwanego przez poetę „Szanownym i Drogim Panem Pułkownikiem", w sprawie wcześniejszego zwolnienia z więzienia Jerzego Kozarzewskiego. Profesor Barbara Fijałkowska w książce „Borejsza i Różański" tak odnotowała ten fakt: „Julian Tuwim […] wielokrotnie wspierał moralnie Różańskiego, mówiąc mu: »W panu widzę mściciela mojej matki«. Nie jest przypadkiem, że właśnie do Różańskiego poeta skierował swój list […]". A w liście pisał m.in. „[…] w żaden sposób nie mogę nie spełnić prośby tej kobiety. Nie mogę w imię pamięci o mojej Matce – zamordowanej przez faszystów, »ideowych« sprzymierzeńców takich właśnie Kozarzewskich! Wiem, że należał do obozu wrogów, wiem że ich trzeba tępić, karać, zamykać, a gdy trzeba, to zabijać".

„Ja też mam tatę"

Jerzy Kozarzewski wyszedł z więzienia 3 października 1955 roku po odbyciu pełnej kary. Pojechał do Nysy, gdzie cztery lata wcześniej żona, Magdalena Kozarzewska, lekarka, dostała nakaz pracy w tamtejszym szpitalu. Oczywiście było to „wyróżnienie" za działalność męża w NSZ. W domu czekały na niego cztery kobiety: żona, matka, teściowa i córka.

Córka, Anna Kozarzewska-Bigazzi, psycholog, mieszkająca od wielu lat we Włoszech, tak wspominała ojca po latach: „Dziesięcioletnia nieobecność ojca była udziałem mojego dzieciństwa. Wiedziałam, że siedzi w więzieniu i że jest szlachetnym człowiekiem, a nie przestępcą, jak mi się zdarzyło usłyszeć w wieku lat ośmiu od pewnej nauczycielki. O powodach skazania trudno i niebezpiecznie było w tamtych czasach rozmawiać z małym dzieckiem. Kochałam go miłością mamy i babci »tatusiowej«. To dzięki nim był obecny w mojej codzienności. W ciągu tych dziesięciu lat udało nam się spotkać tylko dwa razy. Wrócił do domu, kiedy miałam 11 lat i pamiętam ten powrót tak, jakby to było wczoraj. Mama, poważnie chora, nie była w stanie pojechać po ojca. Pojechała po niego ciotka, Romana Łempicka. Niestety, rozminęli się. Wychodziłyśmy z mamą kilkakrotnie na dworzec. Rosło napięcie. Ojciec dotarł do Nysy dopiero nad ranem, ubrany w więzienny drelich. W kilka godzin później obiegłam wszystkie moje przyjaciółki, oświadczając, że »ja też mam tatę«. Ojciec mówił o swojej przeszłości niewiele i bardzo oszczędnie, bez śladu nienawiści czy chęci odwetu. Przyjście na świat mojego rodzeństwa sprawiło, że rodzinne życie stało się wypełnione po brzegi i spełnione. Przeszłość przewijała się gdzieś w tle, zdominowana zachłannością ojca na codzienność, nawet tę mało atrakcyjną. Wracała czasem, na przykład w związku z odwiedzinami przyjaciela i towarzysza niedoli, Sławka Modzelewskiego, skazanego w tym samym, co ojciec, procesie na karę śmierci. Zaskakujący był ton ich wspomnień. Niemal lekki, czasem żartobliwy".

A tak mówiła o wzajemnej miłości rodziców: „To była piękna miłość, dzięki niej udało się przetrwać wszystko to, co było dookoła. Myśmy tę miłość czuli".

W 1956 roku urodził się syn poety Marcin, a w 1958 roku druga córka, Maria.

„Dar codzienności"

Jerzy Kozarzewski w Peerelu był obywatelem drugiej kategorii, wkrótce po wyjściu z więzienia został objęty sprawą ewidencyjno-obserwacyjną przez UB, miał problemy ze znalezieniem pracy odpowiadającej jego wykształceniu i umiejętnościom intelektualnym. Zmarł 1 lutego 1996 roku. W czerwcu 2012 roku podążyła za nim żona Magdalena. Na pewno są już razem na zawsze. Oboje spoczęli w rodzinnym grobowcu na warszawskich Powązkach.

Doktor hab. Magdalena Woźniewska-Działak z Uniwersytetu Stefana Wyszyńskiego zajęła się spuścizną poetycką Jerzego Kozarzewskiego. Po śmierci zostało odnalezionych wiele jego wierszy. W opinii profesor UKSW Jerzy Kozarzewski „był poetą z prawdziwego zdarzenia – tzn. nie mógł żyć bez poezji, pisał wiersze przez całe swoje życie. Były one bardzo ważnym wymiarem mówienia o świecie, o innych ludziach, o tym, co nas dotyka. Pierwsze wiersze pochodzą z lat 30. XX w. Ale pisał też wiersze w najmniej sprzyjających okolicznościach życia, także w więzieniu. Pisał je także wtedy, kiedy nie miał dostępu do kartki i ołówka, w więzieniu. Powstawały w jego głowie, a później, kiedy zaistniała taka możliwość, były przelewane na papier. Debiutował bardzo późno, dopiero w 1992 roku ukazał się pierwszy tomik jego wierszy »Dar codzienności«. Smutne, że ta twórczość nie miała szansy zaistnieć wcześniej. Ale kiedy wyszedł z więzienia, nadal był osobą traktowaną przez pryzmat swojej politycznej biografii. Był inwigilowany, obserwowany, z tego powodu nie miał szans zaistnieć jako poeta. Kozarzewski nieustannie poszukiwał w swych wierszach miłości i prawdy, śladów dobroci ludzkiej. Poszukiwał Boga i ścieżek, które do niego wiodą. Pozostawał wierny sobie i wyznawanym przez siebie wartościom". ■

Jerzy Kozarzewski, „Szukam cię nieustannie. Wiersze wybrane", Wybór i opracowanie Magdalena Woźniewska-Działak, Dębinki 2024, Muzeum Cypriana Norwida.

eprasa.pl b4d0954c29

Piotr Lisiewicz

Likwidowanie praworządności to „przygotowywanie Polski na niewolnicę innych narodów" – taką tezę stawiał Bohdan Wasiutyński (1882–1940), polityk i senator Narodowej Demokracji, w II RP profesor prawa uniwersytetów w Poznaniu i Warszawie. I trudno o stwierdzenie bardziej dziś aktualne. W początkach PRL głównym twórcą komunistycznego wymiaru sprawiedliwości był Leon Chajn, wszechwładny stalinowski wiceminister sprawiedliwości, który wskazywał, iż w nowej Polsce „prawo może stosować ten, kto rozumie i odczuwa potrzebę dokonania przewrotu". Był on jednym z ideologów „walki o nowy typ sędziego". Usuwanym przedwojennym sędziom zarzucano „skostnienie i formalizm". Sędzia Aleksander Rypiński na łamach „Demokratycznego Przeglądu Prawniczego" pisał w 1948 roku: „Chodzi o to, aby »miecz« naszej sprawiedliwości… potrafił w wirze ścierających się sił uderzyć całym swoim ostrzem we wroga klasowego". Sędziowie „nowego typu" opanowali wymiar sprawiedliwości na terenie Polski i nigdy nie zostali z niego usunięci, tworząc wielopokoleniową sitwę. Dla rządu Donalda Tuska, który chce z Polski uczynić niewolnicę innych narodów, przeszkodą jest fakt, że sędziowie „potrafiący uderzyć całym swoim ostrzem we wroga", nie mają monopolu na orzekanie. Stąd podważa status sędziów, co do których podejrzewa, że mogą mieć inne podejście do prawa. Niesłychanie pouczająca lektura!

Bohdan Wasiutyński

Bez praworządności Polska będzie niewolnicą innych narodów

Rozwój poczucia prawa i praworządności w państwie – to wzrost cywilizacji, pomyślności i potęgi państwa, to fundament dla spełnienia wielkich przeznaczeń dziejowych. Podkopywanie jednego i drugiej oznaczałoby spadanie coraz niżej, przygotowywanie Polski na niewolnicę innych narodów.

Każda społeczność trwała musi być zorganizowana. Organizacja oznacza uregulowanie stosunków na podstawie prawnej. Tam przeto, gdzie istnieje społeczeństwo, istnieje również prawo. Państwo jest zawsze organizacją prawną. Nawet despotia wschodnia w najczystszej postaci jest nią pod względem formalnym. Obowiązuje bowiem w niej norma zasadnicza: wola panującego jest jedynym prawem.

Obywatel musi czuć się współtwórcą losów państwa

Różnica kapitalna między Wschodem a Zachodem występuje w dziedzinie stosunku państwa do poddanych jego władzy jednostek i organizacji. Wschodni typ ustroju państwowego nie zna praw jednostek i organizacji, które by mogły przeciwstawić się działaniom władzy. Przewroty polityczne na wschodzie były zawsze tylko buntem przeciwko państwu i władcom w celu zagarnięcia rządów, nie prowadziły do wyzwolenia jednostki z ucisku despotyzmu, do przyznania jej praw wobec władzy. Tłumaczy się to zjawisko brakiem poczucia prawnego w społeczeństwach wschodnich.

Epokowe dla cywilizacji dziedzictwo Rzymu polega właśnie na wytworzeniu poczucia prawnego. Dopiero gdy wytwarza się pojęcie indywidualnej wartości jednostki, gdy powstaje zrozumienie godności człowieka, kształtuje się organizacja społeczeństwa na nowych zasadach. Kościół katolicki, wchłonąwszy tradycje rzymskie, rozszerza w Europie zachodniej pojęcia prawne, podnosi wartość i godność jednostki, opiera moralność na wewnętrznym poczuciu odpowiedzialności człowieka za jego czyny. Na Zachodzie bezprawie wobec jednostki uważane jest nie tylko za krzywdę osobistą: wywołuje ono reakcję społeczną, jako obrażające podstawy współżycia zbiorowości, składającej się z wolnych jednostek […] prąd opinii publicznej, zmierzający do panowania prawa w dziedzinie działalności państwowej, aczkolwiek napotyka na ogromne przeszkody w faktycznym układzie sił, przełamuje wszelkie tamy […].

Konstytucje państw współczesnych w znacznej mierze mają zwrócony wzrok ku tej przeszłości, wyrażają w swych postanowieniach stosunek negatywny do ustroju i postępowania państwa policyjnego. Pozytywnie usiłują one

eprasa.pl b4d0954c29

przede wszystkim zrealizować postulat praworządności, państwa prawnego przy pomocy szeregu instytucji.

Konstytucja wszakże jest jedynie programem, którego wykonanie zależy od poczucia prawnego społeczeństwa. Nie trzeba się szeroko rozwodzić nad znaczeniem praworządności. Walka o prawo jest przejawem dojrzałości obywatelskiej; Człowiek z usposobieniem niewolniczym znosi pokornie i biernie krzywdy i niesprawiedliwości. Obrona prawa, dążenie do urzeczywistnienia wymagań sprawiedliwości znamionuje ludzi o charakterze niezależnym, ceniących swoją godność. Państwo współczesne, zmuszone do ostrego współzawodnictwa z innymi państwami, nie może opierać swego istnienia na obojętnej masie poddanych, ulegających biernie wszelkim rozkazom rządu. Nie powinno się wytwarzać, jak w państwie policyjnym, przeciwstawianie państwa społeczeństwu, jako organizacji mu obcej. Państwo stało się organizacją swych obywateli, czerpiącą swe siły z poczucia organicznego związku między nim a obywatelami – a więc jednostkami świadomymi zarówno wartości państwa jak i swych praw i swej odpowiedzialności. Obywatel musi czuć się współtwórcą losów państwa. Dlatego należy przeciwdziałać rozdźwiękom, które mogą powstać między obywatelami a państwem. Nastroje obojętne lub nawet wrogie państwu wytwarzają się, gdy istnieje poczucie, że władza państwowa staje się narzędziem krzywdy lub przemocy, gdy rodzi się przekonanie, że rząd nie kieruje się w swej działalności względami bezspornymi dobra publicznego, dobra całości. Ponadto dla rozwinięcia owocnej pracy na wszelkich polach ludność musi mieć zapewnione bezpieczeństwo prawne, musi być ugruntowane przekonanie, że stosunki prawne nie ulegną gwałtownym, nieusprawiedliwionym zmianom, że działalność jednostek i stworzonych przez nie instytucji i organizacji opiera się na trwałych podstawach.

Kiedy władza działa w sposób prawny

Poczucie prawa, którym stoją państwa cywilizowane, istniało w Polsce, odkąd weszła ona w krąg zachodniej cywilizacji, rzymskiej i chrześcijańskiej. Było ono bardzo żywe wśród warstwy szlacheckiej, zwłaszcza w okresie rozwoju potęgi państwowej. Połączenie z Polską Litwy i Rusi musiało osłabić wpływy cywilizacji rzymskiej; proces asymilacji cywilizacyjnej ogromnych obszarów odbywał się, stopniowo, a rozstrój państwa, pozbawionego egzekutywy, niezbędnej dla realizowania prawa, nie pozwolił na całkowite zapanowanie cywilizacji zachodniej. W okresie rozbiorów poczucie prawa osłabło. W przeważającej części Polski, w b. dzielnicy rosyjskiej szerzyły się wpływy destrukcyjne Wschodu, gdzie gwałt i przemoc były uświęconą metodą działania. Tylko zabór pruski nie uległ demoralizacji. Tam zachodni typ państwa pozwolił ludności w walce o jej prawa wychować się w poczuciu praworządnością. W państwie austriackim, aczkolwiek opartym na zasadach praworządności, skrzywienie poczucia prawnego było wynikiem stosunków politycznych. […]

Pierwszym warunkiem państwa praworządnego jest panowanie ustawy. Ta zasada oznacza, że władza wykonawcza (sądy i administracja) są podporządkowane ustawie, obowiązane są postępować zgodnie z wyrażoną w niej wolą ustawodawcy; akty administracji, sprzeczne z ustawami, są nieważne. Następnie oznacza ona, że regulowanie pewnych stosunków prawnych jest na podstawie konstytucji zastrzeżone na rzecz ustawy. Ustawa, która w sposób abstrakcyjny normuje stosunki prawne, zapewnia jednakowe traktowanie wypadków poszczególnych, podpadających pod jej działanie, czyli uniemożliwia w zasadzie nierównomierne użycie władzy, dowolność postępowania administracji. […]

Jeżeli państwo lekceważy podstawy prawne i poddaje się dyktandu egoizmów grupowych, podkopuje więzy społeczne, na których opiera się jego istnienie. Słabną wówczas instynkty solidarności, poczucie związku z interesami całości, które są wytworem długich wieków cywilizacji, a ożywiają i potęgują się instynkty odśrodkowe, rozbijające społeczność, instynkty niższe, pierwotne, z trudem przez Kościół i państwo przezwyciężane. Triumfujący egoizm nie zadowala się zwycięstwem klasy, warstwy czy grupy nad interesami zbiorowości, upostaciowanymi w porządku prawnym. Musi nad egoizmem grupowym w dalszym rozwoju wziąć górę egoizm jednostkowy, niszczący z kolei i spójność grupy. […]

Władza działa w sposób prawny, jeżeli urzeczywistnia cele, które jej zakreślono. Skutecznym środkiem do powstrzymania tyranii władzy jest jej organizacja, która się opiera na tzw. podziale władz, czyli na ustaleniu kompetencji poszczególnych naczelnych organów państwa. Podział władz zabezpiecza równowagę wewnętrzną, zapewnia przewagę ustalonych kompetencji nad dążeniem do bezwzględnego panowania.

Podział władz pozwolił na poddanie administracji ustawom. Administracji nie wolno działać nie tylko wbrew ustawie, ale i bez upoważnienia ustawy. […] Tylko niezależne sądy spełnić mogą rolę stróżów praworządności. […]

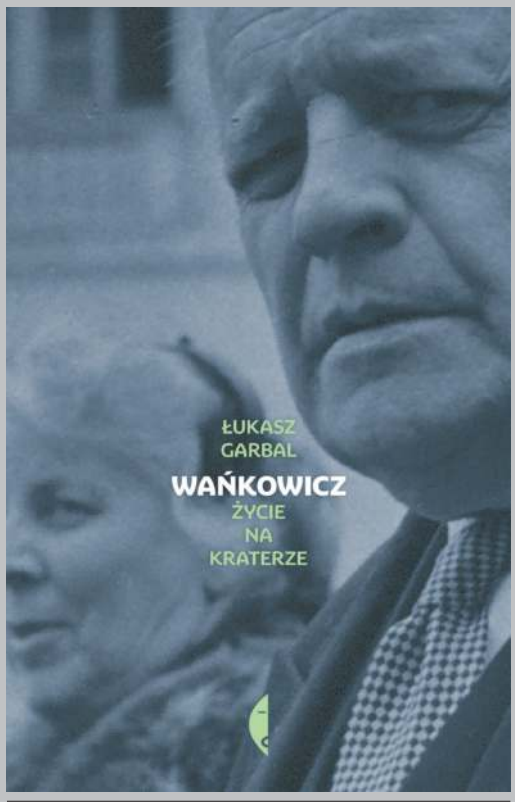
Sumienie społeczne jest wrażliwe na równe traktowanie obywateli pod względem prawnym. I nic tak nie podważa autorytetu rządu, jak kierowanie się względami ubocznymi, politycznymi przy wykonywaniu przepisów prawnych. Najbardziej je oburzają akty zemsty ze strony rządu na ludziach, którzy, postępując zgodnie z prawem, a nawet broniąc prawa, byli mu w danej chwili niedogodni.

Rozwój poczucia prawa i praworządności w państwie – to wzrost cywilizacji, pomyślności i potęgi państwa, to fundament dla spełnienia wielkich przeznaczeń dziejowych. Podkopywanie jednego i drugiej oznaczałoby spadanie coraz niżej, przygotowywanie Polski na niewolnicę innych narodów. ■

Tekst ukazał się w ramach cyklu: OBÓZ WIELKIEJ POLSKI. WSKAZANIA PROGRAMOWE. ZESZYT IV, Warszawa 1927. Tytuł oryginału: „Praworządność".

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl b4d0954c29



Łukasz Garbal, „Wańkowicz. Życie na kraterze”, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025.

Krzysztof Wołodźko



Z Kresów prosto w mrok

„Wańkowicz. Życie na kraterze” Łukasza Garbala to opowieść o pisarzu, który polskim sprytem ocalał ze złych i jeszcze gorszych dziejowych awantur. I przeniósł pamięć o trudzie, chwale, urokach, blaskach i cieniach polskości w kolejne dekady. To historia człowieka, który stworzył jedne z najpiękniejszych kart w polskiej literaturze XX wieku i powinien wrócić do czytelniczych łask. Bo najwyższy po temu czas!

eprasa.pl b4d0954c29

Na początku przemian ustrojowych nakładem Wydawnictwa Polonia ukazały się dzieła emigracyjne Melchiora Wańkowicza. Wcześniej czytałem „Bitwę o Monte Cassino", a ściślej: ocenzurowaną, znacznie skróconą PRL-owską wersję trzytomowej epopei, wydaną w 1976 roku przez MON jako „Monte Cassino" – i byłem ciekaw kresowego autora. Dziś ani „Kundlizm", ani „Wrzesień żagwiący" nie smakują zakazanym owocem. Ale pamiętam nastoletni czas, gdy za oknami PRL przepoczwarzał się w III RP, a ja zaczytywałem się w „Drodze do Urzędowa", błogo nieświadom, że to powieść zrugana już dawno przez Józefa Czapskiego na kartach paryskiej „Kultury".

Trzymam teraz przed sobą tamto wydanie z roku 1989 i przypominam sobie zdziwienie ostrością licznych zdań: „Polska – to największa chyba wylęgarnia kundli". Albo: „Wojna ma się skończyć za rok, bo pan Szpinalski dłużej nie wytrzyma". Szyderstwo z polskiego chciejstwa, z pobożnych życzeń zastępujących realizm w najgorszy czas – bardzo to było gorzkie u Wańkowicza. Trudno było uwierzyć, że ten sam autor tak poruszająco opisał krwawy polski bój o Monte Cassino. Ale „Droga do Urzędowa" to był także opis sowieckich zbrodni na Polakach, o ludziach podstępem wyrywanych z własnych domów po IV rozbiorze, wiezionych w bydlęcych wagonach jak niewolnicy na Syberię: „Wlekli się nieskończone doby, zatrzymując się tylko na małych przystankach, oblepionych wielkimi, kolorowymi afiszami Lenina i Stalina. […] Na tych przystankach zostawiali trupy umierających w czasie jazdy starych, chorych oraz osesków pozbawionych mleka, które świrkły w mroźnych pieluchach. […] Kiedy przez szczelinkę ukazały się góry, a na drugi dzień pociąg piął się drogą nad przepaściami, Wołyniaków ogarnął popłoch. Czubalski zrozumiał, że jadą przez Ural. Za Uralem poczynała się Azja i Syberia, na której dwadzieścia lat strawił jego ojciec, powstaniec".

I był dla mnie w tamtych latach jeszcze jeden Melchior Wańkowicz, autor „Na tropach Smętka". To relacja z wyprawy, jaką pisarz odbył w 1935 roku do ówczesnych Prus Wschodnich (w części to tereny dzisiejszej Warmii i Mazur). Dopiero kilka lat temu ukazało się pełne wydanie słynnego reportażu, wzorowane na pierwszej edycji z 1936 roku. PRL-owska cenzura miała swoje powody, by sięgnąć po nożyce. Ocenzurowano choćby rozdział „Hospodi pomiłuj w Dorf Eckertsdorf" (Eckertsdorf – obecnie Wojnowo w gminie Ruciane-Nida), dotyczący m.in. filiponów, jednej z rosyjskich XVII-wiecznych sekt, które powstały po reformach cara Piotra I i patriarchy Nikona. Prześladowani w Rosji sekciarze jeszcze na początku XVIII wieku dotarli do Prus Królewskich. PRL-owskiemu cenzorowi przeszkadzało jednak coś innego – wzmianka Wańkowicza o bolszewickich najeźdźcach z 3. Korpusu Kawalerii Armii Czerwonej, którzy w 1920 roku ponieśli klęskę pod Chorzelami i tak skończył się ich krwawy pęd ku Warszawie.

▶ Niemcy szukają Wańkowicza

Jeszcze większe kłopoty z powodu „Smętka" Wańkowicz miał z Niemcami i opinią publiczną już w PRL. Reportaż rozwścieczył Niemców – polowali na niego już po 1 września 1939 roku. Wrocławska rozgłośnia, nadająca po polsku, ustami sprzedajnego spikera głosiła, że hitlerowcy są na jego tropie. Nie bez powodu słano w eter pogróżki. Ściśle poufny przedwojenny niemiecki dokument tak opisywał książkę: „Dzieło to zostało w Polsce szeroko rozpowszechnione, a prawie wszystkie polskie gazety zamieściły bardzo pochlebne recenzje. W wyraźnie tendencyjnej formie oddane są w nim polskie poglądy na temat Prus Wschodnich. Tajna Policja Państwowa (Gestapo) wobec jawnej wrogości wywodów autora zmuszona została do zakazu wydania tej książki w Niemczech, ponieważ jednak utwór jest bardzo cennym przyczynkiem do poznania polskich metod walki narodowościowej, udzieliła zezwolenia Związkowi Niemieckiego Wschodu na tłumaczenie tej książki i rozprowadzenie jej wśród zaufanych, zainteresowanych osobistości".

Książka dała Wańkowiczowi sławę, ale stała się też pełnym goryczy wyzwaniem. Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomina, że zarzucano autorowi, iż „wymieniając nazwiska osób walczących o polskość, naraził ich na represje ze strony Niemiec, a gdy wybuchła druga wojna światowa – na śmierć". A przecież – tłumaczy znawczyni twórczości pisarza – przed wydaniem usunięto nazwiska osób, które działały w ukryciu, pozostawiono jedynie osoby walczące jawnie: „Z rozmowy z Wańkowiczem zapamiętałam, że usunięto nazwiska około 30 osób". Pisarz zmarł we wrześniu 1974 roku. Półtora roku później zakończyła się sprawa, jaką autor „Na tropach Smętka" wytoczył Tadeuszowi Walichnowskiemu, który zarzucił pisarzowi, że swoją książką przyczynił się do śmierci wielu Polaków, za co zyskał sławę i pieniądze. Sąd Najwyższy stwierdził, że oskarżenia pod adresem Wańkowicza są bezpodstawne.

„Wańkowicz. Życie na kraterze" Łukasza Garbala pozwala lepiej zrozumieć pochodzącego z Kresów autora, który jednym piórem, także na własnej skórze, zapisał kilka epok z dziejów Polski, Europy i świata. Urodzony pod zaborami, konspirował

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl b4d0954c29

i wojował jako młody człowiek, przeżył powstanie i upadek II Rzeczypospolitej, szedł szlakiem bojowym z armią Andersa, po wojnie tułał się po zachodniej Europie. W Polsce Ludowej zamieszkał w 1958 roku, lecz pisarska sława nie oszczędziła mu upokorzeń. Przeciwnie, płacił słoną cenę za powrót na ojczystą ziemię: „[Jego – przyp. K.W.] życie przepełniała strata, żałoba i wykorzenienie. Nieustannie musiał wracać na pole startowe". Znamiennie brzmią ostatnie słowa wspomnianej wyżej powieści Wańkowicza, „Drogą do Urzędowa". Doktor Lewin, polski Żyd, powiada do swojego przyjaciela – katolickiego księdza, pełen nadziei, że z ziemi włoskiej wróci do Polski: „Z tym Urzędowem to jest wielkie »cures« [kłopot, trudność, wyzwanie – przyp. K.W.]: bez niego nie znaczy się nic. A nie wychodząc z niego – także nic". Urzędów jest metaforą przedwojennego, jego prowincjonalnych zakątków, wskroś przenikniętych kulturą Europy. Dwie są polskie drogi do uniwersalizmu, do wspaniałości cywilizacyjnego rozkwitu, sugeruje Wańkowicz: jedna zrodziła się z przynależności do łacińskiej cywilizacji, jej śródziemnomorskiego splendoru, który rozkwitł pod hiperborejskim niebem, druga rodzi się z polskiej tułaczki i pielgrzymstwa, szlaków insurgentów i żołnierzy. I jeszcze jedna, wyraźna sugestia: żeby się w Polskę wżyć, trzeba się z nią zmierzyć – na własnych prawach, nie pod dyktando jej katów i sprzedawczyków. Tego Wańkowicz doświadczył aż nadto.

Rodzinna, poraniona Europa

Znane, często występujące w przypadku biografii określenie: „człowiek na tle swojej epoki" w przypadku biografii Wańkowicza pióra Garbala pasuje aż nadto. Obszerne opisy i wypisy z dziejów rodzinnych Kałużyc, białoruskiego rojstu: to zbiorowisko roślin krzewiących się na terenach podmokłych; „Określano tak w ogóle bagna i mokradła charakterystyczne dla okolicy Berezyny, gdzie urodził się pisarz, w których topili się napoleońscy żołnierze w roku 1812, obserwowani przez innego Wańkowicza, syna jednego z wcześniejszych kałużyckich Melchiorów – Walentego, sławnego malarza, autora portretu swojego przyjaciela Mickiewicza na Judahu skale". Powyższy cytat mówi nam wiele nie tylko o rodzinnych korzeniach pisarza, lecz także o tym, jak meandruje opowieść jego biografa, jak szuka coraz nowych punktów odniesienia i zaczepienia. Garbal wpada niekiedy w publicystyczno-dydaktyczny ton, o czym wspominał Wojciech Stanisławski na łamach „Teologii Politycznej", nieco na siłę szukając paralel ze współczesnymi czasami.

W warstwie historycznej jest to fascynujące: na naszych oczach ożywa nasza rodzinna Europa. Używam tego określenia także w biograficznym sensie – o Wołodźkach, polskim rodzie z białoruskich terytoriów dawnego Wielkiego Księstwa, Wańkowicz pisał na kartach „Opierzonej rewolucji". To poraniona, rodzinna Europa: już w czasach II Rzeczypospolitej pisarz oddał choćby cześć Polkom, które jak mogły, pomagały ocalić ludzkie życie w czas wojenno-rewolucyjnej zawieruchy: „Wtedy przyszła praca kobieca. Zawzięta, zachłystująca się, nieustępliwa w zdobywaniu dóbr doczesnych, tej tam kaszy, kubraczków dziecięcych, kusych kaftaników dla niemowląt". Wśród tych Polek była Maria Wierzyńska, bratowa poety Kazimierza Wierzyńskiego, która w 1940 roku jako łączniczka konspiracji została ujęta we Lwowie przez NKWD i zginęła. Oto próby ocalenia i odbudowy tego, co nieustannie burzone. Próby podejmowane wciąż na nowo. I kolejne pożogi i zniszczenia. Strata powraca, dotyczy spraw domowych i ojczystych. Siostra Wańkowicza, Regina, po wielu dekadach tak napisze w prowadzonym przez zakonnice domu opieki w Buku pod Poznaniem: „Wszędzie wszystko przepadło". Czy przepadło do końca? Bez cienia przesady można powiedzieć, że Wańkowicz z rodzinnych Kresów ruszył w mrok historii. Opowiedział o tym, choć w epoce PRL próbowano go zagłuszyć i cenzurować.

W biografii Wańkowicza wciąż wraca tragizm historii, jego życie jest nim wskroś nasycone. Ziemiański, XIX-wieczny świat, choćby i zasobniejszy, naznaczony jest realiami życia pod zaborami. Przychodzi wolność, ale i za nią wlecze się krwawa smuga wojen i powstań, mroczne cienie kłębią się i narastają z roku na rok. Pióro staje się drugą naturą Melchiora, opisuje nim to, co niosą kolejne lata. Jeszcze jako konspirator w kresowych organizacjach wojskowych, w czas I wojny światowej, twierdzi: „[…] dwa kierunki myśli i uczucia polskiego zlewają się w jeden prąd irrendenty, co siły nasze do boju zmobilizuje. Piłsudski i Dmowski tworzą dziś jeden obóz – Polski walczącej". Garbal komentuje: „W swojej argumentacji łączył Piłsudskiego z Dmowskim, pisząc, że reformy socjalne zwiększą możliwości przyszłego państwa, co spowoduje wrogość ze strony Niemiec. Ten antyniemiecki rys będzie u Wańkowicza stale obecny". W czas II Rzeczypospolitej Wańkowicz nie zapomina, że wolność ojczyzny kształtowała się w huku dział, wyrastała na krwi. W czas kruchego pokoju interesuje go to, co dzieje się za naszymi najbliższymi granicami („Opierzona rewolucja", „Na tropach Smętka"), pisze o Sergiuszu Piaseckim i Centralnym Okręgu Przemysłowym. Jego „Sztafeta", apologia przemy-

eprasa.pl b4d0954c29

słowych i infrastrukturalnych przedsięwzięć II Rzeczypospolitej, była źle widziana w czasach PRL. Pisarz był nieodrodnym dzieckiem swoich czasów: przed wrześniem 1939 roku śnił mu się nie tylko kraj wolny od obcych monopoli, chroniony przed niemiecką ekspansją, chciał także Polski kolonialnej, która dzięki plantacjom w Afryce zabezpieczyłaby swoje długofalowe interesy. Sielanka słodka jak cukier, który Wańkowicz rozsławił w słynnej przedwojennej reklamie – że niby krzepi.

„Nie przy zdrowych zmysłach"

A później przyszła noc pełna grozy, śmierci i strachu. Zbyt długa zła noc. I gdyby życie potraktować jak sen, gdyby dało się bezpiecznie obudzić z koszmaru, to mamy 1958 rok. Zupełnie inny świat, przedarty na pół bestialską wojną, w czasie której przez polskie ziemie przeszły dwie armie wrogie naszej biologicznej, narodowej i państwowej egzystencji. Świat, Europa, Polska są już w zupełnie innym miejscu. Wańkowicz decyduje się na stałe zamieszkać w PRL. „Robi wrażenie człowieka nie przy zdrowych zmysłach" – pisał Kazimierz Wierzyński do Mieczysława Grydzewskiego, słynnego londyńczyka, przedwojennego redaktora „Wiadomości Literackich" (ponad dekadę temu Iskry wydały znakomity wybór jego tekstów, czyli „Silva Rerum"). W liście do Andrzeja Bobkowskiego pisarz tłumaczył rzecz względami rodzinnymi, postępującą ciężką chorobą siostry: „Po stracie starszego i jedynego brata zastrzelonego w powstaniu jest to ostatni mój bliski człowiek". W sierpniu 1944 roku pisarz stracił w Warszawie starszą córkę Krystynę. W walce zginęli również wspomniany brat Witold, bratanica Irena, bratanek Romuald: „O śmierci brata i bratanka – z błędną informacją, że »polegli na tym samym odcinku obrony« – Melchior [...] zawiadamiał w nekrologu w tym samym numerze pisma 2 Korpusu, w którym ukazała się informacja o premierze »Bitwy o Monte Cassino«". Przedwojenne obawy autora „Na tropach Smętka" wcieliły się w najstraszniejszy koszmar: znajomi, przyjaciele, krewni zmienili się w pył i proch, mordowani przez Niemców. Na jednym z czarno-białych zdjęć, zamieszczonych na kartach biografii Wańkowicza, widać starą, schorowaną kobietę, serdecznie objętą ramieniem przez starszego mężczyznę o zbolałym uśmiechu: prawdopodobnie 1956 rok, przytułek pod Poznaniem, siostra i brat. Daleko, daleko od rodzinnych stron.

Ani emigracyjny Paryż, ani Londyn nie biły braw Wańkowiczowi za powrót do rządzonego przez komunistów kraju. Cukier, prztyczki i kije – to miała dla niego pojałtańska, ludowa Rzeczpospolita. Były to rzeczy drobne: recepcjonistka w hotelu Polonia pytała go, czy umie się podpisać po polsku. Były też znacznie bardziej dojmujące: jeszcze przed jego powrotem na stałe władza co prawda zgodziła się na wydanie „Bitwy o Monte Cassino" (PAX, Biblioteka Dzieł Wyborowych, 1957) w ocenzurowanej mocno wersji, ale w mniejszym nakładzie niż obiecywano. Tygodnik „Polityka" uważał to i tak za dowód wspaniałomyślności władz, które zaakceptowały pozytywną opowieść o „antysocjalistycznym i antyradzieckim" wojsku generała Andersa. Czytelnikom najwyraźniej to nie przeszkadzało – solidnie okrojone wydawnictwo na pniu sprzedawało się nawet po 300 zł. Garbal przypomina, że średnia miesięczna pensja wynosiła wówczas około 1300 zł. Zirytowany Wańkowicz pisał skargi na Berdyczów, czyli do decydentów, że zamiast obiecanych 60 tys. egzemplarzy książki wydrukowano 30 tys., „które sprzedano w ciągu pierwszych sześciu godzin pojawienia się w księgarniach". Obcięto mu również honoraria – liczył to skrupulatnie, po buchalterskiu. Liczył to na Zachodzie i w Polsce Ludowej. Robił bilanse zysków i strat.

W jednej z rozmów ze znajomymi Polakami na emigracji w Kanadzie, przed wojną mieszkańcami wielkopolskiego Kościana, miał powiedzieć: „Jestem w kraju dopiero od dwu lat, żyje się intensywnie, dzieją się rzeczy wspaniałe. Odbudowa kraju, pęd młodzieży do nauki, budowa przemysłu, zagospodarowywanie ziem zachodnich, awans społeczny milionów chłopów i robotników, wzrost oświaty, czytelnictwo". Zaraz jednak dodawał: „Znacie »1984« Orwella. Krok za krokiem idziemy ku takiej przyszłości. Chcą nas zniszczyć, unicestwić, wymazać z naszej pamięci własne dzieje, w końcu zabić i strawić". Czy takie słowa rzeczywiście padły z jego ust? Czy nie brzmią – w skrajności opinii – zbyt apokryficznie? Pozostaniemy z tą niejasnością, choć każdy powrót z emigracji był wówczas obarczony ciężarem najskrajniejszych emocji, myśli i postaw. On sam tłumaczył, że coraz duszniej mu było poza krajem: „[...] nie mogłem żyć w takiej atmosferze, bez czytelnika, krytyka, odrobiny ludzkiej życzliwości. Z minowych pól emigracji wróciłem do kraju".

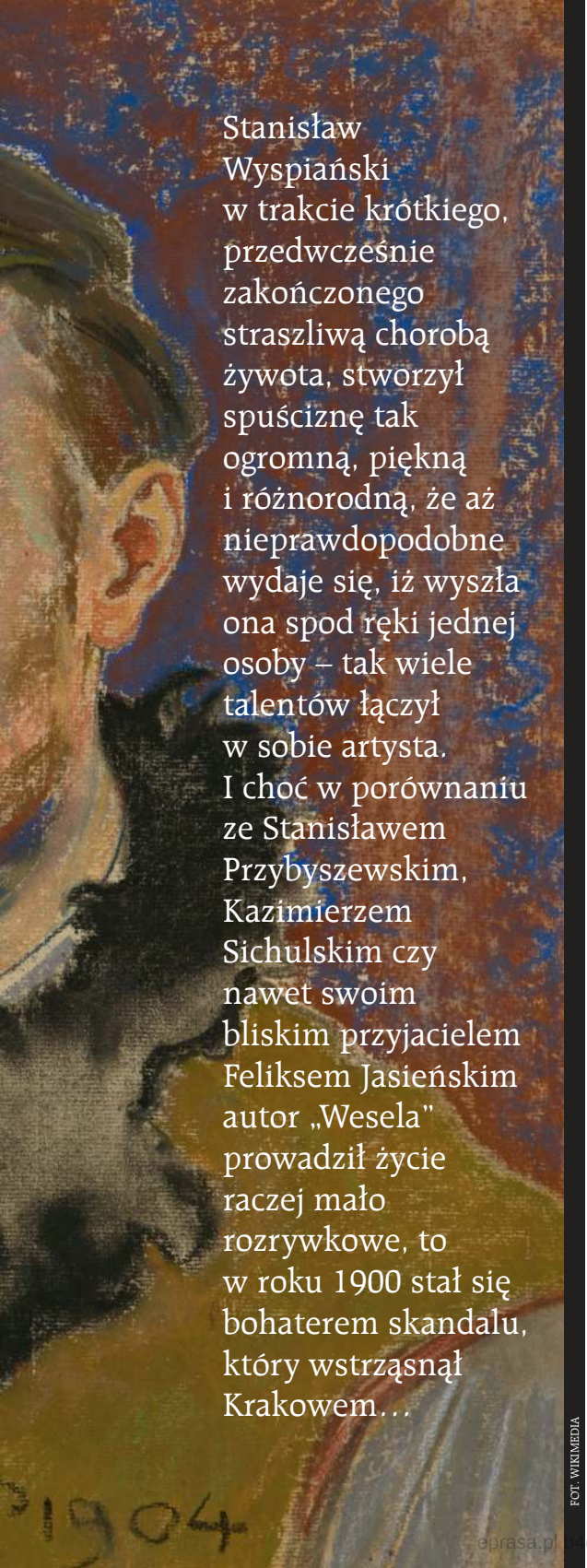
W komunistycznej Polsce i tak przyszło mu żyć jak na polu minowym. Albo jak pod bramą więzienną, jak w areszcie, w politycznym więzieniu, którym stało się całe państwo. W grudniu 1964 roku ponad 70-letni kresowiak Melchior Wańkowicz miał dobijać się do bram więzienia na Rakowieckiej w Warszawie, by odsiedzieć wyrok w procesie, który wytoczyła mu ludowa władza. Czy tak było? Czy to prawda? Sięgnijcie po „Życie na kraterze" Łukasza Garbala. ■

eprasa.pl b4d0954c29



Łukasz Czarnecki

Dziwne stadło



FOT. WIKIMEDIA

Stanisław Wyspiański w trakcie krótkiego, przedwcześnie zakończonego straszliwą chorobą żywota, stworzył spuściznę tak ogromną, piękną i różnorodną, że aż nieprawdopodobne wydaje się, iż wyszła ona spod ręki jednej osoby – tak wiele talentów łączył w sobie artysta. I choć w porównaniu ze Stanisławem Przybyszewskim, Kazimierzem Sichulskim czy nawet swoim bliskim przyjacielem Feliksem Jasieńskim autor „Wesela" prowadził życie raczej mało rozrywkowe, to w roku 1900 stał się bohaterem skandalu, który wstrząsnął Krakowem…

Gdy myślimy o młodopolskiej chłopomanii i będących jej efektem związkach między artystami a wiejskimi pannami, na myśl przychodzi nam przede wszystkim ślub Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną, rozsławiony i uwieczniony piórem Wyspiańskiego. Bardziej wnikliwi pasjonaci historii polskiej kultury pamiętają też o wcześniejszym ożenku starszej siostry Jadwigi, Anny, z malarzem Włodzimierzem Tetmajerem. Zaślubiny obu par wzbudziły pod Wawelem sporą sensację. W przypadku Tetmajera doszło wręcz do objęcia młodych tymczasowym ostracyzmem społecznym, który na szczęście minął, gdy pani Anna oczarowała krakowskie elity swoim naturalnym wdziękiem i wyniesionym z ojcowskiej chaty rozsądkiem. W przypadku Rydla i jego wybranki poszło już łatwiej, galicyjskie stare ciotki kręciły co prawda nosem na ten „krok bardzo awanturniczy", ale bronowickie wesele stało się wydarzeniem towarzyskim sezonu, a nawet stulecia – w końcu do dziś uczniowie polskich liceów czytają literacką trawestację owej imprezy. Dziś mało kto pamięta, że zaledwie dwa miesiące przed tym, jak gadatliwy Lucjan i piękna Jadzia stanęli przed ołtarzem, odbył się inny ślub, również łączący młodych pochodzących z różnych światów. Z tym że choć tamta uroczystość też wzbudziła ogromne zainteresowanie, to licznie biorących w niej udział widzów ściągnęła do kościelnych ławek żądza taniej sensacji, jedna z ciotek pana młodego przyszła w stroju żałobnym, zaś biorący udział w owych zaślubinach Rydel omal nie doznał załamania nerwowego i publicznie się popłakał. Oto bowiem 18 września 1900 roku dozgonną miłość i wierność małżeńską przysięgli sobie Stanisław Wyspiański i Teodora Teofila Pytko. Genialny poeta, dramaturg, malarz i projektant oraz niepiśmienna posługaczka jego ciotki.

Gust miał odrębny

Najdziwniejsza historia miłosna Młodej Polski zaczyna się w roku 1894, a owe początki okrywa mgła tajemnicy i niedopowiedzeń. Dla krewnych artysty cała rzecz była niebywale krępująca, bo wystawiała familię autora „Nocy listopadowej" na publiczne pośmiewisko.

Onego roku Stanisław wrócił nad Wisłę z artystycznego wypadu do Paryża. Nadsekwańska metropolia skradła jego serce do tego stopnia, że będąc pod Wawelem, planował nieustannie kolejny wyjazd, do którego jednak nigdy – z uwagi na problemy finansowe artysty – nie doszło. Wycieczka miała odcisnąć decydujący ślad na życiu młodego twórcy. W Paryżu odnajął pracownię od uznanego malarza

eprasa.pl d0954c29

Paula Gauguina. Co prawda spotkali się tylko raz i owo spotkanie nie wypadło zbyt dobrze – Francuz skrytykował polskiego kolegę, zarzucając mu kiepskie operowanie kolorami! Jednak to nie owa opinia miała bezpośredni wpływ na dalsze losy naszego bohatera, lecz smagła Jawajka o wdzięcznym imieniu Annah, będąca kochanką Gauguina. Bardzo szybko jej obecność w łóżku Wyspiańskiego dołączyła do pakietu związanego z wynajmem pracowni. I tu niestety zaczyna się bardzo przykry epizod w życiu geniusza, bo dziewczyna, aczkolwiek urocza i zapewne nad wiek rozwinięta, była... niepełnoletnia, liczyła zaledwie trzynaście wiosen! Przyszło im pokutować do końca życia – zarówno Gauguin, jak i Wyspiański erotyczne uniesienia w jej ramionach przypłacili syfilisem. Francuz skonał w roku 1903, a Polak cztery lata później, umierając w straszliwych mękach…

Wróciwszy jednak z Paryża z głową pełną marzeń, Wyspiański zamieszkał kątem u swej ciotki Joanny Stankiewiczowej, która odstąpiła krewniakowi, będącemu dla niej niczym syn, jeden z pokoi w swoim krakowskim mieszkaniu. O młodym artyście wkrótce stało się głośno. Jego prace w jednych wzbudzały zachwyt, w innych oburzenie, by nie rzec odrazę. Najwierniejszą fanką Stanisława została Eliza Pareńska, żona profesora medycyny UJ Stanisława Pareńskiego, znana mecenaska malarzy i literatów, prowadząca najsłynniejszy kulturalny salon Krakowa. To dzięki jej hojnemu wsparciu nasz bohater miał za co żyć, bo można protektorka kupowała jego obrazy wręcz hurtowo, po czym rozdawała je znajomym. Przyjaźnią obdarzył też Wyspiańskiego Feliks Jasieński, który porzuciwszy kołtuńską Warszawę na początku XX wieku, osiadł pod Wawelem. Dla odmiany przyjaciółka pani Elizy, pisarka Antonina Domańska, autorka „Historii żółtej ciżemki", uznawała prace wychodzące spod pędzla Stacha za obrzydliwe bohomazy i ponuro zapowiadała, że za ich promowanie Pareńska po śmierci trafi do piekła. Pani profesorowa nie pozostawała dłużna, ripostując, iż pani radczyni w Wielkim Poście ksiądz powinien zadawać jako pokutę siedzenie w pokoju wypełnionym obrazami Wyspiańskiego i kontemplowanie ich. Z kolei totalną krucjatę nienawiści wobec literackiej twórczości Wyspiańskiego rozpętał historyk literatury i rektor UJ hrabia Stanisław Tarnowski, którego dramaty i poezje naszego bohatera doprowadzały do białej gorączki. Uczony arystokrata w trakcie wykładów nieustannie rzucał ex cathedra obelgi na młodopolskiego geniusza, co przynosiło jednak skutki odwrotne do zamierzonych, bo ku oburzeniu profesora studenci dosłownie szturmowali Teatr Miejski za każdym razem, gdy wystawiano jedną ze sztuk Wyspiańskiego.

W takiej atmosferze, w połowie lat 90. XIX wieku, kończące się stulecie zostało świadkiem najbardziej osobliwego romansu w dziejach polskiej kultury. Jak wspomnieliśmy, w jaki sposób doszło do jego zawiązania, nie wiadomo. Źródła nie tyle jednak milczą na ten temat, co mają aż za dużo do powiedzenia, sęk w tym, że większość z owych przekazów to mające posmak sensacji plotki, rozpuszczane przez niechętnych późniejszej pani Wyspiańskiej. Spośród szerokiego grona znajomych artysty odrobiną sympatii darzyła ją Eliza Pareńska, pozostali w najlepszym razie Teodorę Teofilę tolerowali, a i to zaledwie. Zresztą ze wzajemnością.

Co w niej urzekło Stanisława, nie wiedział nikt ni wtedy, ni potem. On wędrujący w swej imaginacji po wyżynach ducha, pisarz, spod którego pióra wychodziły jedne z najważniejszych utworów w dziejach polskiej literatury, a spod pędzla obrazy porażające swym nieśmiertelnym pięknym. Ona dla odmiany nie potrafiła pisać i czytać. Oczywiście niejeden mężczyzna w historii stracił głowę dla niewiasty niezbyt mądrej, lecz powabnych kształtów, jednakże nawet o tym nie mogło być mowy w tym przypadku. Patrząc na zachowane zdjęcia wybranki Wyspiańskiego, a także liczne jej portrety, widzimy osobę potężnej budowy, przysadzistą, o prostackich, odpychających rysach, nieodmiennie gniewnej minie i kwadratowej szczęce zdolnej łupać orzechy. Najprostsze wyjaśnienie dziwnego afektu Stacha kryje się chyba w stwierdzeniu jednego z jego znajomych, Jana Bartosińskiego, który relacjonując, jaki typ kobiet przyprawiał Wyspiańskiego o żywsze bicie serca, podsumował lakonicznie: „Gust miał odrębny".

▶ Wszystkiemu winien Tołstoj!

Teodora Teofila Pytko (albo Szpytko, bo sama zainteresowana nie wiedziała, jak zapisywać swoje nazwisko) pochodziła ze wsi Konary pod Tarnowem. Gdy jej rodzina straciła gospodarstwo, dziewczyna wyruszyła w szeroki świat szukać szczęścia. W tym przypadku „szeroki świat" oznaczał Kraków, a „szczęście" – posadę służącej. Ostatecznie panna znalazła zatrudnienie u Joanny Stankiewiczowej w charakterze wykonującej najbrudniejsze i najcięższe prace posługaczki. Wedle kuzynki Wyspiańskiego Teodora Teofila była po prostu tak tępa i chamska, że każde zadanie bardziej skomplikowane od trzepania dywanów czy mycia podłogi po prostu przerastało jej możliwości intelektualne! Choć możliwe, że treść owego spisanego po latach wspomnie-

eprasa.pl b4d0954c29

nia podyktowana była przez złośliwość i pretensję – familia nigdy nie wybaczyła artyście mezaliansu, a że na ubóstwionego geniusza trudno było wylewać brudy, ostra krytyka skupiła się na wdowie.

Istnieją rozmaite wersje tego, jak Teodora Teofila poznała swego przyszłego męża i trafiła pod dach jego ciotki. Wedle jednej początkowo pracowała u krakowskiego adwokata, który oprócz posług w kuchni wymagał od niej też posług w łóżku. Gdy panna Pytko zaszła w wyniku pełnienia owych obowiązków w ciążę, pracodawca zachował się tak, jak mu dbałość o swe dobre imię i ówczesny bon ton nakazywały – wyrzucił ciężarną na bruk. Dziewucha podreptała nad Wisłę, by niczym Wanda rzucić się w jej odmęty, ale nad brzegami rzeki spotkała Wyspiańskiego, który ulitowawszy się nad losem nieszczęsnej, załatwił jej posadę u Stankiewiczowej. Inna wariacja tej historii brzmi dla odmiany wręcz komicznie, bo młodzi mieli się tym razem poznać w remontowanym kościele franciszkanów, gdzie Stach tworzył witraże, a Teodora Teofila… pracowała jako pomocnik murarza. Jedno jest pewne – romans zrodził się pod bokiem ciotki pisarza, gdzieś między obieraniem kartofli a myciem podłogi. I nie przeszkodziła mu ciąża wybranki naszego bohatera, a gdy na świat przyszedł jej pierworodny, a nieślubny syn Teodor, Stach trzymał go do chrztu.

Ledwo Teodora Teofila wstała z połogu, a znowu była ciężarna – i tym razem sprawca jej odmiennego stanu był doskonale znany. 31 maja 1895 roku na świat przyszła córka Wyspiańskiego, Helena, zaś 7 października 1899 roku syn Mieczysław. Co ciotka Stankiewiczowa myślała o toczącym się w jej kuchni bujnym erotycznym życiu krewniaka, trudno orzec, wiele ówczesnych dam pozwalało swoim synom, a nawet mężom, figlować ze służącymi, wychodząc z założenia, że lepiej by grzeszyli pod własnym dachem, niż łajdaczyli się po burdelach i zarażali chorobami wenerycznymi.

Jeśli myśli cioteczki Joanny rzeczywiście szły takim torem, to wkrótce miała gorzko tego pożałować. Oto bowiem latem roku 1900 synowiec oświadczył zszokowanej kobiecie, iż żeni się z Teodorą Teofilą! Po latach kuzynka Wyspiańskiego, Maria Waśkowa, o wrażeniu, jakie owa deklaracja zrobiła na familii, pisała: „[…] jak wielkim ciosem było dla całej naszej rodziny a głównie dla ciotki Stankiewiczowej małżeństwo Stasia z jej dawną posługaczką!!".

Pani Joanna próżno usiłowała wyperswadować synowcowi to szaleństwo. Stanisław uparł się i za nic nie chciał zmienić decyzji. Zgorszona i przerażona wizją towarzyskiego skandalu dama o nieszczęście, jakie dotknęło jej dom, oskarżała później nie siebie, tylko… zgubny wpływ literatury rosyjskiej! Oto bowiem w sezonie letnim roku 1900 bestsellerem, w którym wszyscy się zaczytywali, była powieść Lwa Tołstoja „Odkupienie", opowiadająca o arystokracie, który sprowadziwszy swą pokojówkę na złą drogę, ostatecznie w ramach pokuty bierze z nią ślub. Ponoć to właśnie po przeczytaniu owej nieszczęsnej książki Wyspiański ze łzami w oczach zadeklarował chęć natychmiastowego stanięcia ze swą osobliwą kochanką przed ołtarzem.

▶ Cóż to był za ślub…

Wyspiański zaczął działać w kierunku realizacji swych zamiarów. Niektórzy lubujący się w sensacji biografowie podają, że ślub odbył się w tajemnicy, co jednak jest całkowitą bajką. Wszystko działo się zupełnie jawnie na oczach oburzonych/rozbawionych/zdegustowanych krakowian. W sierpniu trzy razy ogłoszono zapowiedzi w Kościele Mariackim, więc wkrótce całe miasto wiedziało o hecy, jaka się szykuje. Kolejne życzliwe persony wzywały narzeczonego do opamiętania, ten jednak prezentował upartość godną osła. Doszło nawet do tego, że gdy artysta pojawił się w wybranym na miejsce uroczystości kościele św. Floriana, by dopełnić przedślubnych formalności, proboszcz wziął go na stronę i długo tłumaczył głupotę decyzji. Na nic się to zdało.

Ślub zawarto 18 września 1900 roku. Kościół św. Floriana pękał w szwach od żądnych sensacji gapiów. Krewni pana młodego usiłowali jak najmniej rzucać się w oczy, a przyjaciele wykazywali entuzjazm godny raczej ceremonii pogrzebowej niż małżeńskiej. Jak wspomnieliśmy, Lucjan Rydel zalał się wręcz łzami. Wedle zachowanych relacji płakał również sam Stanisław, choć świadkowie spierali się później, czy z powodu świadomości, jaki krzyż bierze sobie na ramiona, czy ze szczęścia. O odczuciach i zachowaniu Teodory Teofili źródła milczą.

Nie ucichły jeszcze w Krakowie plotki oraz śmichy, gdy familia Wyspiańskiego dostrzegła iskierkę nadziei – na początku października małżeństwo Stacha okazało się nieważne! Otóż pan młody zataił przed proboszczem fakt bycia ojcem chrzestnym dwójki zrodzonych z Teodory Teofilii dzieci – Teodora i Helenki (jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, autor „Wesela" był ojcem chrzestnym własnej córki!), co oznaczało, iż między młodymi istniała więź pokrewieństwa duchowego uniemożliwiająca zawarcie małżeństwa! Jeśli Stankiewiczowa poczuła ulgę, to na krótko, bo już 10 października nasz bohater wystosował prośbę o dyspensę do arcybiskupa krakowskiego Jana Puzyny, ten zaś jej udzielił. 17 listopada odbyła się prywatna ceremonia odnowienia

eprasa.pl b4d0954c29

przysięgi małżeńskiej, a w grudniu Wyspiański oficjalnie potwierdził, że jest biologicznym ojcem Heleny, dopełniając podobnych formalności także względem Teodora, z którego spłodzeniem nie miał wszak nic wspólnego.

Przyjaciele Wyspiańskiego zgodnie pogardzali jego żoną, uznając ją za skończoną prostaczkę. Uczucie to było zresztą odwzajemnione, bo w opinii Teodory Teofilii młodopolscy artyści stanowili bandę darmozjadów i leni, których należałoby pogonić do uczciwej roboty. Z powodu tej antypatii mało brakowało, a nie doszłoby nawet do napisania „Wesela"! Oto bowiem gdy 20 listopada 1900 roku ślub z Jadwigą Mikołajczykówną brał Lucjan Rydel, to przyszły pan młody zaproszenie na uroczystość i późniejszą zabawę wystosował wyłącznie do Stacha. Wyspiański tak się zapieklił, że zapowiedział zbojkotowanie wydarzenia, co było o tyle kłopotliwe, że autor „Nocy listopadowej" wcześniej zgodził się być świadkiem przyjaciela! Rydel musiał przepraszać kobietę, której nie cierpiał, i zaprosić ją do uczestnictwa w najważniejszym dniu swego życia! Stach dał się udobruchać i Wyspiańscy 20 listopada pojawili się w Kościele Mariackim, a potem pojechali na tańce do Bronowic.

2 grudnia 1901 roku przyszło na świat ostatnie dziecko dziwnej pary – syn Stanisław. Autor „Wesela" swoje potomstwo kochał do szaleństwa i nieustannie je rozpieszczał. Jak po latach wspominała Helena, jedyną osobą w domu, która próbowała narzucić dzieciarni dyscyplinę, była Teodora Teofila, robiąc to jednak na chłopską modłę, tj. łojąc pociechom tyłki. Ale tylko wtedy, gdy mąż nie patrzył. Prócz tego owa wiejska baba, choć niepiśmienna, okazała się całkiem dobrze znać na finansach. Stach podarował jej drewnianą malowaną kasetkę na pieniądze i ten symboliczny gest dobrze oddawał porządki panujące w małżeństwie. Rękę na pieniądzach trzymała Wyspiańska i tak gospodarzyła budżetem, że rodzinie wystarczało na wszystko. Był to olbrzymi postęp w stosunku do kawalerskich czasów artysty, niejednokrotnie chadzającego wówczas w dziurawych butach. Zachował się nawet list Wyspiańskiego do dyrekcji Teatru Miejskiego, w którym dramatopisarz, powołując się na wolę małżonki, stawia żądanie wyższych tantiem od spektakli „Wesela". Dodać należy, że nasz bohater swoją żonę kochał miłością szaleńczą, której prawdopodobnie ona sama nie rozumiała, i jak miały pokazać późniejsze zdarzenia – raczej nie podzielała. Kupował jej barwne stroje ludowe, korale, pierzyny i wszystko to, co rozradować mogło serce prostej baby. Godzinami mógł słuchać jej, skądinąd ponoć nieprzyjemnego, głosu, nucącego dzieciom przyśpiewki ludowe. Wśród przyjaciół mówił o niej z czułością. Można zatem uznać, że wbrew wszystkim przeciwnościom artysta był w owym osobliwym stadle szczęśliwy. Niestety, sielanka miała okazać się krótka…

„Niech nikt nad grobem mi nie płacze"

W 1905 roku uśpiony dotychczas syfilis Wyspiańskiego przeszedł do ataku. Choroba dokonywała błyskawicznych postępów, ciało artysty pokrywały jątrzące się wrzody, infekcja zaczęła też pustoszyć mózg, tak że tymczasowo trzeba było odwieźć go z objawami psychozy do szpitala dla nerwowo chorych. Szczęśliwie umysł Stacha szybko wrócił do zdrowia – w przeciwieństwie do cielesnej powłoki, która dosłownie zaczęła się rozkładać za życia.

Wedle relacji krewnych i znajomych chorego Teodora Teofila w owej chwili próby zawiodła całkowicie. Ciotka Stankiewiczowa odwiedziwszy synowca, ze łzami w oczach opowiadała, iż cierpiący męki Stanisław był nieustannie wyzywany, szarpany i prawie że bity przez połowicę. Ją samą dawna posługaczka wyrzuciła za drzwi. Inne świadectwa są równie ponure. Gdy Wyspiański leżał trawiony wysoką gorączką, małżonka lekceważyła jego stan, bo nie potrafiła odczytać skali na termometrze. Listy przysyłane przez przyjaciół niegodziwa kobieta przechwytywała, a że była analfabetką i nie potrafiła zapoznać się z ich treścią, paliła je w piecu! Kiedy druhowie Wyspiańskiego zebrali większą sumę na leki i przesłali je przyjacielowi, dołączając kilogram kawioru, mającego – jak wówczas wierzono – właściwości wzmacniające organizm, Teodora Teofila za pieniądze kupiła sobie futro, a kawior… zeżarła za jednym posiedzeniem! Chyba najbardziej wstrząsające w tym wszystkim są opowieści o wlewaniu umierającemu mężowi siłą do gardła wódki i innych alkoholi. Poddawany tym torturom Stanisław był abstynentem, jednak jego połowica słynęła z zamiłowania do mocnych trunków. W mieszkaniach, które zajmowali, walały się zawsze flaszki po piwie, a teraz w obliczu kryzysu prostaczka piła jeszcze więcej niż zwykle.

Nieszczęsny artysta w desperacji szukał ratunku w zmianie klimatu. W roku 1906 zakupił posiadłość ziemską w podkrakowskich Węgrzcach, gdzie przeniósł się z rodziną. Początkowo rzeczywiście poczuł się lepiej, ale możliwe, że był to efekt placebo. Wkrótce choroba uderzyła ze zdwojoną siłą. Stanisław prawie stracił możliwość samodzielnego poruszania się, ledwie mówił, mógł jeść pokarmy wyłącznie o konsystencji płynnej, a gdy chciał swą słabnącą ręką coś napisać lub narysować, należało

eprasa.pl b4d0954c29

usztywnić mu kończynę deską, a pióro lub ołówek przywiązać do dłoni. Każdy ruch sprawiał mu ból, podobnie jak każde słowo wydobywające się z owrzodziałego gardła. Wychudły, pokryty ropiejącymi ranami, z zapadłą chrząstką nosową, ten urodzony nie tak dawno mężczyzna teraz przypominał rozkładające się zombie.

Tymczasem Teodora Teofila ostatecznie postawiła krzyżyk na umierającym małżonku i jak się zdaje, zupełnie jawnie zaczęła go zdradzać z jurnymi wiejskimi chłopakami. Wskazuje na to relacja Karola Frycza z ostatnich dni lata 1907 roku. W posiadłości Wyspiańskich odbywała się wówczas zabawa dożynkowa, na którą oprócz miejscowego chłopstwa przybyli też z Krakowa krewni i przyjaciele chorego. Wyspiański całkiem przykuty do łóżka, kazał posadzić się w fotelu i przenieść na miejsce tańców. Siedział tam niczym widmo śmierci, śledząc spojrzeniem chorobliwie rozszerzonych źrenic igrce wiejskie ludu. Wśród bawiących się była jego żona. Dawna posługaczka, odziana w pyszny strój krakowski wywijała hołubce, zupełnie nie bacząc na męża. Jak zapisał Karol Frycz, w pewnej chwili stanęła ostentacyjnie przed umierającym, po czym dała się porwać w ramiona parobka i znikła w tłumie. Scena ta zszokowała krakowskich gości. Stankiewiczowa widząc, jak poniża się jej synowca, załkała z rozpaczy, a karykaturzysta Kazimierz Sichulski, człowiek słynący raczej z cynizmu niż empatii, zerwał się ze swego fotela, opuścił towarzystwo i pieszo pomaszerował do Krakowa, by nikt nie widział emocji grających na jego twarzy!

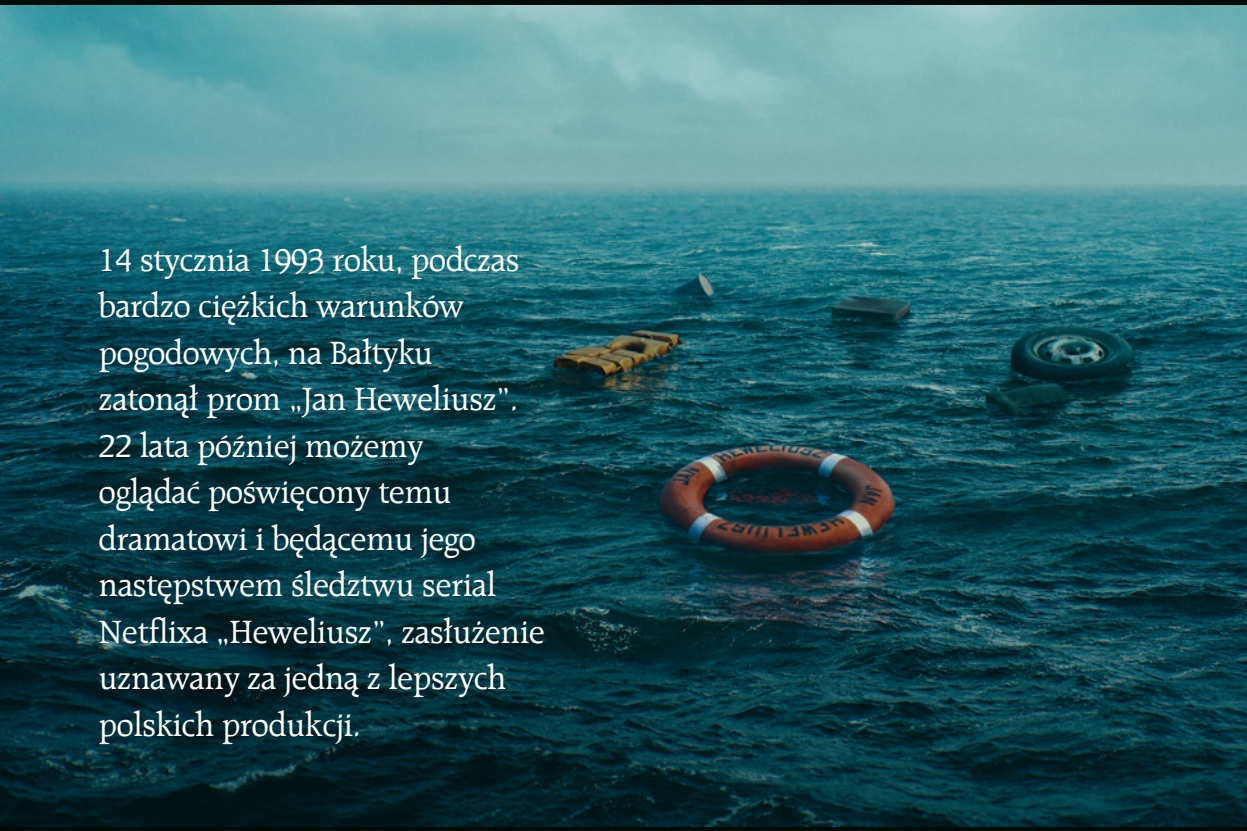
Jeśli Teodora Teofila ograniczała w ostatnich dniach życia Stanisława swą niewierność wyłącznie do obściskiwania się w tańcu z parobczakami, to od dnia pamiętnych dożynek nie musiała długo czekać na to, by móc pozwolić sobie na więcej. 14 listopada 1907 roku stan Wyspiańskiego pogorszył się do tego stopnia, że w trybie pilnym wpółprzytomnego trzeba było odwieźć do krakowskiego szpitala prowadzonego przez doktora Rutkowskiego. Agonia trwała następne dwa tygodnie. 28 listopada zaledwie 38-letni Wyspiański skonał. 2 grudnia pochowano go z wielką pompą na Skałce. I tylko Feliks Jasieński, do końca wspomagający Stacha, ze złością zanotował, że krakowscy filistrzy najpierw zaszczuli najwybitniejszego artystę swoich czasów, a teraz się te „swojskie Peryklesy" okrywają żałobą.

Sam zmarły, swego czasu, znając skłonność krakowian do hucznych pogrzebów i przewidując los swoich zwłok, napisał: „Niech nikt nad grobem mi nie płacze / krom jednej mojej żony". Kreśląc te słowa, nie przypuszczał nawet, że Teodora Teofila niczym fredrowska Podstolina lać łzy po mężu będzie bardzo krótko. Oto bowiem od śmierci męża nie minął jeszcze rok, gdy 23 listopada 1908 roku w Krakowie gruchnęła wieść, że wdowa po Wyspiańskim bierze huczny ślub! Jak donosił „Tygodnik Ilustrowany": „Wdowa [...] zatęskniła za słodyczami życia małżeńskiego, które w rozumieniu wieśniaczym zasadzają się na pomocy w prowadzeniu gospodarstwa domowego i wspólnej pracy na roli, toteż jej wybór padł obecnie na wieśniaka, który nie żywi wprawdzie tak szczytnych ideałów, jak pierwszy mąż, i nie zyska sobie takiej sławy w społeczeństwie, ale za to ma silną dłoń do pracy i szczerą do niej ochotę. Przy jego boku będzie wieśniaczce się snuła spokojniej nić żywota, niż przy boku uczonego męża, którego ideałów swym prostym rozumem pojąć nie mogła, ani też do nich wznieść".

28 LISTOPADA 38-LETNI WYSPIAŃSKI SKONAŁ. 2 GRUDNIA POCHOWANO GO Z WIELKĄ POMPĄ NA SKAŁCE. FELIKS JASIEŃSKI ZE ZŁOŚCIĄ ZANOTOWAŁ, ŻE KRAKOWSCY FILISTRZY NAJPIERW ZASZCZULI NAJWYBITNIEJSZEGO ARTYSTĘ SWOICH CZASÓW, A TERAZ SIĘ TE „SWOJSKIE PERYKLESY" OKRYWAJĄ ŻAŁOBĄ.

Wybrankiem Teodory Teofili został młodszy o dziesięć lat parobek Wincenty Waśko. W przeciwieństwie do Stacha nie kochał połowicy, do ślubu zmusiła go rodzina żądna pozostałych po zmarłym dwudziestu jeden morgów. Pożycie pary okazało się katastrofą, która zrujnowała im życie. Do tego wdowa po Wyspiańskim tak szybko zdradziwszy pamięć wybitnego męża, stała się obiektem pogardy i wrogości ze strony krakowskiej inteligencji. Żyć miała jeszcze długo, bo zmarła dopiero w roku 1957. Dopiero na stare lata pojęła geniusz małżonka i to, jak wielkie szczęście miała, że obdarzył ją uczuciem i wytrwał w nim mimo wszelkich przeciwności. I choć rzeczywiście do jego ideałów nigdy się nie wzniosła, to ostatecznie oddała mu hołd na swój prosty sposób – ucząc się „Wesela" na pamięć. ■

eprasa.pl b4d0954c29



14 stycznia 1993 roku, podczas bardzo ciężkich warunków pogodowych, na Bałtyku zatonął prom „Jan Heweliusz”. 22 lata później możemy oglądać poświęcony temu dramatowi i będącemu jego następstwem śledztwu serial Netflixa „Heweliusz”, zasłużenie uznawany za jedną z lepszych polskich produkcji.



Krzysztof Karnkowski

„Jan Heweliusz” i bezlitosne lata 90.

Heweliusz" to serial bardzo dobry, a jednocześnie trudny do oglądania. Zderzamy się w nim z wielkim ludzkim nieszczęściem, którego konsekwencją staje się niewiele od niego mniejsza niesprawiedliwość. Sceny dramatu, zrealizowane w konwencji kina katastroficznego na najwyższym poziomie, mieszają się z dramatem sądowym i szaro-niebieską rzeczywistością polskiej zimy sprzed trzech dekad, z czasów chaotycznej transformacji, której „Heweliusz" jest mocnym oskarżeniem.

Nieco o samym twórcy

Jan Holoubek jest twórcą, który nie boi się oskarżać nie tyle ludzi (choć bohaterów, którzy świętymi nie są), co czasy, które ukazuje. I tak właściwie jest przez całą jego drogę artystyczną, może z wyjątkiem jego debiutu. Krótkometrażowego filmu „Pocztówki z krainy absurdu", pieczołowicie stylizowanego na szwedzki reportaż z nieistniejącej Polski, w której po zerwaniu przez stronę solidarnościową rozmów przy Okrągłym Stole w najlepsze trwa zamordystyczny, mocno zacofany technologicznie PRL, świętujący właśnie (film powstał w 2014 roku) swoje 70-lecie. Można narzekać na pewną schematyczność czy naiwność, choć i tu debiut Jana Holoubka wypada lepiej niż poruszający się w podobnych rejonach serial Agnieszki Holland „1983". Jest konsekwentny w swej kreacji, co podkreśla jeszcze wykorzystany, specjalnie na jego potrzeby napisany, utwór popularnego rapowego duetu PR0BL3M, który u Holoubka rapuje nie o paleniu marihuany i szalonych imprezach, a beznadziei, piciu wódki, rozpuszczalniku i strzykawkach. I już tu widać talent w ukazywaniu czasów nieodległych, które jednak musiały w pewnym stopniu urodzonego w 1978 roku reżysera kształtować.

Jego późniejszy „Rojst" rozgrywał się odpowiednio w 1984, 1997 roku, a w ostatnim sezonie w dwóch planach czasowych – w 1999 roku i w latach 60. „Rojst" miał swoje mankamenty, jednak dość ciekawie pokazywał opisywane czasy, tworząc ambitną i wiarygodnie dla współczesnego widza umieszczoną w tych czasowych kontekstach opowieść. Już tam widzieliśmy czujne obserwacje społeczne, w których zaszłości historyczne zderzały się z lokalną korupcją, chciwością właścicieli III RP czy uwikłaniem w układy lokalnych władz i mediów. O krok dalej Holoubek poszedł w „Wielkiej wodzie", nawiązującej już nie tylko do pamięci o czasach i ich klimacie, a więc również narastającej nostalgii do epoki tzw. duchologii, czyli momentu transformacji ustrojowej, uchwyconego w kulturze, estetyce, modzie itd., lecz także odwołującej się do wspomnienia o konkretnych, dramatycznych wydarzeniach – powodzi stulecia, jaka nawiedziła południową Polskę w 1997 roku. Choć do serialu konserwatywna krytyka zgłaszała swoje zastrzeżenia (przede wszystkim do postaci bezkompromisowej hydrolog, jakby skrojonej pod oczekiwania współczesnych platform streamingowych i ich inżynierii społecznej), a i niektóre z historii bohaterów wydawały się mało przekonujące, reżyser trzymał jednak swój poziom. Między tymi serialami powstał jeszcze jeden film – oskarżenie III RP, „25 lat niewinności. Sprawa Tomasza Komendy", wyemitowany również jako serial. I tu Jan Holoubek mógł sprawnie pokazać realia epoki, tym razem samego przełomu wieków. Przed „Heweliuszem" był jeszcze szpiegowski „Doppelgänger. Sobowtór" z akcją umieszczoną w PRL i ukazujący złożoną operację komunistycznych służb instalujących we Francji agenta, posługującego się skradzioną tożsamością zaginionego po wojnie niemieckiego dziecka.

Ta historia to nie tylko oskarżenie III RP

Katastrofa promu „Jan Heweliusz" wydarzyła się w nocy z 13 na 14 stycznia 1993 roku na Morzu Bałtyckim, podczas rejsu ze Świnoujścia do Ystad. Prom, przewożący 64 osoby załogi i pasażerów, znalazł się w bardzo trudnych warunkach pogodowych – silnemu sztormowi towarzyszyła niska temperatura – i przewrócił się, a następnie zatonął. Zginęło 55 osób; uratowało się jedynie dziewięć, wyłącznie spośród członków załogi. Przebieg trwającej kilka godzin katastrofy źródła w rodzaju Wikipedii opisują dość szczegółowo na podstawie świadectw ocalałych i meldunków oraz zeznań marynarzy innych znajdujących się w pechowym rejonie promów. Już wkrótce po tragedii pojawiły się wątpliwości co do jej przyczyn: wskazywano na błędy konstrukcyjne jednostki, niewłaściwe zabezpieczenie ładunku, przeciążenie promu oraz decyzję o wyjściu w morze mimo złych prognoz. Postępowania wyjaśniające ciągnęły się latami i nigdy nie doprowadziły do jednoznacznego, personalnego rozliczenia winnych, co sprawiło, że katastrofa „Heweliusza" stała się jednym z najbardziej symbolicznych przykładów nierozliczonej tragedii początku transformacji ustrojowej.

Wkrótce po dramacie rozpoczęło się szukanie winnych. Serial pokazuje, jak w imię interesów armatora (przedstawianych przez polityków jako „ochronę miejsc pracy") i instytucji państwa (tu nie będę wchodził w szczegóły, by nie opowiedzieć wszystkiego tym, którzy jeszcze serialu nie widzieli) rozpoczyna się nagonka na załogę, a zwłaszcza na niemogącego się już

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl b4d0954c29

bronić kapitana, którego w serialu gra Borys Szyc. Tym samym „Heweliusz" oskarża państwo nie tylko o dopuszczenie do tragedii, lecz także o ponowne skrzywdzenie ludzi, którzy mieli za sobą najgorszy koszmar w swoim życiu, własną traumę i śmierć przyjaciół. Ich rodziny dopiero po latach uzyskują jakieś resztki sprawiedliwości przez trybunałem w Strasburgu. Co znaczące, pozew wdów po zmarłych członkach załogi bezskutecznie próbowały podważyć polskie władze. Lecz ta historia to nie tylko oskarżenie III RP. Jak mówi publicysta „Tygodnika Solidarność" Marek Nowak, serial jest również jej demitologizacją. Według Nowaka „Heweliusz" jest wielką krytyką liberalnej wizji państwa jako mechanizmu i społeczeństwa jako organizmu. „Zamiast rządów merytokratycznych – mówi Marek Nowak – widzimy więc rządy ludzi o mentalności małych cwaniaczków, a procedury istnieją na zasadzie nieistotnego ozdobnika. Holoubek pokazuje, że tam, gdzie państwo abdykuje, nie pojawia się nagle pusta przestrzeń, lecz wchodzą różne podejrzane typy, które zaczynają realizować swoje mniejsze lub większe geszefciki, korzystając i pasożytując właśnie na tej słabości państwa. Co więcej, silne państwo ma narzędzia, których może używać w sytuacji kryzysów zewnętrznych. Państwo słabe samo się ich pozbawia, więc gdy pojawia się kryzys, zostaje mu jedynie podstawowe narzędzie każdego państwa – czyli aparat przemocy. »Heweliusz« pokazuje, że słabość państwa może być dobrym silnikiem napędzającym jego brutalność. Takie państwo w praktyce swojego działania będzie często funkcjonować w paradygmacie siły wobec słabych i słabości wobec silnych" – konkluduje Nowak. A my możemy zapytać się, czy ten opis nie jest niepokojąco aktualny, gdyby przyłożyć go nie tylko do największych dramatów, jakie rozegrały się po 1989 roku, lecz także do coraz większej liczby aspektów naszego życia codziennego. Znakomicie zrobiony serial, poruszający jednak bardzo trudne tematy, sprzyja niewesołej refleksji.

fii, a napięcia między poszczególnymi postaciami, a także grupami postaci (marynarze, rodziny ofiar, armator, wymiar sprawiedliwości) ukazane są bardzo wiarygodnie. I, co nie jest już zaskoczeniem, składają się na przygnębiający obraz, w którym nawet szlachetne zrywy niektórych bohaterów (tu warto zwrócić uwagę na postać żony zmarłego kierowcy, Anety, graną przez Justynę Wasilewską, i stopniową zmianę jej nastawienia wobec całej sytuacji, w której życie przewidziało dla niej jeden z bardziej bezlitosnych scenariuszy) zdają się iść na marne w zderzeniu z bezlitosnym systemem.

Odkąd pojawiły się zapowiedzi serialu, wróciło też zainteresowanie tematem samej katastrofy. Powstają audycje radiowe, podcasty, temat żywy przez lata głównie w miastach związanych z morzem, przywrócony został ogólnonarodowej pamięci.

> UDAŁO SIĘ WIERNIE ODMALOWAĆ REALIA EPOKI, RÓWNIEŻ OD STRONY SCENOGRAFII, A NAPIĘCIA MIĘDZY POSZCZEGÓLNYMI POSTACIAMI, A TAKŻE GRUPAMI POSTACI (MARYNARZE, RODZINY OFIAR, ARMATOR, WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI) UKAZANE SĄ BARDZO WIARYGODNIE.

Wiarygodne, smutne realia epoki

Dodajmy, że jak zawsze udało się wiernie odmalować realia epoki, również od strony scenogra-

Kolejne lata 90., czyli „Niebo. Rok w piekle"

Na koniec trzeba wspomnieć, że „Heweliusz" nie jest jedynym serialem popularnym na początku 2026 roku, pochylającym się nad latami 90. HBO nadaje swój serial „Niebo. Rok w piekle", oparty na historii działającej w tamtych czasach niesławnej sekty Niebo Bogdana Kacmajora. Podobne czasy, podobne realia, kilka nazwisk aktorów łączą oba seriale. Inaczej jednak niż produkcja Netflixa, „Niebo" rozkręca się powoli, z odcinka na odcinek zwiększając dawkę grozy i przemocy na ekranie. W kontekście tej opowieści warto odnotować ukazanie Kościoła katolickiego jako kontrapunktu dla grupy Kacmajora i miejsca, do którego jako schronienia odwołuje się najpierw matka otumanionego przez sektę chłopaka, a później również on sam. Serial oparty jest na wspomnieniowej książce Sebastiana Kellera „Niebo. Pięć lat w sekcie". Kellera na ekranie odtwarza Stanisław Linowski, a postać wzorowaną na Bogdanie Kacmajorze, lecz wizualnie będącą raczej jego zaprzeczeniem – Tomasz Kot. „Niebo. Rok w piekle" nie będzie zapewne aż tak wielkim wydarzeniem jak „Heweliusz", jednak warto obejrzeć i tę produkcję. ■

eprasa.pl b4d0954c29

Marek Kalinowski

Gęsi w ruinach rock'n'rolla

Do nowego albumu Geese zaglądamy z poczuciem, że gdzieś już to słyszeliśmy. Na końcu jest wręcz przeciwnie – czegoś takiego jeszcze nie było. Płyta „Getting Killed" porywa od pierwszej nuty i po raz kolejny wywraca rock'n'roll do góry nogami.

Zanim album „Getting Killed" młodych nowojorczyków z zespołu Geese wyląduje w odtwarzaczu i uderzy dźwiękiem, na wstępie prowokuje samym obrazem. Wcześniej trzeba jednak przyzwyczaić wzrok, bo postać z okładki w pierwszej chwili wydaje się nieco rozmazana. Sfotografowana pod światło, na tle błękitnego, bezchmurnego nieba, w jednym ręku trzyma trąbkę, a w drugiej rewolwer – naładowany i wymierzony prosto w odbiorcę. Za chwilę przekonamy się, że obraz wcale nie kłamie. Warto podkręcić dźwięk mocniej niż zwykle i zapiąć pasy, bo muzyka Geese zabierze nas na szaloną przejażdżkę, często szorując po bandzie.

Za każdym razem gdy wydaje nam się, że w muzyce rockowej już absolutnie wszystko zostało opowiedziane, pojawia się właśnie taka płyta, która znowu wywraca wyświechtaną konwencję do góry nogami – zdecydowanie bardziej otwierając nowe perspektywy, niż wyciskając z niej ostatnie soki.



Geese, GETTING KILLED, Partisan Records

Pierwsze, leniwe dźwięki gitary i perkusji zupełnie jakby wyszły z zapomnianej płyty Radiohead, niespodziewanie przechodząc w ostry pasaż gitar i trąbki. Utwór „Cobra" powoli rozkręca się niczym beatlesowskie „Here Comes The Sun". Z kolei w tytułowym „Getting Killed" ma się nieodparte wrażenie, że już za chwilę usłyszymy znajomy głos Jacka i Meg White z niezapomnianej płyty „Elephant", tak na marginesie – płyty, która 20 lat temu również wywróciła rock'n'roll do góry nogami. Czy to zabieg celowy, czy zupełny zbieg okoliczności? A może naturalna reakcja słuchaczy, którzy próbują oswoić nową muzykę, wpisując ją w mapę tego, co znają? Faktem jest jednak, że z kimkolwiek bym rozmawiał o płycie „Getting Killed", to zawsze najpierw pojawiają się jakieś skojarzenia, czasem z Radiohead, czasem z The Rolling Stones – za każdym razem inne. I nie ma w tym absolutnie nic zdrożnego, bo Geese, choć wychodzą od tego, co znane, to biegną już dalej, w sobie tylko znanym, pionierskim kierunku.

„Getting Killed" prowokuje dziesiątki razy, ale przecież ta muzyka była taka od początku. To bezkompromisowy, spuszczony z cugli rock'n'roll, konwencja przekazana kolejnemu pokoleniu, które zagospodarowuje ją na własny użytek. I tak jak Jack White na wspomnianej płycie „Elephant" nonszalancko śpiewał „Nie wiem, co ze sobą zrobić", tak teraz wokalista Geese, Cameron Winter, niezwykle celnie puentuje album słowami: „Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Nadchodzę!". Nie cel jest tu ważny, lecz droga.

Nowy album Geese nie uszedł uwadze Nicka Cave'a, który na łamach swojego bloga „Red Hand Files" uznał otwierający utwór za optymistyczny i wyzwalający, przy okazji dowcipnie łącząc swoje refleksje na temat płyty z barokowym obrazem Melchiora de Hondecoetera, na którym gęsi robią harmider na tle antycznych ruin. Z optymizmem bym nie przesadzał, choć gitarowa, prowokująca muzyka Geese bardzo koresponduje z tym, co przez ostatnie 30 lat robił właśnie Nick Cave z przyjaciółmi z The Bad Seeds.

Chaotyczne, wieloznaczne, podszyte czarnym humorem teksty Camerona Wintera i spółki to też nie żadna poza, lecz raczej naturalna reakcja na szalone czasy, w których przyszło im dorastać. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl b4d0954c29



Upadek Maduro pokazał słabości Chin

Hanna Shen



eprasa.pl b4d0954c29

W dobie zaostrzającej się rywalizacji geopolitycznej między Stanami Zjednoczonymi a Chinami, Ameryka Południowa stała się kluczowym polem działań. Pekin, dążąc do ustanowienia chińsko-centrycznego porządku globalnego, regularnie inwestował w ten region, aby ograniczyć wpływy Waszyngtonu. Inicjatywa Nowego Jedwabnego Szlaku oraz sojusze z lewicowymi reżimami, takimi jak w Wenezueli, miały na celu uczynienie kontynentu strategicznym wsparciem dla chińskich ambicji. Jednak operacja wojskowa USA w Wenezueli w styczniu tego roku, podczas której schwytano Nicolasa Maduro, pokrzyżowała te plany, ujawniając gospodarcze, polityczne i militarne słabości Pekinu.

Chińska obecność w Ameryce Łacińskiej zyskała na intensywności na początku XXI wieku. Pekin, dostrzegając w tym regionie zarówno źródło surowców naturalnych, jak i potencjalny rynek zbytu, zaczął inwestować miliardy dolarów w infrastrukturę, górnictwo oraz energetykę.

▶ Chiny w Ameryce Płd.: od inwestycji do dominacji

Z danych wynika, że Chiny stały się drugim co do wielkości partnerem handlowym Ameryki Łacińskiej, wyprzedzając Unię Europejską. Wartość handlu między Chinami a kontynentem wzrosła z 12 mld dolarów w 2000 roku do ponad 450 mld w 2025 roku. Kluczowym elementem tej ekspansji jest Nowy Jedwabny Szlak (NJS), chińska inicjatywa, do której przystąpiło 21 krajów latynoamerykańskich, w tym Wenezuela, Brazylia i Argentyna. Jednak cel Pekinu wykracza poza czysto ekonomiczne interesy. Jak podkreśla Miles Yu, były doradca ds. Chin w Departamencie Stanu USA, oraz dyrektor China Center w amerykańskim think tanku Hudson Institute, Ameryka Południowa dostarcza Pekinowi nie tylko zasoby, lecz także możliwości inwestycyjne oraz tereny pod infrastrukturę, a przez to uzależnia państwa tego kontynentu od Chin.

Yu wskazuje, że Chiny konsekwentnie deklarują swoje wsparcie dla narodów Ameryki Łacińskiej w obliczu ingerencji i sankcji, jednak jest to jedynie część szerszej narracji antyamerykańskiej. Pekin wykorzystuje Kubę i Wenezuelę jako strategiczne platformy oraz dywersje: bazy wywiadowcze, propagandowe i operacyjne, mające na celu osłabienie przywództwa USA, a także ochronę Komunistycznej Partii Chin (KPCh) przed „pokojową ewolucją" i globalnym oporem, które Pekin postrzega jako najpoważniejsze egzystencjalne zagrożenie dla swojego monopolu władzy. Bill Gertz, dziennikarz „Washington Times" specjalizujący się w kwestiach bezpieczeństwa narodowego, podziela tę ocenę. Dodaje, że chińska ekspansja w regionie stanowi element globalnej kampanii, w której Wenezuela odgrywa rolę „Iranu Ameryki Łacińskiej" – sponsora chaosu, mającego na celu odciągnięcie USA od Indo-Pacyfiku, gdzie Chiny budują sztuczne wyspy w Morzu Południowochińskim, grożą Tajwanowi i rozwijają swoją flotę oceaniczną.

Reżim Maduro wspierał kartel narkotykowy oraz masową migrację, w wyniku której miliony Wenezuelczyków uciekły do USA. Dodatkowo nawiązał sojusze z Rosją, zezwalając na stacjonowanie rosyjskich bombowców, oraz z Iranem, poprzez

FOT. MIGUEL GUTIERREZ/PAP/EPA

eprasa.pl b4d0954c29

wymianę technologii dronowych. Te działania wprowadzały chaos na „podwórku" Ameryki – od granicy z Meksykiem po Karaiby, gdzie chińskie inwestycje w porty i infrastrukturę w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku mogły posłużyć jako bazy logistyczne dla marynarki Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Pekin marzył o utworzeniu baz na Karaibach, co umożliwiłoby mu zakłócanie dostaw z Zatoki Meksykańskiej. Gertz podkreśla, że te działania są częścią „globalnej kampanii" Pekinu, mającej na celu budowanie multipolarnego świata, w którym USA mają być rozproszone, a Chiny mogą konsolidować swoje wpływy.

Pekin zainwestował w Wenezueli ponad 60 mld dolarów w zamian za ropę, co umożliwiło Maduro przetrwanie sankcji nałożonych przez USA. Ta strategia, polegająca na oferowaniu pożyczek bez narzucania warunków politycznych, instytucjonalnych czy związanych z prawami człowieka reżimom antyamerykańskim w regionie, miała na celu uczynienie Ameryki Południowej częścią chińsko-centrycznego porządku światowego, w którym Pekin dyktuje zasady handlu, polityki i współpracy wojskowej. Trump, usuwając Maduro, pokrzyżował te plany, znacząco podważając wiarygodność Chin.

▶ Kruchy model ekspansji gospodarczej ChRL

Amerykańska operacja w Wenezueli, która miała miejsce w nocy z 3 na 4 stycznia i doprowadziła do schwytania Nicolasa Maduro oraz jego żony, ujawniła fundamentalne słabości gospodarcze Pekinu w tym regionie. Chiny, przez lata budujące swoje wpływy dzięki inicjatywie Nowego Jedwabnego Szlaku oraz pożyczkom w zamian za surowce, okazały się wrażliwe na zewnętrzne interwencje, co podważyło ich model ekspansji ekonomicznej.

Wenezuela stała się dla Chin strategicznym partnerem w ramach schematu „pożyczek za ropę". Od 2005 roku Pekin udzielił Caracas ponad 60 mld dolarów w kredytach, z czego co najmniej 12 mld pozostaje niespłaconych. Ropa naftowa stanowiła ponad połowę dochodów fiskalnych Wenezueli, a Chiny kontynuowały jej zakupy nawet w obliczu sankcji nałożonych przez USA, spłacając długi dostawami surowca po cenach poniżej rynkowych. Operacja USA w Wenezueli to przejęcie przez Waszyngton kontroli nad sektorem naftowym, a tym samym przerwanie chińskiego łańcucha dostaw. Tuż po błyskawicznej akcji militarnej, supertankowce Chińskiej Republiki Ludowej, które miały odebrać ropę, zawróciły w obawie przed konfiskatą.

W całej Ameryce Południowej, gdzie Chiny pozyskują miedź (Chile, Peru), soję (Brazylia, Argentyna) i lit (Boliwia), amerykańska operacja ujawniła nie tylko, jak łatwo zewnętrzna interwencja może zakłócić łańcuchy dostaw, lecz także jak bardzo Pekin jest podatny na geopolityczne ryzyka. Sukces tej operacji osłabił również model NJS, na którym opierała się gospodarcza strategia Chin w Ameryce Łacińskiej. Pekin nie zdołał ochronić swoich inwestycji – chińskie projekty w rafineriach i infrastrukturze stały się bezużyteczne po zmianie reżimu, co poważnie podważa pozycję Chin w regionie. Kraje takie jak Brazylia, Peru. Chile czy Argentyna, które otworzyły się na chińskie inwestycje w energię (na przykład chińskie firmy kontrolują lub mają znaczący udział w sektorze dystrybucji energii elektrycznej w Chile i Brazylii) i porty (na przykład Chancay w Peru), mogą teraz dążyć do dywersyfikacji, obawiając się podobnych zakłóceń.

To jednak nie koniec problemów, z jakimi boryka się KPCh. Chińska gospodarka, spowolniona po pandemii oraz w wyniku napięć handlowych, jest niezwykle wrażliwa na zakłócenia w dostawach surowców. Analitycy zwracają uwagę, że jeśli Stany Zjednoczone zablokują chińskie roszczenia do wenezuelskiej ropy, Pekin może być zmuszony do umorzenia miliardów dolarów długu. Taki krok osłabiłby chińskie banki państwowe, główny filar stabilności całego systemu finansowego Chin.

▶ Polityczna klęska Pekinu: utrata wpływów i narracji

Upadek Nicolasa Maduro stanowi poważny regres polityczny dla Pekinu. Chiny straciły jednego ze swoich najwierniejszych sojuszników w Ameryce Łacińskiej – kraj, który przez dwie dekady był symbolem antyamerykańskiego oporu, modelem „socjalizmu XXI wieku" oraz kluczowym elementem chińskiej narracji o multipolarnym świecie. To wydarzenie niesie ze sobą istotne konsekwencje polityczne dla Pekinu: prowadzi do utraty wpływów w regionie, erozji prestiżu jako wiarygodnego partnera dla autorytarnych reżimów oraz osłabienia globalnej narracji o „pokojowym rozwoju" i obronie suwerenności.

Po operacji w USA nowy reżim (lub przejściowy rząd pod kontrolą Waszyngtonu) prawdopodobnie ograniczy chińską obecność i wpływy w regionie. Może to wywołać polityczny efekt domina, skłaniając inne lewicowe rządy, takie jak te w Boliwii, Nikaragui czy nawet w Brazylii pod rządami Luli, do kwestionowania wartości sojuszu z Pekinem. Jeśli Chiny nie były w stanie ochronić Maduro, mimo miliardowych inwestycji i dyplomatycznych gwarancji, to jak mogą zapewnić bezpieczeństwo in-

eprasa.pl b4d0954c29

nym „strategicznym przyjaciołom"? Raporty wskazują, że kraje Ameryki Łacińskiej już zaczynają postrzegać Pekin jako „słabego gracza", a nawet „papierowego tygrysa", zwłaszcza w kontekście ochrony bezpieczeństwa ich reżimów.

Zachwiana została także globalna narracja, którą od lat budują Chiny, przedstawiając siebie jako obrońcę suwerenności, zasad ONZ oraz multipolarnego świata wolnego od „hegemonicznych" interwencji USA. Reakcja Pekinu na działania Stanów Zjednoczonych była ostra: Ministerstwo Spraw Zagranicznych potępiło Waszyngton za „hegemoniczne akty", „naruszenie suwerenności" oraz za działanie jako „światowy policjant" czy „światowy sędzia". Jednak ta narracja straciła na wiarygodności. Pekin sam ingeruje w sprawy wewnętrzne swoich partnerów, stosując pożyczki warunkowane kontraktami dla chińskich firm, technologię nadzoru oraz presję na uznanie Tajwanu jako części Chin. Kraje Ameryki Południowej dostrzegły również, że Chiny nie zaoferowały Maduro realnej pomocy militarnej ani logistycznej, mimo że ich specjalny wysłannik, Qiu Xiaomi, spotkał się z wenezuelskim dyktatorem zaledwie kilka godzin przed operacją USA. To ujawniło hipokryzję Pekinu, który deklaruje wsparcie, ale unika konfrontacji z USA. W regionie oraz na Globalnym Południu wielu obserwatorów dostrzega teraz wyraźną różnicę: USA działają zdecydowanie, podczas gdy Chiny ograniczają się do słów. Jednak ta narracja straciła na wiarygodności. Wzmocniona natomiast została amerykańska narracja o „uzupełnieniu Trumpa do doktryny Monroego", ogłoszona w amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, która jasno stwierdza, że USA wracają do roli strażnika na Półkuli Zachodniej, a Chiny i Rosja muszą się wycofać.

▶ Militarne słabości Chin : Nieskuteczne systemy i brak projekcji siły

Najbardziej dotkliwą lekcją, jaką Chiny mogą wyciągnąć z amerykańskiej operacji w Wenezueli, jest ta dotycząca aspektów wojskowych. To dotychczas najsilniejszy dowód na militarne słabości Chin w erze wielkiej rywalizacji. Pekin, mimo ogromnych inwestycji w modernizację Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW), ujawnił swoje kluczowe ograniczenia: nieskuteczność systemów obronnych, brak realnej projekcji siły oraz niedostatek doświadczenia w starciach z zaawansowanym przeciwnikiem w warunkach rzeczywistych.

Wenezuela została wyposażona w chiński system radarowy JY-27A, dostarczony przez China Electronics Technology Group Corp. System ten, określany jako „anty-stealth", rzekomo potrafił wykrywać amerykańskie samoloty F-22, F-35 oraz B-2/B-21 z odległości do 500 km, a także był odporny na zakłócenia i wysoko mobilny. Pekin promował go jako kluczowy element obrony przed technologią stealth (niskiej wykrywalności) w kontekście potencjalnego konfliktu z USA, na przykład nad Tajwanem czy Morzem Południowochińskim. W rzeczywistości jednak, podczas operacji amerykańskich, chiński system radarowy nie zdołał wykryć nadlatujących sił USA, w tym tych wyposażonych w technologię stealth. Co więcej, został on wyłączony lub zakłócony w pierwszych minutach przez amerykańską operację SEAD (Suppression of Enemy Air Defenses), która obejmowała kombinację cyberataków, elektronicznego zakłócania (jamming) oraz precyzyjnych uderzeń.

Bill Gertz w artykule na łamach „Washington Times"opisał to jako „upokarzające unieważnienie" chińskiego systemu, który miał być niezawodny. Chińska narracja o „przewadze technologicznej" ChALW legła w gruzach.

Jednak największą militarną słabością Chin, ujawnioną przez atak Trumpa na reżim Maduro, jest brak zdolności do projekcji siły na dużą odległość. Choć chińskie siły to imponujące liczby – największa flota na świecie, setki nowoczesnych myśliwców – to brak im doświadczenia w operacjach dalekiego zasięgu poza Azją Wschodnią, globalnej sieci baz, lotniskowców z realną grupą bojową i wreszcie brak im zdolności do szybkiego przerzutu sił specjalnych, lotnictwa taktycznego czy logistyki na dystansie 10–15 tys. km (jak USA z bazy w USA do Caracas w kilka godzin). W przypadku Wenezueli Chiny nie mogły ani wysłać grupy lotniskowców (ze względu na zbyt dużą odległość i niską prędkość), ani przeprowadzić ewakuacji Maduro czy personelu, zapewnić osłony powietrznej, a nawet zaryzykować wysłania samolotów zwiadowczych lub tankowców.

Słabości militarne Chin, ujawnione w Wenezueli, to nie pojedynczy incydent, lecz systemowy problem. Pekin inwestuje miliardy w Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą, jednak operacja USA pokazała, że ilość nie zawsze przekłada się na jakość w starciu z zaawansowanym przeciwnikiem. Dowodzi też, że koszty i ryzyko, jakie Pekin poniesie w przypadku inwazji na Tajwan, będą ogromne. Eksperci z amerykańskich think tanków, takich jak CSIS i Atlantic Council, podkreślają, że chińskie systemy A2/AD (w tym HQ-9 oraz radary JY-27 i JY-27A) mogą zostać podobnie jak w Wenezueli „unieważnione" w pierwszych godzinach konfliktu w Cieśninie Tajwańskiej. ■

eprasa.pl b4d0954c29



Antoni Rybczyński

Bałtycka Linia Obrony. Jak Estonia, Łotwa i Litwa chcą się bronić przed Rosją

Północny odcinek granicy Estonii z Rosją wyznacza rzeka Narwa. Na jej zachodnim brzegu leży miasto o tej samej nazwie, zaś po drugiej stronie Iwangorod. Naprzeciw siebie wznoszą się średniowieczne fortece: jedna pod rosyjską flagą, druga pod estońską. Pomiędzy nimi znajduje się most. To tutaj może rozpocząć się inwazja Rosji na kraje bałtyckie: pełnoskalowa albo tylko hybrydowa (tzw. scenariusz narwiański, czyli zajęcie miasta przez „zielone ludziki"). Czy Stany Zjednoczone, Francja, Włochy lub Wielka Brytania zaryzykują wtedy – zwłaszcza w tym drugim scenariuszu – wojnę z Rosją z powodu małego miasta w maleńkiej Estonii na wschodnim krańcu NATO?

FOT. WIKIMEDIA

Kilka miesięcy po pełnoskalowym ataku rosyjskim na Ukrainę władze Estonii oświadczyły, że plan NATO dotyczący obrony krajów bałtyckich zakłada, iż te trzy małe państwa mogą zostać szybko podbite przez Rosję i wyzwolone dopiero po 180 dniach. W tym czasie Estonia zostanie „wymazana z mapy" – powiedziała ówczesna premier kraju Kaja Kallas. Dlatego Estończycy, Łotysze i Litwini zamierzają bronić każdego metra kwadratowego swego terytorium. Obecna strategia – zakładająca jak największy udział własny w wojnie – zakłada opór już samej granicy, tak aby zadać najeźdźcy jak największe straty i ograniczyć własne straty terytorialne do momentu przyjścia wystarczająco dużej odsieczy sojuszników, by odrzucić Rosjan. Oczywiście plany obronne trzech krajów nie są identyczne, choćby z powodu różnic w potencjale ludnościowym i położeniu geograficznym. Stopień zaawansowania w przygotowaniach też jest różny, co nie zmienia faktu, że Tallin, Ryga i Wilno starają się stworzyć jak najbardziej jednolity blok obronny.

Trzy filary obrony

„Wnioski z wojny Rosji na Ukrainie sugerują, że małe, przygotowane państwa mają obecnie większe niż kiedykolwiek szanse na uniemożliwienie większym, lepiej uzbrojonym przeciwnikom osiągnięcia ich celów militarnych dzięki nieodłącznej przewadze obronnej. Szczególnie trzy wnioski z pola walki rosyjsko-ukraińskiej miały znaczący wpływ na plany obronne krajów bałtyckich" – czytam w grudniowej analizie European Council on Foreign Relations (ECFR).

Ukraina wykorzystała gęste pola minowe, wielowarstwowe przeszkody, roje tanich dronów i artylerię z wyprzedzeniem, aby zwiększyć i umocnić długotrwałą dominację obrony nad ofensywną wojną manewrową. Takie taktyki mogą zatrzymać formacje zmechanizowane, a otwarte tereny Estonii, Łotwy i Litwy – zalesione, ale płaskie, z ograniczoną liczbą dróg dla sił zmechanizowanych – mogą stać się śmiertelną pułapką dla najeźdźcy. Estonia, wraz z Łotwą, Litwą i Polską, ogłosiła plany wycofania się z konwencji o zakazie stosowania min przeciwpiechotnych. Jak oświadczyli ministrowie obrony tych krajów, pozwoli im to „bardziej elastycznie" chronić swoje granice. Litwa już wcześniej wycofała się z międzynarodowej konwencji o zakazie stosowania amunicji kasetowej.

Inwazja Rosji na Ukrainę pokazała, jak masowy ostrzał (na przykład artyleria i pociski dalekiego zasięgu) w połączeniu z wcześniejszym namierzaniem znanych celów, wykrywaniem w czasie rzeczywistym za

eprasa.pl b4d0954c29

pomocą dronów i radarami przeciwbateryjnymi może zdziesiątkować nawet duże kolumny pancerne. Niedawne inwestycje, zwłaszcza Estonii, w nowoczesne systemy artyleryjskie i precyzyjne pociski pokazują, że poważnie traktuje się potrzebę modernizacji takich zdolności, nawet w obliczu nasilenia działań wojennych z użyciem dronów. Uwagę zwraca zapowiedź zwiększenia sprzedaży krajom bałtyckim przez USA systemów i amunicji HIMARS i ATACMS – co ma znacznie zwiększyć siłę ognia dalekiego zasięgu na wschodniej flance NATO. Poza tym ważną rolę w strategii obronnej mają odgrywać drony i amunicja krążąca. Tanie drony z widokiem z pierwszej osoby (FPV) mogą niszczyć czołgi; amunicja krążąca może nękać linie zaopatrzeniowe; małe bezzałogowe statki powietrzne zapewniają stały nadzór.

Wszystkie trzy elementy (umocnienia i pola minowe, artyleria, drony) mają być filarami Bałtyckiej Linii Obrony – czyli budowanego przez Estonię, Łotwę i Litwę na granicy z Rosją i Białorusią pasa potężnych umocnień. Stałe fortyfikacje są rozsądnym i opłacalnym pomysłem, zwłaszcza dla słabszych krajów. Zwiększają przeżywalność i skuteczność oddziałów obrońców, utrudniają mobilność i logistykę wroga oraz pozwalają oszczędzać siły ludzkie i zasoby. Jak pokazały pierwsze dni wojny na Ukrainie, nie trzeba wiele, aby wykoleić i zakłócić działania rosyjskich kolumn pancernych.

Bałtycka Linia Obrony

19 stycznia 2024 roku w Rydze trzy kraje bałtyckie ogłosiły wspólnie zamiar budowy linii obronnej wzdłuż lądowych granic z Rosją i Białorusią. Ministrowie obrony wskazali dwa główne powody przyjęcia takiej koncepcji. Pierwszym z nich był komunikat NATO ze szczytu w Madrycie w 2023 roku, w którym potwierdzono, że sojusz będzie walczył o każdy metr swojego terytorium. Proponowana linia obrony odzwierciedla zamiar państw bałtyckich, aby potraktować tę obietnicę poważnie. Po drugie, brak znacznej głębi geograficznej. Państwa bałtyckie uważają, że nie mogą oddać terytorium, co oznacza uznanie, że muszą być przygotowane do przeciwstawienia się rosyjskiej inwazji od pierwszych chwil po naruszeniu granic. Można dodać również trzeci oczywisty punkt: w obliczu rosyjskich zbrodni na Ukrainie rządy państw bałtyckich nie mogą być postrzegane jako porzucające swoje społeczeństwa na pastwę Rosjan ani też nie chcą tego robić. Dla państw bałtyckich oddanie ziemi oznacza oddanie ludności – zwłaszcza dla Estonii i Litwy, które mają duże ośrodki ludnościowe na granicy lub w jej pobliżu, takie jak Narwa i Wilno. Pod tym względem Łotwa znajduje się w nieco lepszej sytuacji, ponieważ jej najbardziej na wschód wysunięta prowincja Łatgalia jest również jedną z najsłabiej zaludnionych.

Estonia oszacowała, że od 2025 roku zbuduje 600 bunkrów – nie tylko liniowo, lecz także w głębi – wraz z punktami wsparcia i liniami dystrybucyjnymi. Ten kraj ma najkrótszą granicę z wrogiem, na dodatek w większości wodną (jeziora Pejpus i Pskowskie oraz rzeka Narwa). Granice Łotwy i Litwy z Rosją i Białorusią nie mają takich naturalnych barier i są dłuższe. Jeśli te dwa kraje chcą mieć podobną gęstość umocnień co Estonia, musiałyby zbudować, odpowiednio – Łotwa 1116 bunkrów, Litwa 2758. Oczywiście nasycenie bunkrami nie będzie takie samo na całej granicy, ponieważ nie każda jej część jest równie przydatna dla inwazji, która z konieczności wymaga dróg i linii kolejowych. Tam będzie koncentracja umocnień. Taka linia obronna (oprócz bunkrów pola minowe, rowy przeciwczołgowe, „zęby smoka") ma hamować ofensywę Rosji, podczas gdy artyleria uderzy w tyły i logistykę wroga, tak aby miał trudności z rozmieszczeniem sił naprzeciw linii obronnej, nie mówiąc już o bezpośrednim ataku na nią. Zakup przez Łotwę, Litwę i Estonię wyrzutni rakietowych HIMARS i ATACMS (dalekosiężnych pocisków kierowanych o zasięgu do 300 kilometrów) pokazuje, że państwa bałtyckie poważnie podchodzą do kwestii posiadania zdolności do przeprowadzania dalekosiężnych ataków.

Obecnie najbardziej zaawansowana w budowie Bałtyckiej Linii Obrony jest Estonia. W grudniu na południowo-wschodnim odcinku granicy z Rosją rozpoczęła się instalacja pierwszych bunkrów. Podziemne konstrukcje mają przede wszystkim chronić żołnierzy przed bezpośrednimi trafieniami amunicją artyleryjską kalibru 152 mm, której używają wojska rosyjskie, jak również częściowo przed możliwym atakiem dronów. Zgodnie z harmonogramem wszystkie z planowanych obiektów mają zostać ukończone do końca 2027 roku. Pierwotnie zakładano, że większość bunkrów powstanie do końca 2026 roku, ale pojawiły się problemy administracyjne związane m.in. z wykupem gruntów od właścicieli terenów, przez które przebiega ufortyfikowana linia. W połowie 2025 roku rozpoczęto też kopanie rowów przeciwpancernych. Plan umocnienia granicy Estonii z Rosją zakłada budowę strefy obronnej o długości około 100 km i szerokości około 40 km w głąb terytorium kraju. Nieco głębsza – 50 km – ma być strefa obronna na Litwie. Bezpośrednio przy granicy znajdowałaby się jej pierwsza warstwa – o głębokości 5 km – składająca się z szerokiego rowu przeciwczołgowego, wzmocnionego „zębami smoka", a następnie polami minowymi, punk-

eprasa.pl b4d0954c29

tami oporu i okopami. Druga warstwa obejmowałaby okopy oraz mosty przystosowane do wysadzenia, a trzecia warstwa byłaby usiana drzewami gotowymi do ścięcia w celu utworzenia przeszkód, a także kolejnymi okopami i mostami przystosowanymi do wysadzenia.

W walce kluczowi są ludzie

Linia Obrony Bałtyckiej będzie przydatna w spowolnieniu rosyjskiej ofensywy, odparciu niewielkich rosyjskich najazdów i zapewnieniu niewielkiego stopnia odstraszania przed agresją. Jednak podstawą obrony będą rezerwy ludzkie. Siły Estonii w czasie wojny szacuje się na około 43 tys. żołnierzy sił lądowych, w tym jedną ciężką (opancerzoną lub lekką zmechanizowaną) brygadę i jedną lekką brygadę piechoty. Połowa tych sił byłaby gotowa do walki w ciągu pierwszych 12–24 godzin, a kolejne oddziały dołączałyby do walki w ciągu drugiego dnia. W ciągu 36 godzin Estonia mogłaby prawdopodobnie zaangażować obie swoje brygady w walkę, w której uczestniczyłoby około 25–35 tys. żołnierzy. Łotwa i Litwa dysponują po jednej ciężkiej brygadzie i dodatkowymi siłami piechoty. NATO zmobilizowałoby również swoje siły Enhanced Forward Presence Battlegroups w krajach bałtyckich, oferując co najmniej kilka ciężkich batalionów i ewentualnie kolejną brygadę. Ponadto Polska w razie potrzeby mogłaby zapewnić kilka dodatkowych jednostek zmechanizowanych i artyleryjskich, chociaż ich przybycie mogłoby potrwać dłużej niż 24 godziny.

W ciągu kilku minut od przekroczenia granicy przez siły rosyjskie myśliwce NATO w Ämari (Estonia), Lielvarde (Łotwa) i Šiauliai (Litwa) mogłyby zareagować. W ramach misji Baltic Air Policing w tych trzech lokalizacjach stacjonuje od czterech do 12 samolotów, które mogłyby natychmiast rozpocząć atak na pozycje rosyjskie. Po uzyskaniu zezwolenia, prawdopodobnie w ciągu kilku godzin, do walki mogłyby dołączyć samoloty sojusznicze z krajów skandynawskich i Polski, zapewniając osłonę powietrzną, wczesne ostrzeganie oraz atakowanie rosyjskich linii logistycznych i zaopatrzeniowych. Państwa nordyckie i Polska dysponują łącznie 17 eskadrami myśliwców, co daje ponad 200 samolotów. Gdyby połowa z nich zareagowała na inwazję na Estonię, NATO dysponowałoby co najmniej 100 samolotami myśliwskimi, co wystarczyłoby do osiągnięcia lub przekroczenia parytetu z siłami powietrznymi Rosji. Uniemożliwiłoby to Rosji osiągnięcie przewagi w powietrzu. Operacje morskie Rosji wspierające jej działania lądowe są mało prawdopodobne. Flota Bałtycka mogłaby grozić atakami na wybrzeże, ale każdy desant morski byłby samobójstwem na morzu zdominowanym obecnie przez NATO po przystąpieniu do sojuszu Finlandii i Szwecji.

Celem krajów bałtyckich jest nie tylko zbrojne zahamowanie postępów wroga do czasu nadejścia posiłków. Ważna jest też ochrona ludności cywilnej, zwłaszcza że te kraje nie mają dużych populacji, łącznie 6,2 mln osób (Litwa – 2,9 mln, Łotwa – 1,9 mln, Estonia – 1,4 mln). Dlatego przygotowują plany ewakuacji setek tysięcy obywateli z terenów graniczących z Rosją. W maju 2025 roku uzgodniły współpracę w dziedzinie obrony cywilnej. Na Litwie planowana jest ewakuacja połowy ludności mieszkającej w odległości 40 km od granic Rosji i Białorusi (około 400 tys. osób). Estonia przygotowuje schroniska dla jednej dziesiątej ludności (około 140 tys. osób). Inni znaleźliby dach nad głową u krewnych. Wśród potencjalnych ewakuowanych znalazłoby się około dwóch trzecich mieszkańców 50-tysięcznej Narwy. Łotwa zakłada, że w przypadku ataku domy opuściłaby jedna trzecia ludności – czyli 630 tys. osób. W ten sposób łącznie ponad milion osób może stać się przesiedleńcami. Żadne z państw bałtyckich nie planuje ewakuacji ludności za granicę. Trasa na Przesmyk Suwalski – wciśnięty pomiędzy Rosję i Białoruś pas ziemi, oddzielający Litwę od Polski – będzie przeznaczona dla wojska.

Estonia: mała silna armia

Od lutego 2022 roku planowanie obronne i gotowość bojowa stały się priorytetem w krajach bałtyckich. W związku z tym rosną mocno wydatki na ten cel. Rząd Estonii zwiększył wydatki na obronność do około 5 proc. PKB, przeznaczając na ten cel ponad 10 mld euro do 2029 roku. Dzięki tym środkom estońskie siły zbrojne (EDF) stają się jedną z najsilniejszych małych armii w Europie. Obecna koncepcja obronna Estonii opiera się na trzech filarach: pierwszym z nich jest przewaga artylerii. Estonia zakupiła południowokoreańskie samobieżne haubice K9, systemy HIMARS o większym zasięgu (w ramach wspólnych zakupów krajów bałtyckich) oraz zgromadziła duże zapasy amunicji. Drugim filarem jest obrona powietrzna i przeciwdziałanie dronom. Koncentruje się ona na wspólnym zakupie przez Estonię i Łotwę baterii IRIS-T oraz stworzeniu zaawansowanych systemów obrony przed dronami wzdłuż wschodniej granicy. Estonia zwróciła się również z wnioskiem o rozmieszczenie baterii Patriot NATO i poszukuje innych sposobów wzmocnienia swojej obrony powietrznej, zwłaszcza przed pociskami balistycznymi. Trzecim filarem jest całkowita obrona poprzez mobilizację społeczeństwa. Ochotnicza Liga Obrony (Kait-

eprasa.pl b4d0954c29

seliit), licząca ponad 38 tys. członków, zapewnia natychmiastową obronę terytorialną i zdolność do oporu w miastach. W przypadku ataku zewnętrznego ta rezerwowa siła uzupełniałaby estońskie siły czynne, liczące około 7 tys. osób, oraz kolejne 40 tys. obywateli, którzy przeszli szkolenie wojskowe, ale nie mają przypisanej roli wojskowej. Ogółem Estonia ma około 85 tys. obywateli przygotowanych i gotowych do mobilizacji.

Okres obowiązkowej służby wojskowej od 2027 roku zostanie wydłużony do 12 miesięcy i obejmie wszystkich poborowych. Obecnie w Estonii są dwa modele służby, w zależności od okresu powołania i przydziału do jednostek wojskowych, które trwają 8–11 miesięcy. Według dowódcy sił zbrojnych, gen. Andrusa Merilo, w nowym modelu najpierw podczas sześciomiesięcznego intensywnego szkolenia poborowi zapoznają się z obsługą systemów uzbrojenia, a przez kolejne sześć miesięcy będą odbywać ćwiczenia bojowe.

Wprowadzona od lipca 2025 roku w Estonii, w ramach tzw. podatku obronnego, podwyżka stawki VAT z 22 do 24 proc. przyniesie dodatkowy prawie 1 mld euro więcej na finansowanie inwestycji zbrojeniowych. Podwyżka VAT jest częścią pakietu podatkowego na rzecz obronności (w tym obejmującego także wyższe opodatkowanie niektórych dochodów), który ma przynieść łącznie prawie 2,5 mld euro dodatkowych środków w najbliższych latach. Wiosną tego roku rząd Estonii zdecydował, że począwszy od 2026 roku wydatki na obronność kraju będą na minimalnym poziomie 5 proc. PKB. Obecne krajowe nakłady na ten cel są na poziomie około 3,4 proc. PKB, a zaplanowane wydatki na sektor zbrojeniowy osiągnęły kwotę około 1,6 mld euro. W 2025 roku najwięcej (1 proc. PKB) wydano na zakup amunicji. W bazie wojskowej Ämari w nowo powstałym parku przemysłu zbrojeniowego otwarto pierwszy w kraju zakład produkcji materiałów wybuchowych.

▶ Bałtowie: więcej na zbrojenia

Koncepcja obrony narodowej Łotwy, zatwierdzona w 2023 roku, przewiduje, że liczebność Narodowych Siły Zbrojnych w czasie wojny powinna osiągnąć stan 61 tys. żołnierzy, w tym około 30 tys. rezerwistów. Podwojona ma być liczebność ochotniczej Gwardii Narodowej (Zemessardze) z 10 do 20 tys. ludzi. W 2023 roku przywrócono częściowo pobór do wojska (zawieszony w 2007 roku). Rekrutacja przeprowadzana jest w pierwszej kolejności wśród ochotników, a następnie, w przypadku niewystarczającej liczby chętnych, w drodze losowania. Obecnie Łotwa przeznacza na obronność około 3,5 proc. PKB, najwięcej w swojej historii. Celem jest osiągnięcie w najbliższych latach 5 proc.

W listopadzie ubiegłego roku zawarto umowę na zakup w Hiszpanii min przeciwpancernych C-5. Także z Hiszpanii w tym roku trafią na Łotwę pierwsze z zamówionych bojowych wozów piechoty ASCOD Hunter. Na początku stycznia rozpoczęto budowę na terenie Łotwy zakładu produkcji modułowych ładunków miotających do amunicji artyleryjskiej kalibru 155 mm. Docelowo ma produkować rocznie około 50 tys. sztuk ładunków prochowych. W budowę zakładu, zlokalizowanego w środkowej Łotwie, zaangażowane są koncerny zbrojeniowe z Włoch, Francji, a także Finlandii oraz Norwegii. Według harmonogramu linia montażowa ma ruszyć jesienią.

W sierpniu ubiegłego roku łotewskie wojsko przeprowadziło ćwiczenia pod kryptonimem „Bastiony", w ramach których jednostki inżynieryjne wykonywały zadania z budowy umocnień i przeciwdziałania mobilności armii agresora. W 2024 roku w Łatgalii, kilka kilometrów od granicy z Rosją, wojsko zaczęło składować tysiące ciężkich kamiennych, żelbetowych i metalowych elementów do budowy zapór przeciwpancernych i przeciwpiechotnych w ramach realizowanej Bałtyckiej Linii Obrony. Zapadła decyzja o rewitalizacji dawnych miejsc wydobycia torfu na wschodniej granicy kraju. Torfowiska i mokradła są naturalną barierą, a ich odbudowa może znacząco przyczynić się do wzmocnienia zdolności obronnych na wschodzie – poinformowało dowództwo sił zbrojnych we wrześniu 2025 roku.

W obronność inwestuje coraz więcej również Litwa. Rada Obrony Państwa pod przewodnictwem prezydenta uzgodniła w styczniu 2025 roku, że wydatki na ten cel w latach 2026–2030 będą sięgać 5–6 proc. PKB (w 2025 roku było około 4 proc.), w roku bieżącym 5,38 proc., czyli 4,8 mld euro. W listopadzie ubiegłego roku ogłoszono, że w ciągu trzech lat opracowany zostanie kosztem kilkuset milionów euro zintegrowany system obrony powietrznej, obejmujący litewskie siły zbrojne, straż graniczną i Służbę Bezpieczeństwa Publicznego. Przede wszystkim jednak Litwa szykuje się do szybkiego utworzenia swej pierwszej dywizji zmechanizowanej oraz rezerwy sił zbrojnych. Litewskie partie podpisały jeszcze w 2022 roku porozumienie, w którym zobowiązały się osiągnąć do 2030 roku czynną rezerwę liczącą do 50 tys. żołnierzy. Porozumienie przewiduje też m.in. wzmocnienie Litewskiego Związku Strzeleckiego, przygotowanie obywateli do stawiania oporu oraz utworzenie sił cybernetycznych w armii. ■

eprasa.pl b4d0954c29

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl

Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl

eprasa.pl b4d0954c29



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Fonte Colombo, czyli o „franciszkańskim Synaju”

eprasa.pl b4d0954e29



Dokładnie 800 lat temu – w styczniu – dał sobie przeprowadzić w tym miejscu operację oczu. Bez znieczulenia. Pozwalając chirurgowi z pobliskiego Rieti wypalać na żywym organizmie żyły: od oka aż po ucho. Zabieg przeżył. Przyznając po wszystkim, że nawet nie poczuł bólu. Wszak „Brat Ogień" wysłuchał jego prośby. Dziś we franciszkańskiej pustelni Fonte Colombo także nie słychać krzyków bólu ani cierpienia. Zamiast tego jest fenomenalne ukojenie.

Pustelnia św. Franciszka w Fonte Colombo. Właśnie tutaj Biedaczyna z Asyżu modlił się i pościł, aby usłyszeć z Nieba treść Reguły, która miała stanowić podstawę funkcjonowania zakonu.arcydzieła, przedstawiające m.in. polską księżniczkę, św. Kingę, czekają na odkrycie przez każdego, kto tu zajdzie.

FOT.

eprasa.pl b4d0954c29



Maleńka, acz wielka zarazem. Kapliczka św. Marii Magdaleny powala bogactwem sztuki i świadectwem historii. Wymalowane na ścianach XV-wieczne arcydzieła, przedstawiające m.in. polską księżniczkę, św. Kingę, czekają na odkrycie przez każdego, kto tu zajdzie.

Kierowca ponownie redukuje bieg. Przenikliwy warkot silnika wznosi się na wyższe tony niż dotychczas. Przyzwyczajeni do ciszy mieszkańcy okolicznych, przyklejonych do zielonego wzgórza, domków słyszą nas w tej chwili z całą pewnością. Oto głośny zwiastun tego, że północne zbocza wzgórza Rainerio próbuje pokonać jakiś człowiek. Przybysz, którego zazwyczaj raczej tu brakuje.

Porastające całą Dolinę Reatyńską dęby ostrolistne nadają okolicy wymiar zielonej baśni. Drzewo wszak nie gubi na zimę swych liści. Wąska asfaltowa droga wije się to w prawo, to w lewo, mijając połacie ciepło zielonego dywanu, gdzieniegdzie dodatkowo pokrytego porannomgielnym mlekiem.

Znajdujemy się 3 kilometry na południowy zachód od Rieti, największego miasta tego regionu. Regionu stanowiącego pogranicze północnego Lacjum i południowej Umbrii. Ta druga ze względu na fenomenalny procent zalesienia nazywana jest często „płucami Italii". Jesteśmy bardzo blisko geometrycznego środka całego Półwyspu Apenińskiego. Można by rzec, że stąd wszędzie jest jednakowo daleko. Albo jak ktoś woli: jednakowo blisko. Do Rzymu 60 kilometrów. Do Asyżu 70 kilometrów. Do wybrzeża Morza Tyrreńskiego 75 kilometrów. Do Adriatyku setka. A wszystko po górach – znajdujemy się przecież w samym sercu włoskiego kręgosłupa, jakim są Apeniny.

Apeniny, w których nikt za bardzo nie chce mieszkać. Bo ani tu pracy, ani przemysłu. Ani dobrych dróg, ani bezpieczeństwa wynikającego z częstych ruchów sejsmicznych. Pewnie dlatego z roku na roku coraz tu puściej. Gdy wreszcie zajeżdżamy na niewielki klasztorny parking usytułowany wśród drzew, widzimy same koty. Po człowieku ani śladu. Ponoć od czasu do czasu ktoś tu zajrzy. Zwykle są to ludzie, którzy już kiedyś to miejsce poznali. I pokochawszy, chcieli tu wrócić. A czasem to znający biografię świętego Franciszka pielgrzymi. Mający świadomość, dlaczego miejsce to nazywane jest Franciszkańskim Synajem.

Póki co zwierzęta od razu zwietrzyły okazję, że jest od kogo wyłudzić smakołyk. Nie odstępują nas na

eprasa.pl b4d0954c29



Proste i surowe wnętrze przyklasztornego kościółka w Fonte Colombo.

krok. Tak będzie aż do klasztoru. Tu nie wchodzą. Prawdopodobnie bracia nauczyli je poszanowania dla tego miejsca.

Reguła, którą potrzeba napisać

Zima przełomu 1222 i 1223 roku. Kamienny klasztor Fonte Colombo na wzgórzu Rainerio. Od dłuższego czasu do wracającego z pielgrzymki po Ziemi Świętej świętego Franciszka dochodziły słuchy o współbraciach, którzy czuli się zdezorientowani. Chcieli unormowania ich życia zakonnego. Napisania reguły, która uporządkuje ich codzienność oraz zasady życia we wspólnocie. Teraz, kiedy asyżski Biedaczyna zmaga się z chorobą oczu i wykończeniem organizmu wskutek odbytej wędrówki, przyszła pora na udzielenie współbraciom odpowiedzi i zadośćuczynienia ich prośbom. Swoje kroki Franciszek skierował właśnie tutaj. Do miejsca, w którym przed pięcioma laty ujrzał gruchające w górskim potoku gołębie. Ujęty ich widokiem, przystanął wówczas przy źródle, by po chwili zwrócić się do ptaków: „Wy, moje pierzaste siostrzyczki…". Wydarzenie to musiało mieć świadków, gdyż bardzo szybko dotychczasowa nazwa klasztoru – Monte Raniero – została zmieniona na Fonte Colombo: nazwę oznaczającą właśnie Źródło Gołębi.

Klasztor z całą pewnością wyglądał wówczas inaczej niż ten dzisiejszy. A i przybysz miał inne zwyczaje niż ci, którzy dziś tu – nielicznie, bo nielicznie, ale jednak – przybywają. Spał na ziemi. Zwykle w rozpadlinie pobliskiej skały. Podkładając sobie pod głowę kamienny głaz jako poduszkę. Jadł mało. A jeśli już, do posiłków dosypując sobie popiołu, aby jedzenie utraciło smak. I modlił się. Dużo się modlił.

Podczas jednej z modlitw otrzymał tajemniczy obraz. Zobaczył w nim samego siebie zbierającego z ziemi okruszyny chleba. By następnie móc je rozdzielać wielu zgłodniałym braciom, którzy stali wokół niego. Podczas wizji sam św. Franciszek nabrał jednak obawy, że podczas rozdawania tychże okruchów, część z nich może przelecieć mu przez palce. I właśnie wówczas usłyszał głos: „Franciszku, uczyń

FOT. ?

eprasa.pl b4d0954c29

z okruszyn jedną hostię dla wszystkich i daj spożywać pragnącym". Święty czym prędzej uczynił więc, jak nakazuje głos. Wtedy zobaczył, że niektórzy przyjmują pokarm z godnością i w sposób pobożny. Byli jednak i tacy, którzy gardzili otrzymanym pokarmem. Którzy za taką postawę zostali natychmiast napiętnowani poprzez zarażenie trądem.

Wybudzony z wizji zakonnik opowiedział wkrótce o całym zdarzeniu swoim współbraciom. Licząc na to, że może któryś z nich zdoła wytłumaczyć mu znaczenie tajemniczego objawienia. Niestety, współbracia świętego podobnie jak i on sam nie rozumieli sensu tej wizji. Następnego dnia, gdy Franciszek trwał na modlitwie, usłyszał głos z nieba: „Franciszku, okruszyny chleba z ubiegłej nocy oznaczają słowa Ewangelii, hostia jest Regułą, trąd zaś nieprawością".

Dla Biedaczyny z Asyżu znak był jasny. Niebo oczekuje Reguły, o którą prosili współbracia. To ona ma być zobaczoną w wizji hostią, którą karmić się będą głodni współbracia. Franciszek postanowił zabrać się do pracy.

Greka przed zakrystią

Wchodzę do ciemnego wnętrza przyklasztornego kościółka na wzgórzu Rainerio. Surowe, białe, otynkowane ściany. Wąska nawa prowadząca do ołtarza. Drewniana konstrukcja podtrzymująca dach. I niewiele ozdób na ścianach. Za ołtarzem zabytkowy drewniany pulpit do trzymania brewiarza podczas klasztornych modlitw tutejszych ojców franciszkanów. Na lewej ścianie wisi obszernych rozmiarów reguła zakonu. Obita w szklane ramy. Ta sama, którą kilkadziesiąt metrów stąd spisywał założyciel. Vis-à-vis niej ścianę zdobi drewniana płaskorzeźba. Także pamiątka tamtego wydarzenia. Płaskorzeźba przedstawia siedzącego z gęsim piórem brata Leona spisującego słowa wypowiadane przez klęczącego obok Franciszka. Na pniu drzewa widać objawiającego się świętemu Jezusa ze znakami męki na dłoniach. Trzymającego wzór zakonnej reguły. W tle zaś widać tłoczących się braci. To artystyczny komentarz rzeźbiarza do pamiętnego zachowania zakonników na wieść o tym, że święty zdecydował się spisać Regułę. Ale o tym zachowaniu dopiero za chwilę…

Obchodzę ołtarz wokoło. Dopiero z tej perspektywy widzę, że na drugim drewnianym pulpicie rozłożony jest brewiarz. Kolorowa ilustracja przedstawia objawiającego się apostołom Jezusa. Wszystko wydaje się być gotowe do odprawiania nabożeństwa. Jedynie ojca nie widać. Zachodzę do zakrystii.

Wejście przyozdabia czerwona litera tau. Tradycja mówi, że w pobliskiej kaplicy św. Marii Magdaleny zakonnikom udało się zachować ocalały „autograf" św. Franciszka. Który na pamiątkę tak ważnej wizji, jaką otrzymał na „franciszkańskim Synaju", wygrawerował na jej ścianie właśnie dziewiętnastą literę alfabetu greckiego. Dziś znaną światu jak rozpoznawalny znak duchowości franciszkańskiej.

Od nowa

Idąc za wskazaniami otrzymanymi w tajemniczej wizji Franciszek postanowił najpierw przeredagować i skrócić do zwięzłego tekstu dotychczasową Regułę. W tamtym czasie tworzyły ją obszernie zaczerpnięte z Pisma Świętego cytaty Ewangelii. Aby to uczynić zgodnie z wolą Nieba, Biedaczyna z Asyżu udał się na pobliskie wzgórze, aby tam wraz z dwójką towarzyszy pościć i modlić się, a następnie spisać założenia Reguły. Zebrane według tego, co Duch Święty miał świętemu podyktować na modlitwie. W ten sposób Reguła została ukończona. Zakonnicy zeszli z gór do Fonte Colombo, aby tu przekazać pismo na przechowanie wikariuszowi, bratu Eliaszowi.

Gdy wydawało się, że saga związana z napisaniem Reguły dla braci miała się ku końcowi i wkrótce będzie można udać się do Rzymu na audiencję do papieża Honoriusza, aby ten przyjął i zatwierdził dokument, któregoś dnia do Franciszka przyszedł przygnębiony brat Eliasz.

– Zgubiłem… – powiedział powoli, chowając wzrok pod siebie. – Nie mam pojęcia gdzie. Przeszukałem już wszystkie możliwe miejsca. Nigdzie jej nie ma.

– Zgubiłeś naszą Regułę? – dopytał Franciszek, nie wierząc w to, co słyszy. Tyle godzin, tylu trudu, tyle starań i teraz… Nic, koniec, nie ma? – Na pewno wszędzie szukałeś, bracie Eliaszu?

– Na pewno… Nie mam już nawet pomysłu, gdzie mogłaby być. Przepraszam cię… – odpowiedział zakłopotany wikariusz generalny.

Jednak dla Franciszka to jasny znak. Skoro Bóg dopuścił takie wydarzenie, jak zagubienie dokumentu przez samego wikariusza generalnego, najwidoczniej Reguła nie była jeszcze doskonała. Trzeba napisać ją na nowo. Również tutaj, na zakonnym Synaju. Wśród przyprószonych śniegiem zielonych liści ostrolistnych dębów.

Schodząc do Sacro Speco

Pora wyjść z klasztornego kościółka i udać się na spacer wyboistym chodniczkiem okalającym wzgórze. Łatwo trafić. Wszędzie będą nas prowadzić drewniane drogowskazy. Jeden z nich głosi: Sacro Speco, czyli Święta Jaskinia. Tam idziemy.

Po drodze mijamy wspomnianą już kapliczkę św. Marii Magdaleny. Maleńka kapliczka pamięta jeszcze XII

eprasa.pl b4d0954c29

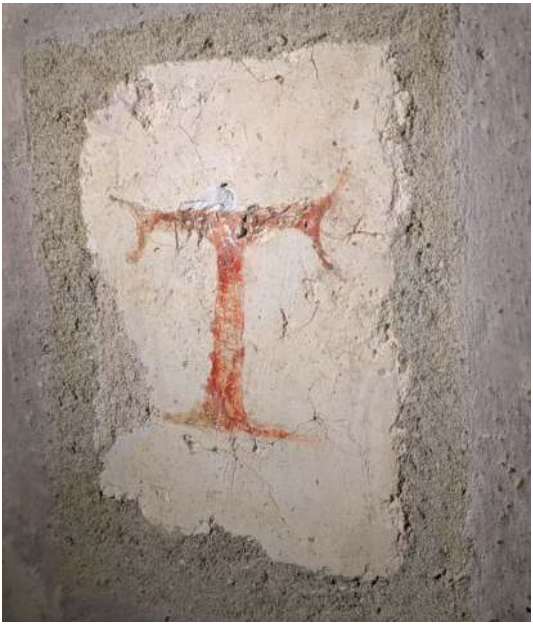


Dokładnie 800 lat temu św. Franciszek przybył do pustelni Fonte Colombo, aby po długich namowach przełożonych pozwolić sobie zoperować chore oczy.

wiek. Kiedyś funkcjonowała pod wezwaniem św. Cecylii. Dziś ze względu na znajdujący się w środku przecudowny fresk św. Marii Magdaleny została przemianowana na wezwanie tej, która jako pierwsza z ludzi zobaczyła Zmartwychwstałego. Fresk pochodzi z XV wieku i przedstawia św. Marię Magdalenę opatuloną w złoto lśniący płaszcz imitujący długie włosy. Wokół postaci narysowane są dwa anioły. Zaraz obok, niejako w prawym narożniku kapliczki, znajduje się kolejne XV-wieczne arcydzieło, na widok którego mocniej zabije polskie serce. Oto bowiem jeden z najstarszych znanych wizerunków polskiej księżnej. Święta Kinga, bo o niej mowa, przedstawiona jest w czerwono-bordowej szacie. Podtrzymując się lewą ręką stołu, prawą błogosławi. Długa, piękna szyja dodaje postaci majestatu. A zza misternie namalowanej twarzy wygląda złocista aureola. Kto by się spodziewał, że gdzieś w zapomnianym przez świat skrawku włoskich Apeninów znajdziemy taki skarb? W otwartej przez cały dzień kapliczce. Bez jakichkolwiek zabezpieczeń. Bez szklanych osłonek, mających ochronić fresk przed ciekawskimi palcami. Piętnastowieczne arcydzieło, dostępne dla każdego. Jasne, z zachowanymi kolorami. Niczym namalowane wczoraj.

Z tej kapliczki naprawdę trudno wyjść. Oko wciąż pragnie nacieszyć się majestatem wykończenia niewielkiego wnętrza. A nasz entuzjazm będzie już tylko wzrastał. Oto bowiem po lewej stronie maleńkiego ołtarzyka, tuż pod freskiem św. Klary, widać pokaźnych

eprasa.pl b4d0954c29



Na prawej ścianie kapliczki św. Marii Magdaleny znajduje się wygrawerowana przez św. Franciszka litera tau.?

rozmiarów czerwony znak. Grecką listerę. Tę, o której już tu wspominano jako o „autografie" samego św. Franciszka. To jego dzieło. To jego, własnoręcznie wygrawerowana litera tau. Historia trwa.

Kamienny bruk prowadzi w poprzek północnego zbocza wzgórza. Schodzimy coraz niżej aż wreszcie wąskie kamienne schodki sprowadzają nas do kamiennej celi. To właśnie tutaj św. Franciszek udał się, aby ponownie napisać Regułę, której poprzednią wersję zagubił gdzieś nieopatrznie brat Eliasz. Cela ma dwa poziomy, które dziś rozgranicza szklana podłoga. Niegdyś były to po prostu dwie komory tej samej skalnej jamy. W górnej części św. Franciszek oddawał się postom i modlitwie (przed figurą św. Michała Archanioła, którego to rzeźba nadal stoi w tym miejscu jako pamiątka po tamtym wydarzeniu), w dolnej spał.

Objawienie

Podczas rozważania Męki Pańskiej Franciszek usłyszał bardzo wyraźny głos. Zakonnik wyostrzył zmysły i pod natchnieniem spisał usłyszane słowa. To treść ostatecznej Reguły, której opracowaniem zajmował się przez ostatnie tygodnie. Reguły podyktowanej świętemu przez Niebo. Gdy uradowany zakonnik miał już spisany dokument, usłyszał odgłos kroków zbliżających się ku grocie. Po chwili dostrzegł zmierzających ku niemu braci. Na czele z ich przełożonym, bratem Eliaszem.

– Czego chcą owi bracia? – zapytał Biedaczyna wchodzącego do groty jako pierwszego brata wikariusza.

– To są ministrowie, którzy słysząc, że układasz nową Regułę, a bojąc się, abyś nie ułożył zbyt surowej, powiadamiają cię, że wyrażają swój sprzeciw, iż nie chcą być zobowiązani do jej zachowywania – namówiony przez współbraci Eliasz przekazał smutną nowinę Franciszkowi. – Napisz ją dla siebie, a nie dla nich.

W tym momencie stało się coś, co franciszkańska tradycja zachowała w formie pisemnie skompletowanego „Zbioru asyskiego" a której treść możemy do dziś przeczytać w rozdziale siedemnastym. „Wówczas błogosławiony Franciszek zwrócił swoją twarz w stronę nieba i tak odezwał się do Chrystusa: »Panie! Czy nie dobrze powiedziałem, że mi nie uwierzą?« Wtedy dał się słyszeć w powietrzu głos odpowiadającego Chrystusa: »Franciszku, niczego twego nie ma w Regule, lecz wszystko, co tam się znajduje, jest moje. I chcę, aby tę Regułę zachowywano ściśle co do litery i bez komentarza, bez komentarza, bez komentarza«".

W tym momencie na pobliskim dębie święty rozpoznał postać przemawiającego Mesjasza. Fragment drzewa zachowany jest po dziś dzień. Nadgryziony zębem czasu. To właśnie z tego drewna włoski artysta wystrugał wiszącą w kościele płaskorzeźbę przedstawiającą moment powstawania Reguły z szemrzącymi w tle braćmi i objawiającym się wśród gałęzi drzew Chrystusem. Pozostałość pnia nadal możemy podziwiać na miejscu w Fonte Colombo.

Dąb z karteczkami

W odróżnieniu od niedawno oglądanych fresków w kaplicy św. Marii Magdaleny fragment zmurszałego i mocno skamieniałego już przez czas pnia dębu został przez zakonników schowany wewnątrz murowanej kapliczki. Wyposażonej w wąskie tylko okienka. Na tyle wąskie, aby zmieściła się tam jedynie ręka chcąca wrzucić w okolice pnia karteczkę z intencjami. I rzeczywiście. Dębowy kikut otoczony jest przeróżnego koloru karteczkami oraz zdjęciami osób, za których pielgrzymujący w to miejsce pragną wznosić do Nieba modlitwę.

Tuż obok kamiennego przysiółka z cudownym dębem widać ewidentne wklęśnięcie w skale. Pewnie minąłbym ten fragment ściany masywu Rainerio zupełnie bezwiednie, gdyby nie znajdująca się wewnątrz niego drewniana tabliczka z napisem „Grotta di fratte Leone". Tak, to grota, w której odpoczywał brat Leon. Ten sam, który swego czasu tak skwapliwie notował niebiańskie wizje swojego przyjaciela, brata Franciszka.

Widok, jaki miał przed sobą wielebny brat Leon, był doprawdy oszałamiający. Pełniąca funkcję zakonnej celi skalista jama wyrzeźbiona jest w skalnej odsłonie,

eprasa.pl b4d0954c29

przez co panoramy z tego miejsca nie zasłania już żadne drzewo ani krzak. Widoki stąd zapierają dech w piersiach. Przecinająca wpół dolinę rzeka Salto malowniczo meandruje wokół wioskowych poletek regionu Rieti. To wpływając w las, to wypływając na tereny pastewne włoskich rolników. Tuż pod masywem urywa się, odbijając na wschód i oddając pola rozciągającej się w tym miejscu obszernej winnicy z uschniętymi o tej porze roku krzewami. Wszystko podświetlone przez nieco złagodniałe zimową aurą słońce jawi się wprost przepysznie. Można by tu siedzieć i siedzieć.

Wracając tą samą ścieżką do góry, w stronę klasztoru, dostrzegam wcześniej niezauważone drzwiczki. Prowadzą do bocznego pomieszczenia franciszkańskiego klasztoru. Podchodzę bliżej. I za chwilę wszystko się wyjaśnia. To miejsce pamiętnej operacji oczu, jaką na św. Franciszku przeprowadził swego czasu doktor z pobliskiego miasteczka Rieti. Wybitny specjalista w tej dziedzinie.

„Ludzie małej wiary!"

Za nic w świecie nie chciał tej operacji. Uważał, że nie jest konieczna. Ponadto odczuwał żywą niechęć do zajmowania się sobą. Tym razem jednak było się czym zajmować. Bolesnej dolegliwości oczu Franciszek nabawił się jeszcze podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej, gdy przebywał wśród krzyżowców. Z całą pewnością nie pomogła też mająca się wkrótce odbyć misja do Egiptu. Do Europy wrócił więc jako na wpół niewidomy. Od tamtej pory z jego oczu obficie wylewała się ropa. Franciszek tracił wzrok. Ale i tak na operację nie dawał się namówić.

Brat Eliasz zmusił więc Franciszka do wizyty u lekarza w Foligno, ale podjęte tam leczenie nie przyniosło rezultatów, co tylko utwierdziło zakonnika w przekonaniu, że słusznie opierał się próbom leczenia. Wtedy do akcji wkroczył kardynał Hugolin. Zaprosił Franciszka do Rieti, gdzie mieszkał wybitny chirurg, specjalista od chorób oczu, członek dworu papieskiego. Franciszek szanując kardynała nie chciał mu się sprzeciwić. A tym bardziej swemu przełożonemu, bratu Eliaszowi, który pod posłuszeństwem nakazał operację.

Był początek stycznia 1226 roku – zatem równo 800 lat temu. Franciszek przebywał akurat w Fonte Colombo. Tutaj, gdzie ledwie trzy lata temu Biedaczyna z Asyżu spisywał Regułę dyktowaną mu przez Jezusa, gdzie na pobliskim dębie widział Jego postać. Gdzie przeżył próbę buntu współbraci bojących się zaostrzenia zakonnych zasad. Tym razem to on miał przeżyć podobną próbę. Wiedziony posłuszeństwem wobec przełożonych stawił się na operacji.

Do Fonte Colombo współbracia zawieźli Franciszka na koniu. Gdy opuszczał ukochany kościółek św. Damiana pod asyżskimi murami, przyjaciele zarzucili mu uszyty specjalnie na tę okazję kaptur. Oczy zaś przewiązali lniano-bawełnianą opaską. By osłonić Franciszka przed światłem słonecznym, którego jasność sprawiała mu wielki ból. W pustelni na Franciszka oczekiwał lekarz. Miał dokonać kauteryzacji – zabiegu polegającego na wypaleniu rozżarzonym węglem zatok – od ucha aż do brwi.

W izbie chwilowo zaadaptowanej na potrzeby przeprowadzenia zabiegu rozpalono ogień. Chirurg przygotowywał narzędzia, które podgrzane, rozpaliły się do czerwoności. Współbracia, nie wytrzymując napięcia, opuścili izbę. Wtedy Franciszek zwrócił się do ognia. – Bracie ogniu, Pan cię stworzył szlachetnym i użytecznym dla wszystkich stworzeń. Bądź dla mnie życzliwy tej godziny, gdyż zawsze cię kochałem i będę się starał nadal to czynić z miłości do Pana, który cię stworzył. Proszę więc naszego wspólnego Stwórcę, aby złagodził twój żar, bym mógł go znieść. – Po czym uczynił nad ogniem znak krzyża.

Stojący w pobliżu zamkniętych drzwi bracia oczekiwali z niecierpliwością na koniec operacji. Ku swemu zdziwieniu nie usłyszeli jednak żadnych krzyków ani nawet stęknięcia. Gdy chirurg dał znać, że zakończył, zakonnicy wpadli do izby. W blasku wciąż tlącego się ognia pacjent odezwał się do zebranych: – Bojaźliwi! Ludzie małej wiary! Dlaczego uciekliście? Mówię wam, naprawdę nie odczuwałem żadnego bólu ani nawet żaru ognia. Jeśli nie jest dobrze przypalone, niech lekarz zacznie od nowa, jeszcze dokładniej!

Lekarz rzeczywiście potwierdził współbraciom, że podczas zabiegu Franciszek nawet się nie poruszył. Sam chirurg uważał to za cud. Pooperacyjna rana – ślad wypalenia żarem – sięgała od ucha aż do brwi. Medyk miał nadzieję, że wypalenie wszystkich żył sprawi, że ropa przestanie wyciekać. Za kilka tygodni okazało się, że niestety nie miał racji. Zabieg nie przyniósł poprawy. Franciszek stopniowo tracił wzrok.

Dobre miejsce

Historia ta wydarzyła się właśnie za tymi drzwiczkami. Tuż obok kaplicy św. Marii Magdaleny. Tak pięknej i wzruszającej dla nas, Polaków. Na tyłach kościółka, do którego już samo wejście sprawia, że człowiek zaczyna orientować się, że przeszedł w jakiś inny wymiar. Że to wzgórze, ta pustelnia, te wiecznie zielone drzewa, skrzypiące wiaderko od studni na klasztornym dziedzińcu – że to wszystko jest ze sobą zharmonizowane. Sprawiające, że człowiek siłą rzeczy czuje się tu naprawdę dobrze. Jak zresztą we wszystkich franciszkańskich miejscach. I nie jestem wyjątkiem… ■

eprasa.pl b4d0954c29

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny

Opublikowany przez amerykańską Komisję Kongresową ds. Relacji USA–Chiny (CECC) raport dotyczący praw człowieka oraz wolności religijnej w Chińskiej Republice Ludowej w 2025 roku potwierdza narastające represje w tym kraju, szczególnie w obszarze wiary. Dokument wskazuje, że komunistyczne władze Chin wciąż ograniczają możliwość swobodnego tworzenia i praktykowania wierzeń religijnych przez jednostki i grupy, narzucając zamiast tego strukturę życia religijnego opartą na lojalności wobec Komunistycznej Partii Chin (KPCh) oraz jej rządu. Raport opisuje skoordynowaną kampanię, prowadzoną przez kluczową agencję KPCh, Departament Pracy Frontu Zjednoczonego, mającą na celu indoktrynację duchownych w ramach tzw. ścisłego zarządzania religią – koncepcji zakorzenionej w wezwaniu Xi Jinpinga z 2015 roku do „sinizacji" religii. Kampania ta służy dostosowaniu wszystkich doktryn i praktyk religijnych do ideologii KPCh.

Komisja zauważa, że edukacja teologiczna we wszystkich oficjalnie uznawanych religiach w Chińskiej Republice Ludowej jest przekształcana w taki sposób, aby zapewnić polityczną wiarygodność przyszłym liderom religijnym związanym z KPCh. Nowe regulacje wprowadzone w kwietniu 2025 roku jeszcze bardziej zaostrzyły kontrolę nad działalnością religijną cudzoziemców w Chinach, ograniczając miejsca, w których mogą się modlić i prowadzić ceremonie, oraz zmniejszając ich interakcje z chińskimi wiernymi.

Raport dokumentuje nieustanne próby podporządkowania buddyzmu, taoizmu oraz religii ludowych poprzez organizowanie dla wiernych „patriotycznych" wycieczek, sesji edukacji politycznej oraz wydarzeń kulturalnych. Celem tych działań jest połączenie tożsamości religijnej z ideologią Komunistycznej Partii Chin.

W odniesieniu do wiary katolickiej dokument CECC zauważa, że KPCh nadal rości sobie prawo do pełnej władzy nad Kościołem katolickim w Chinach, mimo obowiązywania umowy chińsko-watykańskiej. W okresie sede vacante po śmierci papieża Franciszka, gdy stało się jasne, że zatwierdzenie papieskie jest niemożliwe, lokalne władze zorganizowały „wybór" dwóch biskupów. Raport dokumentuje również ciągłą presję wywieraną na duchownych Kościoła podziemnego, w tym na bp. Petera Shao Zhumina z Wenzhou, który został zatrzymany w marcu 2025 roku po odmowie zapłacenia kary za odprawienie „nielegalnej" Mszy św. dla grupy 200 wiernych. Komunistyczne władze ogłosiły, że zatrzymanie biskupa było spowodowane „troską o jego bezpieczeństwo". W przypadku wcześniejszych, już siedmiu, aresztowań tego hierarchy, władze tłumaczyły to „wakacjami" lub „turystyką". Nawet duchowni związani z państwowym Patriotycznym Stowarzyszeniem Katolików Chińskich stają się ofiarami represji. Przykładem tego jest nalot policji na jeden z kościołów w Wenzhou, który miał na celu uniemożliwienie ks. Jin Mengxiu odprawienia nabożeństwa.

Podobne represje dotykają społeczności protestanckie. Raport CECC opisuje liczne naloty na Kościół Syjon w Pekinie w latach 2024–2025, które doprowadziły do zatrzymania niemal 30 pastorów oraz ich współpracowników, w tym założyciela tej największej wspólnoty protestanckiej, pastora Ezry Jin Mingriego.

Sądy wciąż wykorzystują zarzuty „oszustwa" oraz „nielegalnej działalności gospodarczej" do kryminalizacji zwykłych działań religijnych, takich jak prowadzenie szkół przykościelnych czy zbieranie datków. Komisja zwraca również uwagę na stosowanie zakazów wyjazdów zagranicznych jako formy nękania du-

eprasa.pl b4d0954c29

chownych. Cenzura internetowa uległa zaostrzeniu – zatrzymywani są twórcy aplikacji chrześcijańskich, strony internetowe zmuszane są do usuwania nagrań pieśni religijnych, a nawet wprowadzono nagrody za donoszenie na osoby prowadzące działalność religijną w sieci.

Amerykański raport poświęca znaczną uwagę prześladowaniom ruchu Falun Gong, chińskiej praktyce duchowej łączącej medytację z ćwiczeniami qi gong. Zawiera stwierdzenie, że Komunistyczna Partia Chin nadal kieruje ogromne zasoby na tłumienie tej praktyki. W dokumencie przytoczono przykłady zgonów członków Falun Gong w areszcie lub długie wyroki więzienia.

Sekcja dotycząca prowincji Sinciang podkreśla, że wszystkie polityki świadczące o trwającym tam ludobójstwie i zbrodniach przeciwko ludzkości pozostają w mocy. Raport przytacza badania, które wskazują, że ponad pół miliona Ujgurów jest nadal przetrzymywanych – zarówno formalnie, jak i pozasądowo. Trwają przymusowe sterylizacje oraz stosowane są inne środki kontroli populacji. Programy pracy przymusowej rozszerzyły się w latach 2024–2025; towarzyszą mu przymusowe transfery ziemi. Komisja dokumentuje ograniczenia związane z ramadanem, w tym przymusową pracę w godzinach postu oraz nakaz filmowania jedzenia jako dowodu na zmuszanie do łamania ramadanu. Niezależne pielgrzymki hadżdż pozostają zakazane. Raport zawiera liczne przypadki wieloletnich wyroków dla osób zaangażowanych w działania na rzecz przetrwania kultury i języka ujgurskiego.

W odniesieniu do Tybetu raport CECC wskazuje na brak postępów w negocjacjach z dalajlamą oraz na ciągłą kontrolę państwa nad procesem wyboru kolejnego tybetańskiego przywódcy religijnego. Narodowa Administracja ds. Religii wprowadziła znowelizowane prawo, które zwiększa wymagania polityczne wobec klasztorów. Kontynuowane są masowe wydalenia z buddyjskiego instytutu Larung Gar – pod koniec 2024 roku około tysiąca mnichów i mniszek zostało zmuszonych do opuszczenia placówki. Tybetańczycy są zatrzymywani za posiadanie lub udostępnianie nauk dalajlamy. Zamykane są szkoły, które nauczają języka tybetańskiego. Tybetańczycy są aresztowani za informowanie o zamykaniu szkół, za transmisje na żywo w języku tybetańskim oraz za udział w stowarzyszeniach na rzecz praw językowych. Dostęp cudzoziemców do Tybetu pozostaje mocno ograniczony – na przykład urzędnikom USA odmawia się wstępu. Po trzęsieniu ziemi w Dingri w styczniu 2025 roku władze ograniczyły podróże do tego regionu, skonfiskowały pomoc humanitarną i ukarały osoby, które udostępniały informacje o ofiarach.

▶ Tajwan

Od nowego roku na Tajwanie wprowadzono nowe przepisy dotyczące ochrony podmorskich kabli. Zmiany w ustawie o zarządzaniu telekomunikacją przewidują karę do 7 lat pozbawienia wolności oraz grzywnę w wysokości do 10 mln NTD (około 320 tys. dolarów) za celowe uszkodzenie kabla podmorskiego. W przypadku poważniejszych incydentów, które mogą zagrażać bezpieczeństwu narodowemu, przewidziane są surowsze sankcje. Osoby odpowiedzialne za nieumyślne zaniedbanie prowadzące do uszkodzenia kabla mogą zostać ukarane karą do 6 miesięcy więzienia lub grzywną do 2 mln NTD (około 65 tys. dolarów). W każdym przypadku uszkodzenia nastąpi konfiskata narzędzi, sprzętu oraz statku, który wyrządził szkody.

Poprawki do ustawy o żegludze wprowadzają obowiązek dla statków tajwańskich i zagranicznych poruszających się po wodach terytorialnych Tajwanu, aby były wyposażone w System Automatycznej Identyfikacji (AIS) oraz przekazywały prawdziwe dane identyfikacyjne. Niewypełnienie tego wymogu będzie skutkować grzywną w wysokości do 10 mln NTD oraz konfiskatą statku.

Nowe przepisy stanowią bezpośrednią reakcję na serię uszkodzeń kabli podmorskich, które miały miejsce w latach 2023–2025 wokół Tajwanu. Na przykład w styczniu ubiegłego roku statek Xing Shun 39, zarejestrowany w Hongkongu i obsadzony chińską załogą, uszkodził kluczowy kabel Trans-Pacific Express (TPE) na północ od Tajpej. Przed incydentem statek wyłączył system AIS. Równocześnie rosyjski statek Wasilij Szukszyn (płynący pod banderą Belize, z rosyjską załogą) przez niemal miesiąc krążył w podejrzany sposób na południe od Tajwanu (od grudnia 2024 do stycznia 2025 roku), co mogło sugerować, że mapował kable lub przygotowywał teren. Analitycy amerykańskiego think tanku Jamestown Foundation wskazują, że był to pierwszy wyraźny sygnał, iż rosyjskie taktyki z Bałtyku przenoszone są na wody wokół Tajwanu, z udziałem chińskich jednostek.

Nowe zmiany w prawie dotyczące ochrony kabli podmorskich stanowią najsilniejszy pakiet antysabotażowy w historii Tajwanu.

Podmorskie kable światłowodowe stanowią życiodajną arterię Tajwanu, przenosząc ponad 95–99 proc. ruchu internetowego, transakcji finansowych oraz komunikacji wojskowej i rządowej. Tajwan jest połączony z 14 międzynarodowymi i 10 krajowymi kablami. Uszkodzenie nawet jednego z nich może prowadzić do blackoutów telekomunikacyjnych na głównej wyspie oraz na mniejszych wyspach, takich jak Matsu, Penghu czy Pratas/Dongsha. ■

eprasa.pl b4d0954c29

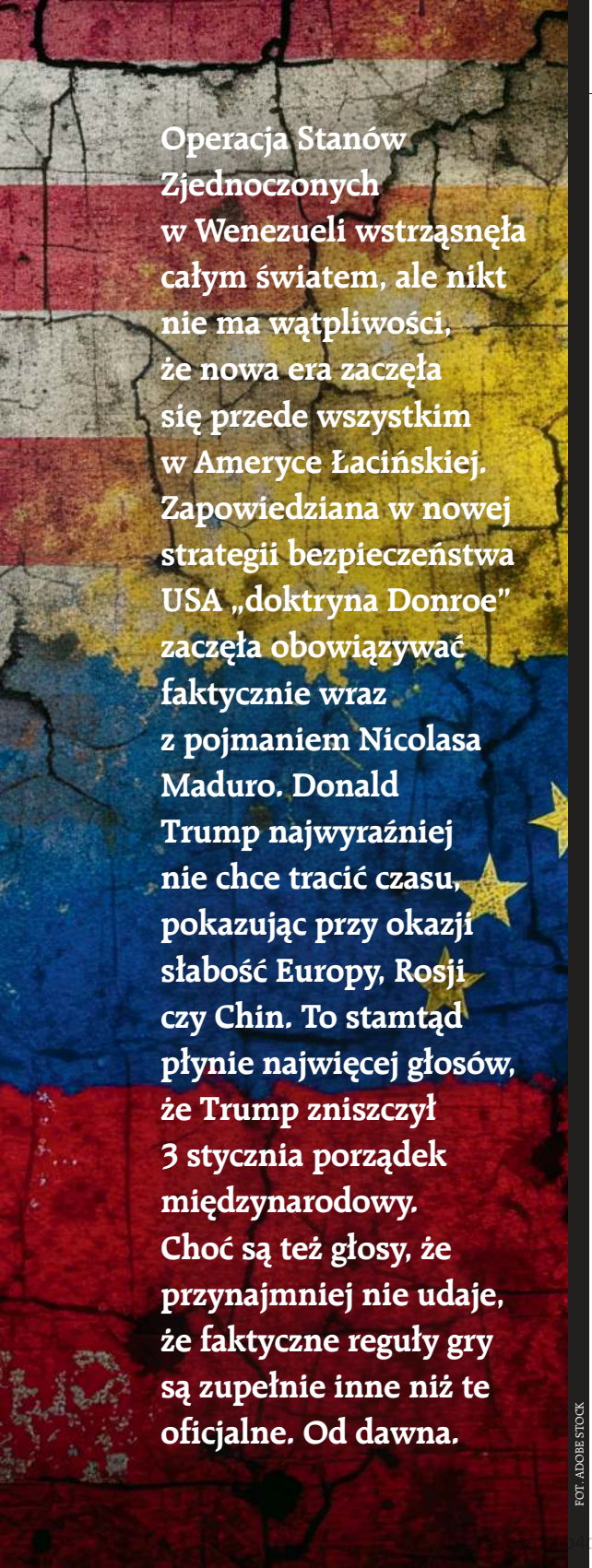


„Jak wielokrotnie argumentował prezydent Donald Trump, pokoju nie można osiągnąć poprzez słabość lub pobożne życzenia, ale poprzez siłę"

(„The National Interest", 3 stycznia 2026)

oprac. Antoni Rybczyński

Przypadek Wenezueli. Pokój poprzez siłę



Operacja Stanów Zjednoczonych w Wenezueli wstrząsnęła całym światem, ale nikt nie ma wątpliwości, że nowa era zaczęła się przede wszystkim w Ameryce Łacińskiej. Zapowiedziana w nowej strategii bezpieczeństwa USA „doktryna Donroe" zaczęła obowiązywać faktycznie wraz z pojmaniem Nicolasa Maduro. Donald Trump najwyraźniej nie chce tracić czasu, pokazując przy okazji słabość Europy, Rosji czy Chin. To stamtąd płynie najwięcej głosów, że Trump zniszczył 3 stycznia porządek międzynarodowy. Choć są też głosy, że przynajmniej nie udaje, że faktyczne reguły gry są zupełnie inne niż te oficjalne. Od dawna.

FOT. ADOBE STOCK

Dwa dni po porwaniu Maduro konto Departamentu Stanu USA opublikowało zdjęcie Trumpa z podpisem: „To jest NASZA półkula, a prezydent Trump nie pozwoli, aby nasze bezpieczeństwo było zagrożone". Profesor Uniwersytetu ICESI (Kolumbia) Vladimir Ruvinsky w rozmowie z „Nową Gazietą Europa" zasugerował, że można już mówić o odrodzeniu doktryny Monroego, którą jeszcze w 1823 roku ogłosił prezydent USA James Monroe. Według ówczesnych amerykańskich przywódców zachodnia półkula znajdowała się w wyłącznej strefie wpływów USA. Obecnie „doktryna Monroego" faktycznie odradza się w nowej formie, wynikającej z nowej strategii bezpieczeństwa narodowego USA (Kiryłł Bukietow, „Wenezuela jako precedens", „Nowaja Gazieta Europa", 8 stycznia 2026).

Podejście sformułowane w 1823 roku przez Jamesa Monroego, piątego prezydenta USA, stanowiło ostrzeżenie dla mocarstw europejskich: nie ingerować w sprawy krajów Ameryki Łacińskiej, które znalazły się w „strefie wpływów" USA (w zamian Ameryka zobowiązała się nie ingerować w sprawy europejskie). W 1904 roku Roosevelt uzupełnił tę wizję świata pojęciem „wielkiego kija" (Big Stick), przyznając Stanom Zjednoczonym prawo do ingerowania w sprawy państw Ameryki Łacińskiej w przypadku gdy ich niestabilność lub bankructwo groziły powrotem wpływów europejskich. W drugiej połowie XX wieku należało już obawiać się wpływów sowieckich, co dość przekonująco pokazał kryzys kubański w 1962 roku. Rok temu, kiedy Donald Trump po raz drugi obejmował urząd, dziennikarze „New York Post" postanowili zaspokoić jego nieograniczoną próżność i wymyślili nową nazwę dla starej ideologii: Donroe Doctrine. Wśród współczesnych motywów powrotu „wielkiej pałki" są problemy masowej migracji, walka z handlem narkotykami i konieczność dotarcia do złóż surowców potrzebnych do współczesnej produkcji w USA („Powrót do podstawowych ustawień. Jakie będą konsekwencje schwytania Maduro dla globalnego porządku świata?", BBC Russian, 6 stycznia 2026). „Doktryna Monroego to świetna rzecz, ale w wielu aspektach już ją przekroczyliśmy" – powiedział Donald Trump, opowiadając o szczegółach operacji wojskowej w Wenezueli. Najwyraźniej miał na myśli to, że w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego już nazwano „poprawką Trumpa" do tej doktryny potwierdzenie prawa Waszyngtonu do „przywrócenia amerykańskiej dominacji na półkuli zachodniej" i pozbawienia „konkurentów spoza półkuli zachodniej – czyli najprawdopodobniej Chiny – „możliwości rozmieszczania tutaj wojsk lub innych „sił zagrażających", a także posia-

d0954c29

dania strategicznie ważnych aktywów lub kontrolowania ich" (Aleksandr Dubrowski, „W takim razie przyjedziemy do was! Kogo przeraża Trump i jego »doktryna Donroe«, Radio Swoboda, 7 stycznia 2026).

Powrót gringos

Minister spraw zagranicznych Wenezueli Ivan Gil Pinto oświadczył, że cała zachodnia półkula powinna teraz zachować szczególną czujność. „Ten atak jest skierowany nie tylko przeciwko Wenezueli, ale także przeciwko całej Ameryce Łacińskiej i regionowi Karaibów. Dzisiaj może to być Wenezuela. Jutro – każdy inny kraj, który zdecyduje się realizować swoją suwerenność" – ostrzegł Gil. Brazylia, Kolumbia, Meksyk, Urugwaj i Chile wspólnie potępiły operację wojskową USA w Wenezueli mającą na celu schwytanie Nicolasa Maduro jako „niezwykle niebezpieczny precedens" i ostrzegły przed „wszelkimi próbami wprowadzenia obcego zarządzania lub zewnętrznej apropriacji zasobów naturalnych lub strategicznych Wenezueli". Jednak na przykład prezydent Argentyny Javier Milei, jeden z najbardziej znanych przywódców Ameryki Łacińskiej o wyraźnie prawicowych poglądach i wieloletni zwolennik Donalda Trumpa, wcześniej gorąco poparł działania Waszyngtonu. „Nie ma tu złotego środka. Albo jesteś po stronie dobra, albo po stronie zła" – podkreślił Javier Milei. „Wszystkim przestępcom narkotykowym i zwolennikom Chaveza mówię: wasz czas nadejdzie, wasza władza i wasze struktury całkowicie upadną na całym kontynencie" – oświadczył już rano 3 stycznia prezydent Ekwadoru Daniel Noboa, mając na myśli zwolenników światopoglądowych zasad Hugo Chaveza, zmarłego poprzednika i ideologicznego mentora Nicolasa Maduro (A. Dubrowski, „W takim razie przyjedziemy do was…").

Trump sam nie przedstawił jeszcze szczegółowo istoty „doktryny Donroe". Jednak wyraźnie zasugerował, że może teraz wykorzystać siły zbrojne USA skoncentrowane na Morzu Karaibskim do nowych celów – na przykład przeciwko Kolumbii i jej prezydentowi Gustavo Petro. Według Trumpa tym latynoamerykańskim krajem, położonym na zachód od Wenezueli, „rządzi chory człowiek, który lubi produkować kokainę i sprzedawać ją do Stanów Zjednoczonych". „Nie będzie mógł tego robić zbyt długo" – powiedział Trump dziennikarzom na pokładzie samolotu prezydenckiego. „Ma podziemne laboratoria kokainowe i całe fabryki produkujące kokainę. Ale to nie potrwa długo". Na pytanie, czy Stany Zjednoczone przeprowadzą operację wojskową przeciwko Kolumbii, prezydent USA odpowiedział: „Wydaje mi się to całkiem rozsądne" (A. Dubrowski, „W takim razie przyjedziemy do was…").

Najbardziej konkretne groźby kieruje obecnie administracja Trumpa pod adresem Kuby. W tym karaibskim kraju od kilku lat obserwuje się potworny kryzys humanitarny, a władze tylko nasilają represje. W tym kontekście największe pogróżki pochodzą od sekretarza stanu USA i etnicznego Kubańczyka Marco Rubio. „Myślę, że dla nikogo nie jest tajemnicą, że nie jesteśmy wielkimi fanami kubańskiego reżimu, który, nawiasem mówiąc, popiera Maduro. Gdybym mieszkał w Hawanie i był członkiem rządu, martwiłbym się" – powiedział Rubio w odpowiedzi na pytanie, czy Stany Zjednoczone będą celować w Kubę po ataku na Wenezuelę. Tego samego dnia, w rozmowie z dziennikarzami, republikański senator Lindsey Graham stwierdził, że „dni Kuby są policzone" i ma nadzieję, że „w 2026 roku sojusznicy USA będą prowadzić interesy" na wyspie. Donald Trump po odpowiedzi Grahama dodał, że „Kuba jest gotowa do upadku" (K. Bukietow, „Wenezuela jako precedens…").

Porażka Rosji

Dla Kremla najbardziej oczywistym wnioskiem płynącym z zatrzymania przez Stany Zjednoczone Nicolasa Maduro z Wenezueli może być to, że jest to cios dla regionalnych wpływów Rosji i dumy Władimira Putina: wybitny sojusznik, który w maju zawarł z rosyjskim prezydentem pakt o „strategicznym partnerstwie", nagle stracił władzę i trafił do więzienia w Nowym Jorku. Zatrzymanie Maduro nastąpiło nieco ponad rok po upadku Baszara al-Asada, syryjskiego przywódcy, który zapewnił Rosji silną pozycję na Bliskim Wschodzie w zamian za kluczowe wsparcie w wojnie przeciwko swoim przeciwnikom – co stanowi kolejny poważny cios dla wysiłków Putina zmierzających do przywrócenia obecności Moskwy na arenie międzynarodowej po wycofaniu się z niej w następstwie upadku Związku Sowieckiego (Steve Gutterman, „Licząc na carte blanche: co schwytanie Maduro może oznaczać dla Rosji", Radio Free Europe/Radio Liberty, 5 stycznia 2026). Według danych wenezuelskiego oddziału Transparency International, w latach wysokich cen ropy, od 2004 do 2018 roku, Rosja przekazała Wenezueli 34 mld dolarów – głównie na zakup i obsługę uzbrojenia. Według danych szwedzkiego Stockholm International Peace Research Institute (SIPRI) w latach 2005–2018 Wenezuela była największym nabywcą rosyjskiej broni. Maduro regularnie prezentował rosyjskie systemy obrony powietrznej podczas parad wojskowych (nie

eprasa.pl b4d0954c29

uchroniły go one jednak przed amerykańską „specjalną operacją wojskową") (Aleksandr Koliandr, „Upadek reżimu w Wenezueli i nowa wojna tankowców. Co Rosja straciła podczas świąt noworocznych?", The Bell, 12 stycznia 2026). W 2019 i 2024 roku kontrolowana przez państwo rosyjskie Grupa Wagnera została wysłana do Wenezueli, aby zapewnić przetrwanie reżimu, a służby wywiadowcze i oficerowie działają w tym kraju od kilku lat. Co zatem oznacza dla Moskwy obalenie Maduro? Wenezuela stanowi dla Kremla miejsce, w którym może on reagować na postrzegane działania USA w sąsiedztwie Rosji. Jak twierdzą Ariel González Levaggi i Vladimir Ruvinsky, Ameryka Łacińska służy Rosji jako strategiczne lustro, przeznaczone do aktów „symbolicznej wzajemności". Ramy te umożliwiają również działania na odległość, które potwierdzają roszczenia Moskwy do statusu mocarstwa (Ivan U. Klyszcz, „Upadek Maduro: jak Rosja straciła sojusznika, ale zyskała podobnie myślącego partnera", Riddle Russia, 5 stycznia 2026).

Powszechne przekonanie, że operacja USA naruszała prawo międzynarodowe, „nie jest złe dla szerszej narracji rosyjskiej" – powiedział 4 stycznia w swoim podcaście Mark Galeotti, analityk do spraw Rosji i profesor honorowy w Szkole Studiów Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich University College London. „W końcu Putin uważa, że tak właśnie postępują wielkie mocarstwa, które mają swoje strefy wpływów. A jeśli pozwolimy Ameryce mieć swoją strefę wpływów w Ameryce Łacińskiej, to logicznym wnioskiem jest, że nam powinno się pozwolić na naszą słowiańską" – powiedział Galeotti. Sam Greene, profesor w Instytucie Rosyjskim w King's College London, dodał: „Wszelka frustracja związana z usunięciem Maduro przez Waszyngton zostanie złagodzona obietnicą globalnego kondominium, w którym Moskwa uzyska prawo do tego samego w swoim sąsiedztwie". Czy skupienie się na Wenezueli i zachodniej półkuli „oznacza, że Stany Zjednoczone będą rozproszone?" – zapytał Galeotti. Jego odpowiedź: „Z pewnością można się zastanawiać, w jaki sposób twierdzenie, że Stany Zjednoczone będą rządzić Wenezuelą, może zostać zrealizowane. Z drugiej jednak strony supermocarstwo może rzeczywiście chodzić i żuć gumę jednocześnie. Nie sądzę, aby miało to szczególny wpływ na to, co dzieje się na Ukrainie". Greene zasugerował, że jeśli Kreml liczy na szerokie porozumienie między głównymi mocarstwami i swobodę działania w sprawie Ukrainy, to będzie rozczarowany. „Jeśli w krótkim czasie nie otrzyma carte blanche na działania na Ukrainie, Moskwa uzna to za standardową hipokryzję Ameryki, co prawdopodobnie zakłóci domniemaną koalicję globalnej hegemonii między Putinem, Trumpem i Xi" – napisał (S. Gutterman, „Licząc na carte blanche…").

Wnioski dla Europy?

Priorytetowe traktowanie zachodniej półkuli w amerykańskiej strategii bezpieczeństwa narodowego ma rzeczywiste znaczenie. Zmiana ta jest głęboka – będzie miała wpływ na wiele aspektów polityki amerykańskiej podczas drugiej kadencji Trumpa. Na przełomie XXI wieku bezpieczeństwo Europy i siła stosunków transatlantyckich były głównymi przedmiotami troski Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa, a głównym punktem zainteresowania był dawny Związek Sowiecki, a później Rosja. Jednak 10 lat temu Ameryka zaczęła zwracać się w stronę Azji w wyniku spektakularnego wzrostu znaczenia Chin, choć nadal zwracała uwagę na Europę. Teraz nagle półkula zachodnia stała się wyraźnym priorytetem, a Europa szybko traci na znaczeniu na liście spraw budzących niepokój (Carl Bildt, „Trump uderza w Wenezulę: trzy wnioski dla Europy", European Council on Foreign Relations, 6 stycznia 2026). Europejczycy stoją przed wyborem: dostosować się do ambicji Waszyngtonu lub stawić im opór. Każda z tych dróg wiąże się z kosztami. Dostosowanie się może zachować krótkoterminową harmonię transatlantycką, ale będzie nagrodą za stosowanie przymusu i sygnałem, że presja działa na Europę. Sprzeciw byłby kosztowny politycznie i wymagający strategicznie. Wymagałby również wewnętrznej spójności. Jednak brak sprzeciwu spowodowałby dalsze naruszanie granic i brak jedności w Europie. Pytanie nie brzmi, czy Europa może uniknąć konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi, ale czy jest gotowa bronić swoich interesów, gdy wyzwanie pochodzi od jej najpotężniejszego sojusznika (Asli Aydintasbas, Chris Herrmann, „Wenezuela, »doktryna Donroe« Trumpa i trzy dylematy stojące przed Europą", European Council on Foreign Relations, 4 stycznia 2026).

Pojmanie Maduro ma również niepokojące konsekwencje w kontekście wojny na Ukrainie. Dla europejskich obserwatorów rodzi to pytania o rodzaj porozumienia pokojowego, jakie Trump może chcieć wynegocjować na Ukrainie – i czy może to odbywać się kosztem Kijowa. Zwrot USA w kierunku interwencjonizmu militarnego w Ameryce Łacińskiej może również odwrócić uwagę polityczną i zasoby od bezpieczeństwa europejskiego, jednocześnie zachęcając Moskwę do dążenia do zawarcia porozumień transakcyjnych z Waszyngtonem

eprasa.pl b4d0954c29

w sprawie terytorium i zasobów Ukrainy (A. Aydintasbas, C. Herrmann, „Wenezuela, »doktryna Donroe« Trumpa i trzy dylematy stojące przed Europą"…). Czy można założyć, że demonstracyjne lekceważenie norm prawa międzynarodowego przez Stany Zjednoczone rzeczywiście da dodatkowy impuls i legitymizację próbom Rosji powrotu do swoich „stref wpływów"? Jest to mało prawdopodobne, uważa Wasilij Żarkow z Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego. Akceptacja faktu, który miał miejsce w Wenezueli, opiera się przede wszystkim na błyskawiczności i sukcesie amerykańskiej operacji, a z tym Władimir Putin miał problemy zaraz po inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku. „Pytanie brzmi, czy ma on zasoby, aby zrealizować taki scenariusz. To znaczy szybko, błyskawicznie wkroczyć do sąsiedniego państwa, rozwiązać problem z najwyższą władzą i zrobić to wszystko w ciągu jednego dnia. Putin nie ma takich zasobów. Co więcej, Ukraina otrzymała już wsparcie swoich europejskich sojuszników i wsparcie Stanów Zjednoczonych Ameryki. Otrzymuje je pośrednio również teraz, ponieważ Ameryka sprzedaje Ukrainie broń za europejskie pieniądze. Ta sytuacja nie jest lustrzanym odbiciem. Nie sądzę, aby Putin coś zyskał w tej sytuacji" („Powrót do podstawowych ustawień…").

Bez siły nie ma pokoju

Prognozy negatywnych skutków amerykańskiego nalotu w Caracas niezmiennie zawierają wzmianki o rosyjskiej agresji na Ukrainie i od dawna ustalonej polityce Pekinu dotyczącej przyłączenia Tajwanu do Chin kontynentalnych. Oczywiście oficjalne władze Moskwy i Pekinu natychmiast wyraziły szok i zaniepokojenie amerykańską „operacją specjalną". Jednak niewiele osób potraktowało te dyplomatyczne noty poważnie. „Oj, nie mówcie tego" – ironizuje komentator Atlantic w odniesieniu do oświadczenia Rosji. „Może rozszerzyć tę zasadę na inne państwa, na przykład Ukrainę, gdzie rosyjskie wojska co tydzień zabijają cywilów? Po części właśnie dlatego, że cztery lata temu Rosjanom nie udało się zabić ani pojmać »legalnie wybranego prezydenta suwerennego państwa«" („Powrót do podstawowych ustawień…"). Świat nie może już dłużej sobie pozwolić na ustępstwa wobec reżimów, które posługują się językiem dyplomacji, jednocześnie eksportując terroryzm i ideologiczną subwersję. Niewykorzystanie władzy w obliczu niesprawiedliwości nie jest powściągliwością. Jest to rezygnacja z przywództwa. Globalne przywództwo wymaga moralnej jasności i strategicznej odwagi. Wymaga rozróżnienia między rządami a gangami, między suwerennością a przestępczością, między pokojem a paraliżem (Ahmed Charai, „Pokój poprzez siłę w Wenezueli – i na całym świecie", „The National Interest", 3 stycznia 2026).

„Znajdujemy się w stanie głębokiego kryzysu prawa międzynarodowego i ogólnie globalnego porządku świata, jaki rozumieliśmy po zimnej wojnie i przed rozpoczęciem pandemii COVID-19" – stwierdza Temur Umarow z berlińskiego Centrum Carnegie. „Nadal funkcjonujemy w tym okresie przełomu, kiedy stary porządek świata już się rozpadł i przestał istnieć, a nowy jeszcze nie nastał. Jest to bardzo niekomfortowy, bardzo niebezpieczny czas, kiedy każdego dnia może wydarzyć się coś bezprecedensowego". Czy jest to stan nowy, czy też niezbyt dobrze zapomniany stary – to kwestia terminologii i metafor. „Znajdujemy się w sytuacji, w której mamy do czynienia z podstawowymi ustawieniami stosunków międzynarodowych" – twierdzi Wasilij Żarkow z Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego. „Podstawowe ustawienia, podstawowy zestaw pozostały niezmienione – jest to stan międzynarodowej anarchii. Przez ostatnie 80 lat, po II wojnie światowej, próbowano w jakiś sposób rozwijać liberalne instytucje i dzięki nim uczynić stosunki międzynarodowe bardziej przewidywalnymi i pokojowymi. Częściowo się to udało, ale tylko częściowo" („Powrót do podstawowych ustawień…").

Niektóre głosy na Zachodzie nadal twierdzą, że powściągliwość militarna i niekończąca się dyplomacja pozwalają zachować pokój. Najnowsza historia dowodzi czegoś przeciwnego. Od Caracas po Teheran, od Sany po Chartum bierność umocniła autorytarne reżimy, wzmocniła ekstremistyczne sieci islamskie i przedłużyła ludzkie cierpienia. Koszt bezczynności wielokrotnie przewyższał koszt rozwiązania. Stany Zjednoczone kiedyś w dużym stopniu polegały na Europie w zakresie zarządzania i stabilizacji niestabilnych państw w swoim najbliższym i dalszym sąsiedztwie. Wynik jest teraz oczywisty. Europa nie tylko nie zdołała ustabilizować tych regionów, lecz także nie potrafiła prawidłowo zidentyfikować ideologicznego charakteru zagrożeń, które się z nich wyłaniały. Jak wielokrotnie argumentował prezydent Donald Trump, pokoju nie można osiągnąć poprzez słabość lub pobożne życzenia, ale poprzez siłę. Nie jest to wezwanie do lekkomyślnego interwencjonizmu lub nieustannej wojny. Jest to uznanie fundamentalnej prawdy stosunków międzynarodowych: odstraszanie działa tylko wtedy, gdy przeciwnicy wierzą, że konsekwencje są realne, wiarygodne i nieuniknione (A. Charai, „Pokój poprzez siłę w Wenezueli…"). ■

eprasa.pl b4d0954c29

Tomasz Sakiewicz

Od czego zależy potęga państwa

Na naszych oczach zmienia się kształt geopolityczny świata. USA wraca do mocarstwowości, Chiny są w tej chwili jedynym możliwym konkurentem dla naszego sojusznika za oceanem. Rosja, do niedawna główny rywal USA, traci swoje wpływy na świecie, stając się powoli państwem zależnym od Chin, które już niemal otwarcie nie wykluczają aneksji części jej terytorium. Mocarstwowość Rosji jest podtrzymywana jedynie znacznymi siłami nuklearnymi. Nadzieje tych, którzy sądzili, że UE stanie się trzecim światowym graczem, odchodzą w niebyt wraz ze spowolnieniem gospodarczym na Starym Kontynencie. W dodatku UE jest rozszarpywana wewnętrznymi sporami krajów członkowskich. Dochodzą do tego opór społeczeństw przeciwko lewackim eksperymentom i imperialne ambicje Niemiec, które pogarszają zdolność UE do organicznego wzrostu.

Oczywiście nie można zapominać o takim kraju jak Izrael. System powiązań i wpływów tego państwa i jego diaspory powoduje, że jest ważnym światowym graczem.

JAK NA RAZIE SPORO ZYSKUJEMY NA SOJUSZU Z USA, A CORAZ WIĘCEJ TRACIMY NA PANOSZENIU SIĘ NIEMIEC. TRACIMY ZARÓWNO POD WZGLĘDEM ZNACZENIA MIĘDZYNARODOWEGO, JAK I MOŻLIWOŚCI WZROSTU POTENCJAŁU.

Do mocarstwowości dąży najludniejszy kraj świata, czyli Indie. Ich wzrost gospodarczy i ogromny potencjał demograficzny powodują, że za chwilę dołączą do wielkiej dwójki i będą trzecim graczem. Po skonfliktowaniu się z USA, teraz nasz rząd właśnie skłóca Polskę z Indiami. Wygląda na to, że Polska jest tu używana jako narzędzie walki Niemiec o swoją pozycję. Jest to obserwacja o tyle ciekawa, że Niemcy, które są daleko od światowej czołówki pod względem ludności, mają stosunkowo niewielkie terytorium i wprawdzie silną gospodarkę, która jednak od lat jest w stagnacji, stworzyły model imperializmu oparty na systemie uzależnień i wpływów. W XIX wieku w ten sposób Prusy zdominowały jednoczoną Rzeszę, a w XXI wieku Berlin chce wykorzystać do tego Unię Europejską i zdominować Stary Kontynent.

Patrząc na mapę geopolityczną świata, widać, że podstawą mocarstwowości są liczba ludności i silna gospodarka. Te kraje, które mają wielu mieszkańców i solidny rozwój gospodarczy, łatwiej mogą realizować politykę imperialną. Warunek jest jednak taki, że muszą chcieć i potrafić. Specjalistami od imperializmu są oczywiście Rosja i Niemcy. Mając o wiele mniejszy potencjał niż Chiny, Indie i USA, próbują grać tak, jakby nie było wielkiej różnicy. Wynika to z tradycji imperialnych elit tych państw. Skutki tego mogą być bardzo różne. Rosja zamiast podboju zaczyna być spychana i uzależniana od Chin. Niemcy grają sprytniej, ale już doprowadzili do tego, że projekt zjednoczonej Europy równych państw jako taki nie istnieje. Podstawowe wolności w UE zaczynają być zagrożone, a zamiast obrony interesów wszystkich członków widać realizacje interesów jednych kosztem drugich.

Polska miała swoją ideę mocarstwowości, trochę zbliżoną do założeń USA. W wyniku ataku ościennych mocarstw, a także własnych błędów, utraciliśmy kiedyś swoją szansę, a na ponad 100 lat nawet istnienie państwa. Nie oznacza to, że nie mamy nic w globalnej polityce do powiedzenia. Trzeba jednak zacząć od samodzielnej polityki i wyboru właściwych sojuszy. Jak na razie sporo zyskujemy na sojuszu z USA, a coraz więcej tracimy na panoszeniu się Niemiec. Tracimy zarówno pod względem znaczenia międzynarodowego, jak i możliwości wzrostu potencjału. Niemcy celowo ograniczają nasz wzrost przy pomocy swoich wpływów, hamując w Polsce inwestycje strukturalne. Wspierają też polityków, którzy promują politykę społeczną, zmniejszającą wzrost populacji.

Starcie pomiędzy USA i Niemcami może doprowadzić do tego, że Polska ma szanse wyrwać się z tego kręgu ograniczeń. Ważne jest jednak to, żeby Amerykanie to rozumieli, a Polacy tego chcieli. Nie jest więc obojętne, po której stronie stoimy w sporze o Grenlandię. ■

eprasa.pl b4d0954c29

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl b4d0954c29